

Murdzek:
Czas wyzwania

Karwowski:
Nowe władze rektorskie

Jajszczyk:
ERC i wolny dostęp

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 9/2020

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Nie takie twarde Str. 24-43

Kuźnicki:
Postdok pańszczyźniany

Zasada:
SGGW po tischnerowsku

Bajer:
Dwa wieki Ossolineum

Granty Interwencyjne

NAWA dla szybko zmieniającego się świata



GRANTY INTERWENCYJNE NAWA

Od połowy września można składać wnioski do programu Granty Interwencyjne NAWA. Nabór będzie trwał do końca grudnia, o ile fundusze przewidziane na jego realizację nie wyczerpią się wcześniej.

Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej ogłosiła nowy program – Granty Interwencyjne NAWA. Jego celem jest wspieranie współpracy międzynarodowej zespołów badawczych lub mobilności międzynarodowej naukowców, podejmowanej w reakcji na ważne, nagłe i nieprzewidziane zjawiska społeczne, cywilizacyjne i przyrodnicze o konsekwencjach globalnych lub istotnych regionalnie.

– Współczesny, szybko zmieniający się świat stawia przed nauką coraz to nowsze wyzwania badawcze. Często nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jaki nowy problem naukowy trzeba będzie rozwiązać albo jakie zjawisko wymaga zbadania, żeby nauka mogła się rozwijać i odpowiadać na potrzeby społeczeństwa i gospodarki. Granty Interwencyjne NAWA przeznaczone są na dofinansowanie projektów naukowych, których natychmiastowe niezrealizowanie może grozić utratą szansy na rozwiązanie postawionego problemu badawczego – mówi dr Grażyna Żebrowska (na fot.), dyrektor Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej.

Grant interwencyjny będzie mógł mieć wartość do pół miliona złotych na badania trwające od 3 do 12 miesięcy. Wspierane będą projekty, które nie mogą być wsparte z innych istniejących mechanizmów finansowania badań. Będą one przyznawane w trybie ciągłym do 31 grud-

nia 2020 roku lub do wyczerpania budżetu programu, który wynosi 1,5 mln zł. Ocena złożonego wniosku odbywać się będzie w ciągu 30 dni, aby naukowcy mogli jak najszybciej przystąpić do realizacji swoich pomysłów naukowych. Wnioski mogą składać polskie jednostki nauki i szkolnictwa wyższego.

– Zależy nam na dofinansowywaniu projektów o przełomowym, międzynarodowym charakterze i jasno sprecyzowanym celu badaw-



czym. Ich realizacja umożliwi naukowcom zebranie danych, zdobycie nowej wiedzy, zbadanie efektów i znaczenia ekstremalnego zjawiska lub wydarzenia w najszybszym możliwym terminie po jego wystąpieniu, a także rozwinię współpracę międzynarodową naukowców – dodaje dyrektor dr Grażyna Żebrowska.

W ramach programu mogą być finansowane m.in.: wynagrodzenia osób bezpośrednio zaangażowanych w realizację projektu, mobilność naukowców oraz ewentualne ekspertyzy. Możliwe są także wydatki związane z nawiązaniem efektywnej łączności zdalnej czy dostępu do specjalistycznej aparatury.

Ogłoszenie oraz szczegółowe informacje dotyczące programu znajdują się na stronie www.nawa.gov.pl

Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej (NAWA) to rządowa agencja podlegająca Ministrowi Nauki i Szkolnictwa Wyższego, działająca na rzecz umiędzynarodowienia polskiej nauki poprzez wspieranie i stymulowanie międzynarodowej współpracy badawczej i wymiany akademickiej. Agencja powstała w październiku 2017 r. i od tego momentu uruchomiła ponad 20 programów wspierających naukowców, instytucje polskiego systemu nauki i szkolnictwa wyższego, oferujących stypendia dla zagranicznych studentów na studia w Polsce, a także promujących język polski i kulturę polską na świecie. Więcej informacji: www.nawa.gov.pl

INFORMACJE I KOMENTARZE

Granty Interwencyjne – NAWA	2 okładka
Wydarzenia	2
Wietrzenie gronostajów – Mariusz Karwowski	6
Konferencje rektorów po nowemu	9, 10
Tani, tańszy, NCN – Piotr Kieraciński	8
Awanse 2019 – nadmiar i niedomiar	10
Inaczej niż w CK – Grzegorz Węgrzyn	11
Umiejdzynarodowienie i habilitacja – Justyna Możejko-Ciesielska i in.	12
Najstarszy polski neandertalczyk – Wojciech Głodek	13
Zwycięstwo technik synchronicznych – Renata Długosz, Monika Lindner	14
Granty na start	15
Tak dobrze jeszcze nie było	16
Zmiany na Zachodzie – Grzegorz Rekiel	17
Akademia Kaliska – Piotr Kieraciński	18
W drodze do uniwersytetu – Andrzej F. Wojtyła	19
Jabłko – Maciej Pietrzak	20

ROZMOWA FORUM

Wyzwań nie brakuje – z Wojciechem Murdzkiem, ministrem NiSW, rozmawia Piotr Kieraciński	21
--	----

NIE TAKIE TWARDE

Czy wiedza naukowa jest społecznie uwarunkowana? – Barbara Pabjan	24
Domena czystej racjonalności? – Mateusz Kotowski	29

Obiektywizm i subiektywizm nauki – Piotr Bylica	33
--	----

Nieintencjonalna nieścisłość – Teresa Sikora	37
---	----

Obiektywność poznania w kontekście społecznym nauki – Rafał Paweł Wierzchośłowski	41
--	----

ŻYCIE NAUKOWE

Spór o otwarty dostęp – Andrzej Jajszczyk	44
--	----

Postdok pańszczyźniany? – Jacek Kuznicki	47
---	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (185)

Wstrzymana profesura – Marek Wroński	65
---	----

Z laboratoriów

Modelarze rzeczywistości – Mariusz Karwowski	69
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

SGGW po tischnerowsku – z prof. Michałem Zasadą, rektorem SGGW, rozmawia Piotr Kieraciński	50
---	----

Ocena osiągnięć naukowych – Zbigniew Drozdowicz	54
--	----

Uwarunkowania i potencjał zdalnego nauczania – Paweł Modrzyński i in.	57
--	----

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	64
---	----

Publikuj lub giń

Człowiek Turinga – Marek Misiak	62
------------------------------------	----

W stronę historii

Podjęta ciągłość – Magdalena Bajer	72
---------------------------------------	----

Rody uczone (260)

Lityryscy – Magdalena Bajer	76
--------------------------------	----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (229)

Trzy drogi integracji – Piotr Hübner	78
---	----

OKOLICE NAUKI**Książki**

Mentoring od kulis	81
Nawet nie zarys	81
Razem, a jednak osobno	82
Autobiografie kobiet	82
Nieoczywisty życiorys, nieoczywista biografia	83
Zagraniczni naukowcy w Polsce	83

FELIETONY

Czym jest nauka? – Henryk Grabowski	71
--	----

Szkiełko w oku

Język w potrzebie – Piotr Müldner-Nieckowski	80
---	----

Na marginesach nauki

Peryferie – Leszek Szaruga	84
-------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
----------------------------------	--

FORUM AKADEMICKIE **OGÓLNOPOLSKI MIESIĘCZNIK ŚRODOWISK AKADEMICKICH****Rok XXVII Nr 9 (322) Wrzesień 2020**

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka 2017-2020:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Socjolog pokieruje NZS

WARSZAWA Krzysztof Białas, student V roku socjologii na Uniwersytecie Rzeszowskim, został nowym przewodniczącym Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Jest pierwszym reprezentantem podkarpackiej uczelni na tym stanowisku w całej 40-letniej historii organizacji. Sekretarzem generalnym wybrano Marcina Waryszaka z Uniwersytetu Warszawskiego. Będzie to jego druga kadencja. NZS działa obecnie na 29 uczelniach, w tym m.in. we wszystkich uniwersytetach ekonomicznych, jednym medycznym (w Białymstoku), dziewięciu uczelniach technicznych oraz w PWSZ w Tarnowie. Do organizacji należy 1500 członków, a tysiąc kolejnych osób jest sympatykami. Najwięcej członków organizacja ma na Uniwersytecie Warszawskim (prawie 300), w Szkole Głównej Handlowej (ponad 220) oraz na Uniwersytecie Gdańskim (około 160). Na czele NZS stała dotąd 26 przewodniczących z 20 uczelni; pierwszym był dr Jarosław Guzy (czytaj wywiad w FA nr 2/2020).



Fot. NZS

Studenci nobliści

WARSZAWA Badacze kosmosu, członkowie międzynarodowych zespołów badawczych, artyści, młodzi dziennikarze oraz autorzy naukowych monografi – dziewięcioro studentów reprezentujących różne obszary nauki i sztuki zdobyło statuetki Studenckiego Nobla. Tegorocznymi laureatami nagrody są: Adam Cieślak z Uniwersytetu Jagiellońskiego (fizyka i astronomia), Sandra Wawrzyniak (na fot.) z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (dziennikarstwo i literatura), Agata Binienda z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (nauki przyrodnicze i energetyka), Juliusz Bojarczuk z Politechniki Warszawskiej (nauki techniczne), Szymon Ogrzyzek z Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie (sztuka), Anna Suska z Uniwersytetu Warszawskiego (nauki społeczne), Magdalena Lubaś z UJ (nauki ekonomiczne), Magdalena Nowak z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu (działalność społeczna), Krzysztof Kotowski z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu (medycyna i farmacja). Konkurs organizowany jest od 2009 r. przez NZS. W tym roku odbył się pod hasłem „Daj się (d)ocenić!”.



Fot. UAM

Trzy Polki w Zarządzie EURODOC

BRUKSELA Trzy Polki zostały wybrane do Zarządu Europejskiej Rady Doktorantów i Młodych Naukowców na kadencję 2020/2021. Po raz pierwszy Zgromadzenie Generalne EURODOC odbyło się online. Wiceprzewodniczącą została mgr Beata Zwierzyńska, doktorantka w Dolnośląskiej Szkole Wyższej w programie European Doctorate in Teacher Education, wykładowca DSW oraz trenerka Centrum Edukacji Obywatelskiej. Sekretarzem organizacji wybrano mgr inż. Agnieszkę Żyrę, doktorantkę z Instytutu Technologii Maszyn i Automatykacji Produkcji Politechniki Krakowskiej. Członkiem Zarządu w kadencji 2020/2021 będzie mgr inż. Katarzyna Turoń, doktorantka Wydziału Transportu Politechniki



Fot. Arch. prywatne



Śląskiej. Na czele 7-osobowego Zarządu stanie Włoszka Giulia Malaguarda. EURODOC jest międzynarodową federacją 28 krajowych stowarzyszeń doktorantów i młodych naukowców z Unii Europejskiej i Rady Europy.

Doktoratem usprawnią firmy

WARSZAWA Blisko 630 doktorantów wdrożeniowych z 84 uczelni i instytucji wyłoniono w IV konkursie flagowego programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W tym roku o stypendium w obu modułach – ogólnym i związanym z wykorzystaniem sztucznej inteligencji – ubiegało się 732 kandydatów z 91 uczelni i instytucji. Szansę na przygotowanie doktoratów dotyczących wykorzystania sztucznej inteligencji w procesach technologicznych lub społecznych, w tym związanych z cyberbezpieczeństwem, dostało 64 z nich. Największą liczbę kandydatów zgłosiły w obu modułach Politechnika Śląska w Gliwicach – 100, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie – 90, Politechnika Warszawska – 82 i Politechnika Wrocławska – 54. Doktoraty wdrożeniowe to alternatywna droga uzyskania stopnia doktora przeznaczona dla osób, które nie chcą rezygnować z pracy zawodowej poza uczelnią, ale równocześnie realizują ambicje naukowe. Doktorant, pracując pod opieką dwóch opiekunów – naukowego i przemysłowego – przygotowuje rozprawę, która ma usprawnić działanie przedsiębiorstwa, w którym jest zatrudniony. Otrzymuje podwójne wynagrodzenie.

Lednicki Orzeł Piastowski

POZNAŃ Prof. Hanna Kóčka-Krenz, archeolog i historyk sztuki z Poznania, otrzymała Nagrodę Lednickiego Orła Piastowskiego. Wyróżnienie przyznawane jest za wybitne osiągnięcia w dziedzinie badań naukowych i upowszechniania wiedzy związanej z pierwszą dynastią panującą w Polsce. W tym roku wręczono je po raz dwunasty. Laureatka jest wieloletnim dyrektorem Instytutu Archeologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Jej zainteresowania dotyczą złotnictwa strefy bałtyckiej, zwłaszcza skandynawskiego i zachodniosłowiańskiego, oraz początków średniowiecznego budownictwa obronnego w Wielkopolsce, tzw. siedzib na nasypach oraz architektury monumentalnej. Kierowała wykopaliskami na średniowiecznym zespole osadniczym w Górce koło Poznania oraz na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu, gdzie odnalazła relikty palatium Mieszka I oraz fundamenty pałacowej kaplicy. Obecnie kieruje grantem Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki „Wielkopolska średniowieczna: społeczeństwo i dynastia w kontekście genetyki i składu etnicznego”.



Fot. Adrian Wywona

O medale w nowych murach

KRAKÓW Za dwa lata studenci Akademii Górniczo-Hutniczej będą mogli korzystać z nowoczesnej wielofunkcyjnej hali sportowej, która powstanie na styku ulic Buszka i Tokarskiego na terenie uczelnianego kampusu. Inwestycja pochłonie 50 mln zł. Budynek będzie wyposażony m.in. w halę sportową wraz z trybunami na blisko 600 osób, w boiska do piłki ręcznej, koszykówki i siatkówki oraz dziewięć stanowisk do badmintonu.



Fot. Pracownia Manecki

Ponadto w obiekcie znajdują się siłownia, sale gimnastyczne, sale przeznaczone do odnowy biologicznej zawodników, jak sauna czy pomieszczenia do masażu, oraz cztery korty do squasha. Przewidziano też salę konferencyjną z wyposażeniem audiowizualnym. Na części dachu powstanie zielony taras. Całkowita powierzchnia obiektu wyniesie ponad 7 tys. m². Co roku około 900 sportowców reprezentuje AGH na arenach sportowych, zarówno krajowych, jak i międzynarodowych. W klasyfikacji generalnej ostatnich Akademickich Mistrzostw Polski zajęli 2. miejsce.

Ramię dla satelitów

WARSZAWA Kontrakt na rozwój wieloprzegubowego ramienia robotycznego podpisała z Europejską Agencją Kosmiczną spółka PIAP Space, spin-off założony przez Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów. Wartość projektu TITAN przekracza 2,5 mln euro. Stworzony zostanie model laboratoryjny przegubu robotycznego, a następnie prototyp składający się z różnych typów przegubów, który zostanie poddany pełnym testom środowiskowym na wytrzymałość, testom termicznym oraz termiczno-próżniowym. Docelowo w tym projekcie planowane jest osiągnięcie poziomu gotowości technologicznej TRL6. Rezultaty prac mogą być wykorzystywane w przyszłych misjach ESA, Unii Europejskiej oraz w segmencie komercyjnym. Urządzenie TITAN pozwoli na serwisowanie uszkodzonych satelitów oraz deorbitację satelitów, których czas misji dobiegł końca, a zagrażają innym obiektom na orbicie. PIAP powstał w 1965 roku, a od kwietnia 2019 roku jest częścią Sieci Badawczej Łukasiewicz. Zajmuje się automatyzacją i robotyzacją linii produkcyjnych i fabryk, robo-



Fot. PIAP Space

tyką mobilną na rzecz bezpieczeństwa, drukiem 3D oraz technologiami kosmicznymi. Zatrudnia blisko 300 osób.

Nauka dla przemysłu

WARSZAWA Szkolenia dla personelu kolejowego z wykorzystaniem wirtualnej rzeczywistości, system do wykrywania zaburzeń smaku i węchu oparty na badaniu wykonywanym samodzielnie w domu pacjenta, redukcja zanieczyszczeń powietrza dzięki produkcji proekologicznych materiałów elastomerowych – to tylko część pomysłów, które zostaną zrealizowane w ramach konkursu „Projekty aplikacyjne”. Jego celem jest zwiększenie skali wykorzystania nowych, rodzimych technologii przez polskie firmy. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wyłoniło 19 konsorcjów, które otrzymają w sumie blisko 77,5 mln zł. Najwyższe dofinansowanie – prawie 10,4 mln zł – otrzymały Uniwersytet Medyczny w Łodzi i spółka Edventure Research Lab na innowacyjny system do diagnostyki, terapii i treningu zaburzeń funkcjonalnych i uszkodzeń części szyjnej i szyjno-piersiowej kręgosłupa.

Polka na czele ELSA

BRUKSELA Weronika Bańska została nowym prezesem Europejskiego Stowarzyszenia Studentów Prawa ELSA. Przez ostatni rok pełniła funkcję prezesa ELSA Poland. Wcześniej kierowała wrocławską grupą ELSA. W tym roku ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Skład nowego Zarządu organizacji wybrano online podczas 77. Inter-



Fot. Maciej Janicki

national Council Meeting. European Law Students' Association to największe, niezależne, niepolityczne stowarzyszenie non-profit zrzeszające studentów oraz absolwentów kierunków prawnych i administracyjnych. ELSA obecna jest w 44 krajach w Europie. Zrzesza blisko 50 tys. członków, z czego ponad 1200 należy do ELSA Poland. Skupieni są na 24 wydziałach prawa i administracji w 15 miastach. Polska jest jednym z państw założycielskich ELSA. Od 1 sierpnia funkcję prezesa polskiego oddziału pełni Jakub Bogucki z ELSA Kraków, student IV roku prawa na UJ. W przyszłym roku ELSA Poland będzie obchodzić 40-lecie istnienia.

Doktorat h.c. – prof. Michael North

SZCZECIN Prof. Michael North otrzymał 9 lipca tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego. Uhonorowano go za wkład w badania nad dziejami Bałtyku, wymianę kulturalną i gospodarczą, a także działalność organizacyjną, polegającą na tworzeniu międzynarodowych sieci współpracy akademickiej w strefie Bałtyku. Jest 34. doktorem honoris causa szczecińskiej uczelni. Łączą go długoletnie kontakty z badaczami z Instytutu Historycznego. Od 2002 r. piastuje funkcję przewodniczącego szkół doktorskich Uniwersytetu im. Ernsta Moritza Arndta w Greifswaldzie. W latach 2007–2010 r. był prorektorem tej uczelni ds. nauki i współpracy międzynarodowej. Należy do Academia Europaea. Jest autorem wielu monografii z dziedziny historii ekonomii i kultury, w tym m.in. tłumaczonej na wiele języków *Historii Bałtyku*.



Fot. Filip Kaczkowski

Doktorat h.c. – prof. Stefan Kamasa

WARSZAWA/POZNAŃ Wybitny altowiolista, światowej sławy solista i kameralista, znakomity pedagog, nestor polskich altowiolistów, prof. Stefan Kamasa został 22 lipca doktorem honoris causa Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu. To szósty artysta uhonorowany tym tytułem przez wielkopolską uczelnię. Studia muzyczne ukończył z wyróżnieniem jako altowiolista u prof. Jana Rakowskiego w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Wystąpił w ponad 30 krajach Europy, obu Ameryk i Azji. Komponowali dla niego nasi najwięksi XX-wieczni twórcy, m.in. Grażyna Bacewicz, Tadeusz Baird, Roman Palester czy Krzysztof Penderecki. Od 1958 roku zajmował się pedagogiką, przez wiele lat związany był z Uniwersytetem Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Wykładał również w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i w Tarbes we Francji. Prowadził liczne kursy mistrzowskie: w Royal Academy of Music w Sztokholmie, Juilliard School w Nowym Jorku, na Uniwersytecie w Wiedniu, w wyższych szkołach muzycznych w Lipsku, Dusseldorfie, Karlsruhe, Sankt Petersburgu, Krakowie, Gdańsku i Wrocławiu.



Fot. AMP

Zajęcia z kurami i emu

SZCZECIN Zakończyła się budowa zwierzętarni dla Wydziału Biotechnologii i Hodowli Zwierząt Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. Inwestycja pochłonięta ponad 6 mln zł. Od nowego



Fot. ZUT

roku akademickiego studenci wydziału będą uczestniczyć w zajęciach praktycznych z udziałem: owiec, kóz, emu, kur, perlic, pawi, gołębi oraz pszczoł. Bezpośredni kontakt ze zwierzętami umożliwi m.in. zapoznanie się ze sposobami ich utrzymania, pielęgnacji oraz oceny kondycji. Realizowane programy studiów przewidują odbywanie zajęć terenowych oraz praktyk w typowych gospodarstwach rolnych prowadzących produkcję zwierzęcą. Nie zawsze takie wyjazdy są możliwe. Zwierzętarnia ma głównie służyć studentom, ale władze wydziału planują udostępnienie jej również uczniom szkół podstawowych, ponadpodstawowych oraz mieszkańcom Szczecina.

Dydaktyka w siodle

LUBLIN Ośrodek Dydaktyczno-Szkoleniowy Jeździectwa i Hipoterapii powstanie w Uniwersytecie Przyrodniczym. Koszt szacowany jest na 20 mln zł. Obejme m.in. krytą ujeżdżalnię o powierzchni ponad 2 tys. m², sale dydaktyczne z przeszklonymi ścianami, z widokiem m.in. na ujeżdżalnię, a także hipodrom o powierzchni ok. 4 tys. m². W części



Fot. Marceja Nleczółka

stajennej budynku przewidziano 20 boksów oraz nowoczesne centrum fizjoterapii dla koni m.in. z hydrobieżnią, solarium czy pomieszczeniami do czyszczenia. Planowany termin zakończenia budowy to połowa 2022 r. Inwestycja powstanie na terenie funkcjonującego Ośrodka Jeździeckiego, gdzie uniwersytet utrzymuje konie ras rodzimych, m.in. konia małopolskiego czy wyhodowanego w Lublinie kuca Felińskiego, a także inne zwierzęta: było białogrzbieta, kozy białe uszlachetnione, stado alpak. Z ośrodka będą korzystać studenci unikatowego kierunku hipologia i jeździectwo, ale także z kierunków: pielęgnacja zwierząt i animoloterapia oraz behawiorystyka zwierząt.

Wojsko pod rękę z nauką

BYDGOSZCZ Uniwersytet Kazimierza Wielkiego oraz Centrum Doktryn i Szkolenia Sił Zbrojnych zawarły umowę o współpracy. Porozumienie zintegruje przedstawicieli wojska i cywilnego środowiska naukowego. Umowę podpisali: dyrektor Centrum płk. Jarosław Mokrzycki oraz prorektor ds. rozwoju i współpracy dr hab. inż. Marek Macko, prof. UKW. Wspólne działania obejmą m.in. doskonalenie istniejących i poszukiwanie nowych rozwiązań w zakresie szkolenia, zdolności i użycia Sił Zbrojnych RP, a także kształtowanie pozytywnego wizerunku Sił Zbrojnych. W praktyce umowa przełoży się na organizowanie wspólnych narad, sympozjów i konferencji naukowych oraz wymianę doświadczeń w zakresie osiągnięć naukowo-badawczych. Przewiduje się realizację wspólnych projektów badawczych i publikowanie wyników prac naukowych. Oprócz kooperacji pracowników obu instytucji zyskają też studenci, którym umożliwione zostaną praktyki i staże w Centrum Doktryn.



Źródło: UKW

Nagrody dla uczelni

KATOWICE Pięć szkół wyższych otrzymało nagrodę Made in Poland, przyznaną podmiotom wspierającym rozwój polskiej gospodarki i polskich marek oraz kształtującym współpracę z biznesem. To premierowa edycja programu prowadzonego przez Polską Agencję Przedsiębiorczości. Ogłoszenie laureatów odbyło się podczas kongresu,



na którym spotkali się przedsiębiorcy, naukowcy oraz przedstawiciele administracji samorządowej. Z uwagi na pandemię koronawirusa przeprowadzono go w trybie online. Wśród 19 podmiotów, które otrzymały tytuł Made in Poland, znalazło się pięć z sektora szkolnictwa wyższego: Politechnika Śląska, Politechnika Poznańska, Politechnika Łódzka, Krakowska Akademia im. Frycy Modrzewskiego oraz Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Elblągu. Wyróżniono je za „istotny wpływ na rozwój gospodarki narodowej przez współpracę uczelni z przedsiębiorstwami i samorządami oraz promowanie polskiego szkolnictwa wyższego”.

Geolodzy z UAM najaktywniejsi

POZNAŃ Studenckie Koło Naukowe Amerykańskiego Stowarzyszenia Geologów Naftowych (AAPG) działające przy Instytucie Geologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zostało uhonorowane wyróżnieniem Outstanding Region Student Chapter Award 2020. To nagroda przyznawana przez AAPG dla najbardziej wyróżniającego się aktywnością koła na świecie (z wyjątkiem USA). Poznańskie koło funkcjonuje od 2012 roku. Gościło wielu znamienitych ekspertów z całego świata, prowadzących wykłady oraz warsztaty z zakresu geologii naftowej i nauk



Fot. Facebook

pokrewnych. W ostatnich latach podczas wyjazdów terenowych członkowie koła zgłębiali wiedzę na temat Karpat Rumuńskich, Karpat Ukraińskich oraz polskich Sudetów. AAPG to najliczniejsza na świecie organizacja zrzeszająca specjalistów z zakresu geologii: naukowców, pracowników firm eksplorujących i eksploatujących surowce mineralne, studentów i pasjonatów. Skupia niemal 40 tys. członków z ponad 100 krajów. Pod jej egidą działa na świecie około 300 kół studenckich, w tym 30 aktywnych w Europie.

Cześci docenili badaczkę storczyków

ŁÓDŹ Prof. Marta Kolanowska z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego została laureatką Nagrody im. Otto Wichterle przyznawanej przez Czeską Akademię Nauk. Wyróżnienia wręczane są młodym badaczom za znaczący wkład w rozwój nauki. Kandydaturę Polki zgłosił Global Change Research Institute. Prof. Kolanowska jest cenioną badaczką bioróżnorodności obszarów tropikalnych. Opisała ponad 275 nieznanych wcześniej gatunków orchidei oraz wprowadziła metody modelowania nisz eko-



Fot. Arch. prywatne

logicznych do badań biogeograficznych sturczyków. Badała sturczyki najpierw w Polsce, a następnie w Parku Narodowym El Cocuy w Kolumbii. Zaangażowała się w ochronę tropikalnych ekosystemów wraz z fundacją Biodiversitatis, której jest współzałożycielką. Najważniejszym jej celem jest stworzenie polskiej przyrodniczej stacji badawczej w dolinie Sibundoy w Południowej Kolumbii. W skład tego przedsięwzięcia ma wejść też rezerwat o powierzchni 30 ha i ośrodek edukacyjny. Stacja będzie zlokalizowana po wschodniej stronie Andów, w rejonie górskim, 30 km w linii prostej od Puszczy Amazońskiej.

Muzeum UKSW otwarte

WARSZAWA Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego otworzył stacjonarne muzeum uczelni. Powstało ono z okazji 20-lecia przekształcenia Akademii Teologii Katolickiej w szerokoprofilowy uniwersytet. Zwiedzającym udostępniono tylko część archiwalnych zbiorów UKSW liczących ponad 17 tys. fotografii i setki tomów dokumentów. Wśród eksponatów są m.in. starodruki ze zbiorów Biblioteki Głównej UKSW oraz zabytkowe szaty i naczynia liturgiczne. Można zobaczyć protokół z posiedzenia Senatu ATK z 1955 roku, na którym przyjęto uchwałę kończącą proces przeprowadzenia habilitacji ks. dr. Karola Wojtyły, obronionej w 1954 roku na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W muzeum znalazło się także wyhaftowane z bisiuru godło UKSW, подарowane uniwersytetowi podczas inauguracji roku akademickiego 2019/2020 przez Charię Vigo, bodaj jedyną osobę na świecie, która potrafi wykonywać tkaniny z tego surowca. Bisior to niezwykle delikatne nici powstające z wydzielin niektórych małży i ceniona nie-



Fot. UKSW

gdyś błyszcząca tkanina wytwarzana z tego tworzywa. Dzięki zainstalowanej tablicy multimedialnej można sięgnąć do zbiorów uniwersyteckiego muzeum cyfrowego (muzeumuksw.edu.pl), gdzie znajdują się nagrania audio przemówień kardynała Stefana Wyszyńskiego skierowane do społeczności akademickiej ATK.

Kompaktowy samolot

RZESZÓW Politechnika Rzeszowska otrzymała od samorządu województwa podkarpackiego 360 tys. zł na zakup samolotu szkoleniowego dla studentów pilotażu. Koszt takiej maszyny sięga nawet 1,5 mln zł. Pozostałą kwotę uczelnia wygospodaruje ze środków własnych. W Ośrodku Kształcenia Lotniczego PRZ wykorzystywane są w tej chwili cztery typy statków powietrznych: jednosilnikowe samoloty francuskiej produkcji Socata TB-9 „Tampico” (7), jednosilnikowe amerykańskie samoloty Piper PA-28 „Arrow” (2), dwusilnikowe samoloty tego samego producenta Piper PA-34 „Seneca V” (3) oraz przystosowany do wykonywania



Fot. Byszard Dworak

akrobacji samolot Zlin Z-242L (1). Nową maszyną miałyby być samoloty typu kompakt, służący do szkolenia w zakresie: standardowych odlotów, dolotów, podejść oraz przelotów z wykorzystaniem tras nawigacyjnych – są to procedury na co dzień wykonywane w tzw. dużym lotnictwie.

Lab jedyny w swoim rodzaju

WROCŁAW Unikatowe w skali kraju laboratorium do pomiarów spektroskopowych w zakresie podczerwieni powstaje na Wydziale Podsta-



Fot. PWR

wowych Problemów Techniki Politechniki Wrocławskiej. W skład wyposażenia wejdą m.in.: szeroko przestrajalny laser impulsowy, monochromator z odpowiednimi siatkami dyfrakcyjnymi i detektor o dużej czułości spektralnej. Dzięki nim będzie można realizować pomiary czasowo-rozdzielcze w takich eksperymentach, jak badanie zaniku sygnału fotoluminescencji czy pomiar metodą pompa-sonda. Sprzęt umożliwi badania struktur niskowymiarowych przeznaczonych na emitery i detektory średniej oraz długofalowej podczerwieni w zakresie co najmniej 3–15 μm . Pozwoli to na pozyskiwanie informacji o kinetyce procesów optycznych i dynamice nośników w strukturach niskowymiarowych i przyrządach półprzewodnikowych, wykorzystywanych m.in. do wytwarzania wysokowydajnych optycznych czujników gazów. Na stworzenie laboratorium uczelnia pozyskała 2 mln zł z MNiSW.

UMG w Awake.ai

GDYNIA Uniwersytet Morski w Gdyni został członkiem fińskiego konsorcjum badawczo-rozwojowego Awake.ai, działającego w dziedzinie innowacyjnych technologii morskich. Stanowi ono platformę wymiany informacji i technologii w takich obszarach, jak: cyfryzacja morską, budowanie rozwiązań dla autonomii morskiej, niezawodność i bezpieczeństwo operacji morskich, planowanie operacji morskich oraz wykorzystanie zasobów morza. Obecnie konsorcjum liczy 78 partnerów. Obok UMG w sieci naukowych partnerów znajdują się: Uniwersytet w Turku, Uniwersytet Nauk Stosowanych w Turku, Uniwersytet Aalto, Szwedzki Uniwersytet Językowy w Finlandii, Uniwersytet Nauk Stosowanych Satakunta, Uniwersytet Nauk Stosowanych w Vaasa, Towarzystwo Fraunhofera Wspierania Badań Stosowanych oraz Centrum Badań Technicznych VTT w Finlandii.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Michał Ciepielski, Agnieszka Czarnańska, Katarzyna Dominiak, Damian Gębarowski, Agnieszka Książkiewicz, Mateusz Lipka, Sławomir Łaniecki, Joanna Pachcińska, Karolina Płotnicka-Błach, Joanna Puškar, Paweł Śpiechowicz, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Wietrzenie gronostajów

Z początkiem września rozpoczęła się czteroletnia kadencja nowych władz rektorskich. Sterników uczelni publicznych wyłaniano od początku roku w pierwszych od wejścia w życie Konstytucji dla Nauki wyborach. Ustawa wprowadziła kilka istotnych zmian w procedurze wyborczej. Przede wszystkim zrezygnowano z konkursowego trybu jako jednej z możliwości na rzecz wyboru wyłącznie w drodze głosowania przeprowadzanego przez kolegium elektorów. W obliczu pandemii koronawirusa, o czym za chwilę, było to, zwłaszcza w największych uczelniach, nie lada wyzwaniem. Nowością jest też udział w procedurze rad uczelni i senatów. Wreszcie weszła w życie modyfikacja, która niektórym już na wstępie ograniczyła możliwości startu: obniżenie z 70 do 67 lat maksymalnego dopuszczalnego wieku kandydata. Wprawdzie Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich postulowała zniesienie tego limitu (a później jako poprawkę do ustawy propozycję taką zgłosiła grupa posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego), ale ostatecznie zapis pozostał.

W cieniu

Jak wszystko, co dzieje się w ostatnich miesiącach, wybory przebiegały w cieniu koronawirusa. Uczelniom, w których elekcje zaplanowano na styczeń, luty i początek marca, jeszcze udało się uniknąć turbulencji w wyborczym kalendarzu. W pozostałych postępowano różnie. Jedni, zachowując zwiększony reżim sanitarny, kontynuowali rozpoczęte procedury, inni decydowali się na ich zawieszenie i czekanie na rozwój sytuacji. Ta zmieniła się wraz z zakazem organizacji zgromadzeń, w których miałyby uczestniczyć więcej niż 50 osób. W wielu uczelniach oznaczało to niemożność zorganizowania posiedzenia kolegium elektorów. Stało się jasne, że bez sięgnięcia po technologię się nie obędzie. Nie wszyscy byli jednak entuzjastami tego rozwiązania. „Jako kryptograf i osoba zajmująca się naukowo kwestiami cyberbezpieczeństwa, chciałem stanowczo stwierdzić, że jest to zły pomysł i w szczególności wyborów internetowych rektora nie da się przeprowadzić w bezpieczny sposób” – przestrzegał w jednym z portali społecznościowych prof. Stefan Dziembowski z Uniwersytetu Warszawskiego, laureat grantów ERC. „O ile optymistycznie założyć można, że ryzyko handlu głosami w świecie akademickim jest minimalne, to zdecydowanie mniejszą wiarę pokładam w założeniu o braku presji społecznej. Przykładem może być chociażby głosowanie jednym blokiem przez wszystkich elektorów studenckich, deklarowane przez nich np. na Uniwersytecie Warszawskim. Podobne strategie mogą być też przyjmowane np. przez elektorów reprezentujących poszczególne wydziały. Sytuację pogarszać może fakt istnienia zależności służbowych między głosującymi i przedstawicielami różnych stronnictw na uczelniach” – tłumaczył.

Z kolei prof. Jan Szmidt, ówczesny przewodniczący KRASP, sugerował możliwość przedłużenia kadencji obecnych rektorów, np. o 1-3 miesiące. „Wynika to z troski o zapewnienie przebiegu wyborów, które w środowisku akademickim są procesem o tradycjach wymagającym zaangażowania całej wspólnoty oraz odbycia szeregu ważnych spotkań o charakterze stacjonarnym” – przekonywał podczas spotkania ministerialnego zespołu ds. COVID-19. Ten pomysł nie spotkał się jednak z przychylnością resortu, który ostatecznie dopuścił „organizację wyborów w trybie online pod warunkiem, że jest to przewidziane w statucie uczelni lub regulaminie wyborów, a uczelnia posiada zasoby i zabezpieczenia umożliwiające przeprowadzenie tego procesu w sposób sprawny i w pełni bezpieczny”.

W sumie, za pomocą różnych narzędzi (platformy Teams, e-dziękankat, systemy USOS, NESOS, aplikacje Ankieter, LimeSurvey, Głosuj24) głosowanie w trybie zdalnym odbyło się w blisko sześćdzie-

sięciu uczelniach. W pozostałych radzono sobie na różne sposoby. W PWSZ w Gnieźnie postawiono na najbardziej tradycyjną formę – korespondencyjną. Najpierw do elektorów wysłano karty do głosowania, które po wypełnieniu mieli oni w ciągu trzech dni zwrócić. Z kolei rektora UMCS wybierano w Sali Operowej CSK – jednej z największych w Lublinie. Jednak najbardziej spektakularnie wybory przeprowadzono na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie też utrzymano klasyczną



Wybory na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Fot. Andrzej Romaniński

formę głosowania, ale zamiast, jak zawsze, w Auli Leopoldyńskiej, przeprowadzono je... na stadionie piłkarskim. „Mamy ponad 200 elektorów, ale trzeba też uwzględnić obecność osób z obsługi technicznej. Aby zapewnić odpowiednie warunki do bezpiecznego i sprawnego zorganizowania wyborów, trzeba je było przenieść. Rozważaliśmy różne możliwości, ale zwyciężyła opcja, która wydaje się najbardziej komfortowa dla głosujących” – wyjaśniało.

Soliści w nadmiarze

Nie tylko maseczki, płyny dezynfekujące czy rękawiczki oddawały ducha czasu. Dostrzegalnym symbolem wyborów Anno Domini 2020 był... brak kandydatów. W aż 72 uczelniach – na 124, w których odbywały się w tym roku wybory rektora – do boju stawała tylko jedna osoba, co bardziej przypominało referendum: za lub przeciw. „W takiej sytuacji rola Kolegium Elektorów, reprezentującego wolę społeczności uczelni, staje się czysto fasadowa. Tym samym wybory również stają się fikcyjne. Wyborczy spór o wizję rozwoju uczelni jest czymś naturalnym i niezwykle potrzebnym, wnoszącym cenne idee w sposób funkcjonowania szkoły wyższej” – napisała w liście otwartym Fundacja Science Watch Polska, namawiając kandydatów, by nie zrezygnowali ze startu w wyborach zbyt pochopnie, i apelując o „więcej demokracji”. Choć najczęściej z sytuacją taką mieliśmy do czynienia w uczelniach zawodowych (aż w 30 na 32 działające wystartował tylko jeden kandydat), to w tym kontekście w oczy najbardziej rzucał się brak rywalizacji w największych klasycznych uniwersytetach: Jagiellońskim (kontrkandydat się wycofał) i Mikołaja Kopernika. To o tyle zastanawiające, że o reelekcję nie ubiegali się tam urzędujący rektorzy, co ewentualnie mogłoby studzić zapędy innych pretendentów. Po drugiej stronie jest krakowska Akademia Sztuk Pięknych, w której o fotel rektora ubiegało się aż 6 kandydatów. To jedna z czterech uczelni (obok Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu i Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach), gdzie do wyłonienia zwycięzcy potrzebne były dwie tury głosowań. A w Akademii Muzycznej w Łodzi nawet to nie wystarczyło – tam dobitnie przekonali się o prawdziwości powiedzenia: „do trzech razy sztuka”.

Zdarzyły się też sytuacje, w których śmiałkowicie rzucali rękawicę obecnemu sternikowi. Do takich starć doszło w dziewięciu uczelniach

i pięciokrotnie urzędujący rektorzy musieli zejść z pola walki pokonani (Warszawski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy w Bydgoszczy, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Akademia Sztuki w Szczecinie i Akademia Muzyczna w Krakowie).

Rozpoczęta właśnie kadencja jest debiutem dla aż 81 rektorów. Średnia wieku wszystkich rektorów to prawie 54 lata, a najmłodszy z nich to prof. Grzegorz Hańderek z ASP w Katowicach, urodzony w 1977 roku. To, że są nowi, wcale nie oznacza rewolucji na uczelni. Blisko połowa z nich (43) to niedawni prorektorzy, którzy start w wyborach potraktowali jako naturalną trampolinę do kolejnego awansu w swojej akademickiej karierze. Dla uczelnianej wspólnoty z reguły oznacza to zachowanie status quo (choć w przeszłości zdarzały się zaskakujące wyjątki). Wśród nowo wybranych są jednak i tacy, którzy „wyzierowali” swój licznik kadencji i po cztero– (prof. Andrzej Klimek w AWF w Krakowie, prof. Krystian Kielb w Akademii Muzycznej we Wrocławiu) lub ośmioletniej (prof. Waldemar Tarczyński w Uniwersytecie Szczecińskim) banicji powracają na fotel rektora.

Zmiany nastąpiły w siedmiu z dziesięciu uczelni badawczych. Na swoich stanowiskach pozostali jedynie prof. Krzysztof Wilde (Politechnika Gdańska), prof. Marcin Gruchała (Gdański Uniwersytet Medyczny) i prof. Arkadiusz Mężyk (Politechnika Śląska). Przez najbliższe cztery lata dwoma największymi polskimi uczelniami zarządzać będą: ekonomista (prof. Alojzy Z. Nowak, UW) oraz teatrolog i literaturoznawca (prof. Jacek Popiel, UJ). Uniwersytetami pokierują także przedstawiciele takich dziedzin, jak m.in.: historia, literaturoznawstwo, geografia, biotechnologia, heraldyka, biologia, chirurgia czy archeologia. Rektorami trzech największych politechnik zostali: specjalista inżynierii materiałowej (prof. Jerzy Lis, AGH), elektronik (prof. Krzysztof Zaremba, PW) i fizyk (prof. Arkadiusz Wójs, PWr).

Kobiety do rektoratów

W wyniku wyborów do gabinetów na szczycie uczelnianej władzy wprowadzi się więcej niż dotąd kobiet. Ich aktywność w ubieganiu się o to stanowisko sprawiła, że rektorów w spódnicy będzie 21, prawie dwa razy więcej niż w minionej kadencji (12). Będą zawiadywać nie tylko uczelniami zawodowymi (8), artystycznymi (6), pedagogicznymi (2) czy ekonomicznymi (1), ale – co chyba jest największym przełomem – również technicznymi. Po raz pierwszy w historii aż dwie kobiety w tej samej kadencji staną na czele politechnik: Koszalińskiej (prof. Danuta Zawadzka) i Białostockiej (prof. Marta Kosior-Kazberuk). W tej drugiej zresztą kandydatkami były tylko panie. W kobiece ręce trafiły także dwa uniwersytety klasyczne: im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (prof. Bogumiła Kaniewska) i Łódzki (prof. Elżbieta Żądzińska). Dodajmy, że od marca rektorem jest też insp. dr hab. Iwona Klonowska, kierująca Wyższą Szkołą Policji w Szczyc-

nie, która podlega Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji. W uczelniach „mundurowych” wyborów nie ma, a rektorów mianuje odpowiedni minister.

Może właśnie kobiece zaangażowanie wpłynęło na to, że kampania toczyła się w miarę spokojnie, by nie powiedzieć sennie. Tym niemniej w niektórych ośrodkach emocji nie brakowało. Na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie pracownicy otrzymali mail skłaniający jednego z pretendentów, a innego nie dopuszczono do startu, co spotkało się z interwencją (bezskuteczną) Ministerstwa Zdrowia. Z kolei w PWSW w Przemysłu rektora wybrano drogą elektroniczną, mimo że takiej formy nie przewidywał statut. Konieczne stało się powtórzenie elekcji.

Przeglądając się tegorocznym wyborem, można było odnieść wrażenie, że w zdecydowanej większości uczelni potraktowano je jako święto całej akademickiej wspólnoty. Mimo że sam akt głosowania przynależał jedynie przedstawicielom tworzących ją grup, starano się angażować wszystkich: w specjalnie stworzonych serwisach informowano o poszczególnych etapach procesu wyborczego, publikowano dokumenty uczelnianych komisji wyborczej, zamieszczano wypowiedzi kandydatów, toczono zaciekle dyskusje. . . Tego typu działania sprawiły, że cały proces był transparentny i dostępny dla szerokiego grona obserwatorów: studentów, doktorantów, naukowców czy pracowników administracji, a często także osób całkowicie postronnych. Ale nie wszędzie tak było. W niektórych uczelniach wybór nowego rektora okryto tajemnicą, uznając być może, że to kwestia przeznaczona jedynie dla wąskiego kręgu zainteresowanych. W efekcie nie chwalono się tym, datę ukrywano, o kandydatach milczano, a poznanie wyników graniczyło z cudem. Tak jakby było to coś wstydliwego. . .

Wbrew pozorom, choć pandemia w znacznej mierze przeniosła kampanię do Internetu – tam odbywały się spotkania, debaty, a kandydaci uruchamiali swoje strony internetowe, na których prezentowali zarówno siebie, jak i własne wizje uczelni – o dziwo, mniejszym niż można się było spodziewać zainteresowaniem cieszyły się media społecznościowe. Może to obawa o niespodziewaną interakcję w sieci, może kwestia zachowawczości, jaką zwykle przypisuje się rektorom, a może po prostu niechęć do nowych kanałów komunikacji? Tym bardziej warto docenić tych, którzy otworzyli się na social media. Co zrozumiałe, korzystali przede wszystkim z Facebooka, kierując w ten sposób przekaz głównie do studenckiej braci. Na tym tle wyróżnili się kandydaci na rektora UW oraz prof. Przemysław Wiszewski z UW, którzy oprócz tego byli bardzo aktywni również na Twitterze, bardziej popularnym w środowisku naukowców. Z tych nieformalnych kontaktów zrodziło się wiele interesujących pomysłów na najbliższe cztery lata.

Mariusz Karwowski

Wyborcze ostatki

Głosowanie w Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi zakończyło 5 sierpnia rozpoczęty jeszcze w styczniu wyborczy maraton w uczelniach publicznych. Ostatnim wybranym na kadencję 2020–2024 rektorem został dr Przemysław Wachowski, dotychczasowy dziekan Wydziału Sztuk Pięknych. W lipcowych elekcjach zwycięstwa odnosili debiutujący w rektorskich togach profesorowie: Krzysztof Kowalczyk (Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie), Wojciech Widłak (Akademia Muzyczna w Krakowie), Krzysztof Józwiak (Politechnika Łódzka), Andrzej Białkiewicz (Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki), Zbigniew Koruba (Politechnika Świętokrzyska), Elżbieta Żądzińska (Uniwersytet Łódzki), dr hab. Milenia Fiedler, prof. uczelni (Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera w Łodzi), dr hab. Elżbieta Aleksandrowicz, prof. AM (Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów w Łodzi), dr hab. Anna Szylar, prof. uczelni (Państwowa Uczelnia Zawodowa im. prof. Stanisława Tarnowskiego w Tarnobrzegu) oraz dr Paweł Strózik (Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Raciborzu). Z kolei w Podhalańskiej Państwowej Uczelni Zawodowej w Nowym Targu wybrano dr. hab. Roberta Włodarczyka, prof. PPUZ i prof. UEK, który już w czerwcu zastąpił odwołanego z funkcji przez ministra nauki ks. dr. hab. Stanisława Gulaka.

MK

Tani, tańszy, NCN

Na początku marca 2019 r. na drugą kadencję powierzono kierowanie Narodowym Centrum Nauki prof. Zbigniewowi Błockiemu, matematykowi z UJ. Radą NCN kierowała w tym roku prof. Małgorzata Kossowska, psycholog z UJ. Budżet NCN w 2019 r. był rekordowo wysoki i wyniósł 1,27 mld zł, z czego 1,23 mld zł stanowiły środki na finansowanie badań naukowych, a tylko 33,8 mln zł na funkcjonowanie samej instytucji. Dotację celową na finansowanie badań NCN wykorzystano w 99,8%, zaś środki na pokrycie kosztów zarządzania zużytkowało w 83,53%.

Konkursy krajowe – proporcje i współczynniki

W ub. roku Centrum ogłosiło 13 konkursów krajowych i tyleż konkursów krajowych rozstrzygnęło. Wpłynęło na nie 10.438 wniosków, z których 2.533 skierowano do finansowania. Oznacza to, że współczynnik sukcesu wyniósł 22%. Wartość projektów zgłoszonych do oceny opiewała na 5,6 mld zł. Natomiast na projekty zakwalifikowane do realizacji NCN przeznaczyło niemal 1,27 mld zł. Najwięcej wniosków, ponad połowa wszystkich, wpłynęło na dwa konkursy programu Miniatura – 5.457. Przy czym, o ile w drugim konkursie (rozstrzygniętym częściowo jeszcze w 2018 r., ale ocenę zakończono i projekty skierowano do finansowania już w roku 2019) współczynnik sukcesu wyniósł tylko 19%, o tyle w trzecim konkursie, rozstrzygniętym w 2019 r., było to już 29%. Wyższy wskaźnik uzyskały tylko projekty w siódmym konkursie Etiuda – 42%. Drugim pod względem liczby wniosków okazał się podstawowy program NCN – Opus. Na dwa konkursy (16 i 17) wpłynęło 3930 aplikacji. Granty zdobyło 671 badaczy. W 17. konkursie tego programu wnioskodawcy uzyskali też jeden z najniższych współczynników sukcesu – 15%. Mniej było tylko w dziesiątym konkursie Maestro, gdzie do finansowania skierowano tylko 11 z 93 projektów, co daje wskaźnik sukcesu na poziomie 12%. Widzimy zatem, że przy średniej wskaźnika sukcesu przekraczającej 22%, zdarzały się też konkursy, w których walka o granty była naprawdę zacięta. Najmniej wniosków wpłynęło w trzecim konkursie programu Uwertura – 21, i tam też przyznano najmniej grantów – tylko 5, co dało wskaźnik sukcesu na poziomie 24%.

Najwięcej wniosków złożyli reprezentanci nauk ścisłych i technicznych – 3.626. Oni też otrzymali najwięcej grantów – 872 i uzyskali najwyższy współczynnik sukcesu – 24%. Prowadzący badania w obszarze nauk o życiu złożyli 3488 aplikacji i otrzymali 800 grantów, co oznacza, że sukces uzyskało 23% projektów. Reprezentanci nauk humanistycznych i społecznych wnioskowali o finansowanie 3.277 projektów, a uzyskali 633 granty, co dało wskaźnik sukcesu na poziomie 19%.

Tradycyjnie najlepiej finansowanym programem krajowym w 2019 roku był Opus. Te granty w 2019 r. kosztowały NCN 732 mln 542 tys. zł, czyli ponad 58% środków, które Centrum wydało na finansowanie projektów krajowych. Średnio jeden grant programu Opus otrzymał 1 mln 91,7 tys. zł. Sonata Bis, która w 2019 r. była drugim pod względem wysokości finansowania programem NCN, kosztowała tylko 176 mln 752 tys. zł, czyli zaledwie 24% środków skierowanych na Opus i zaledwie 14% wszystkich środków na finansowanie grantów krajowych. Średnia wartość projektu w ósmym konkursie Sonaty Bis to ponad 2 mln zł. Największą wartość uzyskały granty programu Maestro – średnio ponad 3,7 mln zł, ale było ich raptem 11, więc koszt całego programu wyniósł w 2019 r. tylko 41,1 mln zł.

Skoro była mowa o największych grantach i najdroższych programach, to teraz czas na najmniejsze. Zarówno pod względem liczby wniosków, jak przyznanych grantów i całkowitej wielkości finansowania najmniejszym programem NCN była Uwertura. W 2019 r. zakończono trzeci i ostatni konkurs tego programu, który polegał na dofi-

nsowaniu wyjazdów na staże w zespołach badawczych, realizujących grant ERC, a celem projektu było przygotowanie do złożenia własnego wniosku o grant ERC. Na konkurs w 2019 r. wpłynęło 21 wniosków, a tylko 5 z nich uzyskało finansowanie. Na te granty NCN przeznaczyło 402 tys. zł, najmniej ze wszystkich programów, co oznacza, że średnia wartość projektu wyniosła tylko 80,4 tys. zł. Nie była to jednak najmniejsza średnia wartość grantu – tu palmę pierwszeństwa dźrzy Miniatura, na którą NCN wydał tylko 31,3 mln zł – to trzecia od końca wartość pod względem wysokości finansowania, a średnia wysokość grantu wyniosła niecałe 23 tys. zł. Niedrogim programem była też Etiuda, która kosztowała Centrum raptem 18,3 mln zł. Średnia wartość projektu wyniosła w Etiudzie 115,4 tys. zł.

Do 10 ogłoszonych konkursów międzynarodowych, które NCN organizuje ze współpracującymi zagranicznymi agencjami grantowymi, wpłynęły 522 wnioski z polskich instytucji, a 98 z nich uzyskało akceptację ekspertów. Oznacza to, że wskaźnik sukcesu wyniósł 18,7%.

Innym przejawem umiędzynarodowienia działalności NC są zagraniczni recenzenci. W 2019 r. Centrum skorzystało z usług 8.002 zagranicznych ekspertów. Szczególne znaczenie mieli w drugim etapie oceny, gdzie 7.759 obcokrajowców stanowiło 96% wszystkich ekspertów uczestniczących w ocenie projektów naukowych, a wykonali oni dla NCN 9.464 recenzji (96%). Ekspertki zagraniczne pojawiły się już w 2011 r., ale wówczas stanowili tylko 7% wszystkich. Od 2016 r. jest ich ponad 91%. W 2019 r. najwięcej było ekspertów z USA – 1.117, Wielkiej Brytanii – 858, Niemiec – 704, Włoch – 606, Francji – 487 i Hiszpanii – 447. Pojedynczy eksperci pochodzili z tak egzotycznych dla nas krajów, jak np. Kamerun, Grenada, Ghana, Mauritius, Sri Lanka i Kostaryka.

Skuteczni jak instytuty PAN

Aż 80% beneficjentów grantów NCN w 2019 r. byli badacze z uczelni. Reprezentanci placówek PAN uzyskali 16% grantów, a instytutów badawczych – 3%.

Jak zwykle w konkursach są zwycięzcy, w tym wypadku dwojakiemu rodzaju: ci, którzy dostali granty oraz instytucje, których reprezentanci wzięli najwięcej – grantów i pieniędzy. A najwięcej wzięli najwięksi. Uniwersytet Warszawski okazał się liderem tak pod względem liczby grantów – 270, jak i wysokości finansowania – 171 821 tys. zł. Łatwo policzyć, jak znaczącą pozycję w niemal półtoramiliardowym budżecie tej uczelni pełnią środki na badania uzyskane z NCN. Na drugim miejscu jest Uniwersytet Jagielloński, którego pracownicy uzyskali 257 grantów o wartości 166 973 tys. zł. Już tylko połowę tej liczby i kwoty uzyskał trzeci na podium Uniwersytet im. Adama Mickiewicza: 121 grantów i 71,2 mln zł. Czwarta z kolei Politechnika Wrocławska uzyskała mniej niż połowę tego, co UAM, czyli 52 granty i 38,8 mln zł. Na piątym miejscu pod względem wielkości finansowania, ale czwartym (a więc przed PWr) pod względem liczby grantów, jest Uniwersytet Wrocławski, którego pracownicy na sfinansowanie 71 projektów naukowych zdobyli 34,9 mln zł. W 2019 r. roku powtórzyła się zatem „obowiązująca” przez wiele lat proporcja: dwóch zdecydowanych liderów, potem trzecia pozycja z (mniej więcej) połową kwoty i połową liczby grantów w stosunku do liderów, a czwarta pozycja znów tylko z połową kwoty i liczby w stosunku do najniższego miejsca na podium.

Oprócz tego warto zerknąć na skuteczność wnioskowania wśród dwudziestu liderów – tyle instytucji, biorących najwięcej środków wymienianych w raporcie NCN. Otóż UW i UJ znajdują się w czołówce także pod tym względem, uzyskując odpowiednio 34 i 31% skuteczności, i są to jedne uczelnie publiczne, których pracownicy uzyskali w staraniach o granty

NCN skuteczność powyżej 30%. Podobną wykazali się jeszcze tylko badacze z Uniwersytetu SWPS, którzy otrzymali z NCN ponad 14 mln zł na sfinansowanie 27 projektów naukowych, ze skutecznością 32%.

Jednak niewątpliwie liderami skuteczności w staraniach o granty NCN są instytuty PAN, co świadczy nie tylko o dobrym przygotowaniu wniosków, a zapewne także „sformatowaniu” projektów, ale także o ich jakości naukowej. Absolutnym liderem jest Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej, którego pracownicy jako jedyni przekroczyli próg skuteczności na magicznym poziomie 56%. Na 9 projektów dostali z NCN ponad 12 mln zł. Drugą pozycję pod tym względem zajmuje Instytut Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego, którego badacze otrzymali finansowanie na 44% złożonych wniosków: 22,77 mln zł na 26 projektów. Nikomu więcej nie udało się przekroczyć 40-procentowej skuteczności, ale kilka instytutów PAN było blisko: Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk – 39%, Instytut Chemii Fizycznej PAN – 38%, Instytut Chemii Bioorganicznej PAN i Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika po 37%.

Nagroda NCN 2019

Po raz siódmy przyznano w 2019 r. Nagrody NCN, które zyskały już prestiż w środowisku naukowym. W obszarze nauk humanistycznych, społecznych i o sztuce nagrodę otrzymał dr hab. Michał Wierchoń z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego za interdyscyplinarne badania nad świadomością i zaproponowanie autorskiego modelu teoretycznego świadomości. W obszarze nauk o życiu wyróżnienie zdobył dr Roman Szczęsny z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. Do Nagrody NCN został nominowany za odkrycie mechanizmu degradacji mitochondrialnego RNA w komórkach ludzkich wskazującego na rolę mitochondriów w regulacji nieswoistej odpowiedzi immunologicznej. Trzeci z laureatów, wyróżniony w obszarze nauk ścisłych i technicznych, to dr hab. Dawid Pinkowicz z Wydziału Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, który otrzymał nagrodę za badania nad multifunkcyjnymi magnezami molekularnymi i nanomagnezami kwantowymi.

Oprac. Piotr Kieraciński

Nowe władze KRASP

W dniach 26-27 sierpnia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie odbyło się posiedzenie Prezydium oraz Zgromadzenia Plenarnego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, przeprowadzone częściowo w trybie zdalnym.

Podczas posiedzenia dr Jarosław Gowin, były wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego, autor realizowanej właśnie reformy tych sektorów, powiedział o kilku rozważanych wersjach przyszłości resortu, wynikających z zapowiadanej na jesień rekonstrukcji rządu. Najprostszą zakłada połączenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Ministerstwa Edukacji Narodowej (przypomnijmy, że taka sytuacja miała miejsce w początku lat 90. XX w., z tym że nauka miała wówczas osobny resort w postaci Komitetu Badań Naukowych). Inne koncepcje zakładają połączenie MNiSW, MEN i Ministerstwa Sportu (to też już było), ewentualnie także z rozszerzeniem tej konsolidacji o Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (tego dotychczas nie było). Rozważane jest też rozdzielenie szkolnictwa wyższego i nauki, co dr Gowin uznał za zagrożenie dla zaawansowanej już głęboko reformy tych sektorów. Przedstawił też swój autorski projekt, który zakłada połączenie MNiSW i Ministerstwa Rozwoju.

W natychmiastowej reakcji na tę informację prof. Jan Szmidt, przewodniczący KRASP, rektor Politechniki Warszawskiej, sprzeciwił się rozdzieleniu szkolnictwa wyższego od nauki, czyli przekazanie każdego z tych obszarów do odrębnego ministerstwa. Zaproponował też, aby rektorzy zgromadzeni w KRASP skierowali do premiera RP i innych organów władzy publicznej formalne pismo w tej sprawie. Przyjęto je na zakończenie obrad.

Podczas spotkania przyjęto sprawozdanie z działalności KRASP przedstawione przez prof. Jana Szmidta, rektora Politechniki Warszawskiej w latach 2012-2020 i przewodniczącego KRASP w kadencji

2016-2020. Prof. Szmidt został honorowym przewodniczącym KRASP na kadencję 2020-2024, zastępując prof. Wiesława Banysia z Uniwersytetu Śląskiego.

Wybrano też nowe władze konferencji na tę kadencję. Przewodniczącym został prof. dr hab. inż. Arkadiusz Mężyk, rektor Politechniki Śląskiej, którego kandydaturę zgłosiła prof. Bogumiła Kaniewska - rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i przewodnicząca KRUP.

Wiceprzewodniczącymi KRASP wybrano profesorów Jacka Popiela, nowego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Michała Zasadę, który 1 września objął funkcję rektora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Członkami Komisji Rewizyjnej KRASP w kadencji 2020-2024 zostali: prof. Anna Wypych-Gawrońska, rektor Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie, dr hab. inż. kpt. żw. Wojciech Ślęczka, prof. AMS, rektor Akademii Morskiej w Szczecinie, prof. inż. Zbigniew Pater, rektor Politechniki Lubelskiej, dr hab. inż. Sylwester Tabor, prof. UR, rektor Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie i prof. Władysław Szymański, rektor Akademii Muzycznej w Katowicach.

Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich jest instytucją przedstawicielską środowiska szkolnictwa wyższego i nauki w rozumieniu ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Została powołana 7 czerwca 1997 r. przez rektorów 73 szkół wyższych - członków działających wówczas konferencji rektorów poszczególnych typów uczelni. Obecnie tworzą ją rektorzy 107 szkół wyższych, w tym 11 (**czyli 14?**) uczelni niepublicznych. Dziewięć kolejnych szkół wyższych ma status uczelni stowarzyszonych. W ostatnim roku z KRASP wycofały się publiczne uczelnie zawodowe. W uczelniach zrzeszonych w KRASP uczy się ok. milion osób, co stanowi 77% wszystkich studentów w Polsce.

(p)

Konferencje rektorów po nowemu

Przedstawiciele poznańskiego ośrodka akademickiego zdominowali w nowej kadencji stanowiska przewodniczących rektorskich konferencji. Staną na czele aż trzech.

Najwcześniej, bo już 23 lipca, wybrano władze Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, zrzeszającej 20 klasycznych uniwersytetów. Po raz pierwszy w ponad 30-letniej historii jej pracom przewodniczyć będzie kobieta. Prof. Bogumiła Kaniewska, nowa rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza zastąpiła na tym stanowisku prof. Wojciecha Nowaka z UJ, który zakończył swoją drugą kadencję.

Pracami Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych pokieruje prof. Teofil Jesionowski z Politechniki Poznańskiej. Jego zastępcami będą: prof. Jerzy Lis – rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, prof. Krzysztof Józwiak – rektor Politechniki Łódzkiej oraz prof. Krzysztof Wilde – rektor Politechniki Gdańskiej. Stojący dotychczas na czele KRPUT prof. Tadeusz Słomka (AGH) przez najbliższe cztery lata będzie Honorowym Przewodniczącym. Nowy skład prezydium wybrano 28 sierpnia podczas posiedzenia online. KRPUT zrzesza 22 uczelnie członkowskie oraz 6 stowarzyszonych.

W pięcioosobowym składzie Konferencji Rektorów Uczelni Ekonomicznych znalazło się dwóch rektorów, którzy w tym roku z powodzeniem ubiegali się o reelekcję. Jeden z nich – prof. Maciej Żukowski z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu – został nowym przewodniczącym KRUE. Wiceprzewodniczącym będzie dr hab. Piotr Wachowiak, prof. SGH – nowy rektor Szkoły Głównej Handlowej.



W trybie zdalnym wybierano 25 sierpnia władze Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych. Na jej czele stanął prof. Marcin Gruchała (na fot.), rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, a jego zastępcami zostali: prof. Kornelia Kędziora-Kornatowska, prorektor ds. Collegium Medicum im. L. Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz prof. Andrzej Tykarski, rektor Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu. Członkami KRAUM jest 13 uczelni oraz jedna stowarzyszona.

Tego samego dnia, również online, zdecydowano o składzie dwuosobowego prezydium Konferencji Rektorów Uczelni Pedagogicznych.

Tworzą go: dr hab. Barbara Marcinkowska, prof. APS – nowa rektor Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej (przewodnicząca) oraz prof. Anna Wypych-Gawrońska z Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie.

Przewodniczącym Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych został 17 sierpnia prof. Krystian Kiełb, rektor Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu. KRUA zrzesza 19 uczelni: 8 muzycznych, 7 plastycznych, 2 teatralne, jedną filmową, telewizyjną i teatralną oraz jedną interdyscyplinarną. Dziewięćoosobową Konferencją Rektorów Uczelni Rolniczych i Przyrodniczych będzie z kolei dowodził prof. Jarosław Bosy (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu). Pełnych władz obu konferencji jeszcze nie wybrano.

Stery Konferencji Rektorów Akademii Wychowania Fizycznego przejął 28 sierpnia prof. Andrzej Rokita, rektor AWF we Wrocławiu. Konferencja zrzesza 6 akademii wychowania fizycznego.



Po posiedzeniu w Skierniewicach, 26 sierpnia, poznaliśmy nowe władze Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych. Prof. Witolda Stankowskiego, który po dwóch kadencjach ustąpił ze stanowiska rektora Małopolskiej Uczelni Państwowej im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Oświęcimiu, i szefa KRePUZ, zastąpił dr hab. Dariusz Surowik (na fot.), prof. uczelni, wybrany na drugą kadencję rektor Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży. Jego zastępcami będą: dr hab. Maciej Słodki, prof. Mazowieckiej Uczelni Publicznej w Płocku oraz dr hab. Donat Mierzejewski, prof. Państwowej Uczelni Stanisława Staszica w Pile. Do prezydium weszli ponadto: dr hab. Artur Zimny, prof. PWSZ (Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Koninie), dr Sonia Grychtoł (Małopolska Uczelnia Państwowa im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Oświęcimiu), dr hab. inż. Mariusz Cygnar, prof. PWSZ (Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Nowym Sączu) i dr Robert Musiałkiewicz (Państwowa Uczelnia Zawodowa we Włocławku). KRePUZ zrzesza obecnie 32 członków.

Przewodniczący wszystkich konferencji rektorów publicznych uczelni akademickich wchodzi w skład prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

karma

Awanse 2019 – nadmiar i niedomiar

Zupełnie inaczej były w 2019 r. obciążone pracą Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów, dla której był to przedostatni rok pracy, i Rada Doskonałości Naukowej, rozpoczynająca w tamtym roku działalność. CK rozpatrzyła wówczas 6425 spraw, tj. o 60% więcej niż w 2018, a do RDN wpłynęły tylko 144 wnioski.

Blisko 2/3 – czyli 4156 – spraw prowadzonych przez CK stanowiły wnioski habilitacyjne. Było ich o 67% więcej niż rok wcześniej. Co piąty dotyczył wyznaczenia recenzentów w postępowaniach o nadanie tytułu profesora (1280; +33%). Pozostałe dotyczyły przedstawienia kandydata do tytułu profesora (769; +45%), odwołania od uchwał

rad jednostek organizacyjnych (116; +5%), nadania uprawnień do nadawania stopnia doktora lub doktora habilitowanego (66; +35%) oraz innych spraw (36).

Poszczególne sekcje oraz Prezydium Komisji odbyły w ub. roku 81 posiedzeń, które zakończyły się 6304 decyzjami pozytywnymi i 127 negatywnymi. Te drugie, podobnie jak w 2018 roku, stanowiły 2% ogółu spraw, co wskazuje na stały poziom wniosków, które nie uzyskują pozytywnej opinii CK. Najbardziej zapracowani byli członkowie Sekcji Nauk Humanistycznych i Społecznych, przez których ręce przeszły 1353 wnioski, czyli 21% ogółu. Decyzję pozytywną otrzymało 1289 (95%). Powyżej tysiąca spraw rozpatrzyły także sekcje: Nauk Medycznych (1165, z czego 9 negatywnych) oraz Nauk Technicznych (1165, z czego 14 negatywne). Najwięcej negatywnych decyzji wydali członkowie Sekcji Nauk Ekonomicznych (15 na 634 wnioski), zaś najmniej – zasiadający w Sekcji Nauk Biologicznych, Rolniczych, Leśnych i Weterynaryjnych (tylko 4 na 800 spraw). Sekcja Nauk Matematycznych, Fizycznych, Chemicznych i Nauk o Ziemi zajmowała się 725 wnioskami (11 negatywnych), a Sekcja Sztuki – 589 (10 negatywnych). Nie wydano ani jednej decyzji negatywnej w kwestiach odnoszących się do postępowań habilitacyjnych, opinii w sprawie zatrudnienia na stanowisku prof. nadzw., recenzentów w postępowaniu o nadanie tytułu prof. oraz zatwierdzenia stopni dr. i dr. hab. Najwięcej negatywnych opinii dotyczyło odwołań od uchwał RW/RN (75) oraz uprawnień do nadawania stopni (20).

Większość spraw 5879 (91%) wniosły uczelnie. Gros z nich dotyczył powołania komisji habilitacyjnej (3792) oraz recenzentów w postępowaniu o nadanie tytułu prof. (1181). Pozytywnej opinii nie uzyskało 118. Wśród spraw z instytutów PAN było podobnie (216; 31).

W roku 2019 do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie wniesiono 45 skarg na decyzje wydane przez CK jako organ II instancji, jak i na decyzje Komisji wydane po analizie wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy. Sąd administracyjny 17 z nich oddalił, 8 uznał za uzasadnione, zaś 20 wciąż oczekuje na rozpatrzenie. W roku sprawozdawczym złożono 8 skarg kasacyjnych do Naczelnego Sądu Administracyjnego od orzeczeń Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie – wszystkie czekają na rozpatrzenie.

W czerwcu rozpoczęła działalność Rada Doskonałości Naukowej, która ma docelowo zastąpić Centralną Komisję. Zasiada w niej 141 naukowców, reprezentujących 47 dyscyplin i 8 dziedzin nauki. Aż 56 osób (prawie 40%) to członkowie CK. Do końca grudnia 2019 roku poszczególne gremia RDN odbyły 36 posiedzeń, podczas których omawiano 144 wnioski w sprawie wszczęcia postępowań awansowych, w tym 73 w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego oraz 72 postępowania w sprawie nadania tytułu profesora. Najwięcej w naukach medycznych i naukach o zdrowiu (46), naukach ścisłych i przyrodniczych (24) oraz naukach inżynieryjno-technicznych (18).

Na wniosek habilitanta umorzono jedno postępowanie w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych w dyscyplinie inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka.

W ramach swej działalności statutowej Prezydium RDN wyznaczyło recenzentów w 41 postępowaniach o nadanie tytułu profesora, co stanowi 58% liczby wniosków, które wpłynęły w tej kategorii spraw oraz wyznaczyło 9 składów komisji habilitacyjnych, co stanowi 12% spraw w zakresie postępowań o nadanie stopnia doktora habilitowanego.

MK

Inaczej niż w CK

Prof. dr hab. Grzegorz Węgrzyn,
przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej tłumaczy
czym się różni funkcjonowanie RDN od pracy Centralnej Komisji

RDN działa inaczej niż CK. Przede wszystkim postępowania w sprawie nadania tytułu profesora odbywają się wyłącznie przed RDN, bez udziału jednostek naukowych – kandydat składa wniosek do Rady i tutaj jest on w całości rozpatrywany. Drugą ważną różnicą jest sposób wyłaniania recenzentów. Zespoły RDN przygotowują listy kandydatów na recenzentów w liczbie co najmniej 3-krotnie większej od liczby potrzebnych ekspertów, po czym odbywa się losowanie 5 recenzentów. W niektórych przypadkach, w szczególności w postępowaniach o nadanie tytułu profesora, znalezienie 15 kandydatów, którzy mają tytuł profesora, są merytorycznie kompetentni do oceny wniosku i nie mają konfliktu interesu, jest bardzo trudne – po prostu brak jest odpowiedniej liczby specjalistów. W niektórych dyscyplinach standardem stało się proponowanie recenzentów zagranicznych, co z kolei powoduje pewne trudności organizacyjne – na przykład konieczność przygotowania materiałów w języku angielskim (według ustawy kandydat nie ma takiego obowiązku) oraz tłumaczenie recenzji. Procedury nadawania stopni i tytułów podlegają obecnie w całości pod Kodeks Postępowania Administracyjnego, a ten wymaga, aby wszystkie dokumenty były w języku polskim.

Problemy rodzi stosowanie obecnych kryteriów ustawowych przy ocenianiu wniosków profesorskich. Głównym jest wymóg „wybitnego dorobku naukowego kandydata”, co może być różnie rozumiane, a co za tym idzie – opinie, czy wniosek spełnia to kryterium, czy nie, bywają bardzo zróżnicowane. Wiele pracy mają zatem zespoły dziedzinowe, aby rzetelnie rozpatrzyć każdy wniosek i wydać opinię w sprawie jego poparcia.

Wyzwaniem jest przeprowadzenie procedur w poszczególnych dyscyplinach, zważywszy na fakt, że każda dyscyplina jest obecnie reprezentowana w RDN przez 3 członków. Powoduje to bardzo nierównomierne obciążenie pracą w poszczególnych zespołach. Dla przykładu, do końca czerwca 2020 r. wszczętych zostało 86 postępowań profesorskich w naukach medycznych i naukach o zdrowiu, 48 postępowań w naukach ścisłych i przyrodniczych oraz 4 postępowania w naukach teologicznych. Mamy zatem zapracowanych medyków i niezbyt obciążonych pracą teologów.



Fot. Piotr Duniewski

Notował Piotr Kieraciński

Umiejdzynarodowienie i habilitacja

Umiejdzynarodowienie jest jednym z największych wyzwań polskiego szkolnictwa wyższego i nauki. Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z dnia 18 lipca 2018 r., powołanie Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej oraz znaczny strumień środków finansowych płynących do najlepszych uczelni w Polsce w ramach programu „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza” mają na celu zwiększenie rozpoznawalności polskich instytucji naukowo-badawczych na arenie międzynarodowej. Bez wątpienia działania te powinny wpłynąć na podniesienie prestiżu polskich ośrodków uniwersyteckich, ale także na ich otwartość w odniesieniu do zatrudniania badaczy z zagranicznych ośrodków naukowych. Naszym zdaniem, aby to osiągnąć, niezbędne jest wdrożenie odważnych rozwiązań pozwalających na kształtowanie i rozwój kadry naukowo-dydaktycznej posiadającej doświadczenie i kompetencje, które pozwolą polskim uczelniom konkurować na arenie międzynarodowej.

Istotną rolę w procesie umiejdzynarodowienia polskich uczelni powinny odegrać właściwie uregulowane zasady postępowania awansowych. Jedną z ważniejszych zmian zapisanych w Ustawie 2.0 jest zniesienie obligatoryjności habilitacji. Jednakże w polskim środowisku naukowym nadal panuje nieformalna presja wyboru ścieżki z habilitacją jako jedynej prowadzącej do samodzielności naukowej młodych badaczy. Trend ten w żaden sposób nie wpisuje się w realia panujące w nauce światowej, w której o ugruntowanej pozycji naukowej świadczą nie stopnie i tytuły, ale dorobek naukowy potwierdzony publikacjami w prestiżowych czasopismach czy też realizacją projektów badawczych. Co najważniejsze, obecnie obowiązujące przepisy umożliwiają zatrudnienie na stanowisku profesora uczelni osoby nieposiadającej stopnia naukowego doktora habilitowanego, co teoretycznie otwiera postępowania awansowe dla naukowców z zagranicy.

Pomimo tych nowatorskich w świecie polskiej nauki przepisów, nasze jednostki nadal tkwią w dawnych rozwiązaniach. Uczelnie do tej pory konsekwentnie powielają w ogłoszeniach konkursowych na stanowisko profesora uczelni obowiązek legitymowania się stopniem naukowym doktora habilitowanego lub tytułem profesora (uchwała Rady Młodych Naukowców nr 2/2020 z dnia 16.01.2020 r). Ponadto, w dalszym ciągu możliwość promowania młodej kadry naukowej poprzez pełnienie funkcji promotora w postępowaniu doktorskim jest zarezerwowana wyłącznie dla doktorów habilitowanych oraz profesorów tytularnych. Podobnie dopiero po uzyskaniu habilitacji otrzymuje się przepustkę do zasiadania w różnych gremiach, komisjach i radach naukowych. Wszystko to sprawia, że wybitni badacze pracujący w prestiżowych, zagranicznych ośrodkach naukowych nie są zainteresowani podjęciem pracy w polskich uczelniach z powodu ryzyka zawężonych szans naukowych, ponieważ jako osoby posiadające jedynie stopień naukowy doktora nie będą traktowani jako pracownicy samodzielni. Silna hierarchiczność stopni i stanowisk naukowych, nieefektywność stosowania obecnie obowiązujących przepisów oraz brak kluczowych uprawnień profesorów uczelnianych nieposiadających habilitacji, zwłaszcza możliwości promowania doktorów, jest zatem poważną barierą w umiejdzynarodowieniu polskich jednostek naukowo-badawczych.

Opisany problem dotyczy nie tylko cudzoziemców, którzy mogliby podjąć pracę w Polsce, ale także polskich naukowców, którzy realizowali dotąd karierę naukową za granicą. Należy podkreślić, że badacze z niejednokrotnie wartościowym dorobkiem naukowym zdobytym na zagranicznych uczelniach, ale przykładowo nieposiadający cyklu monotematycznego w rozumieniu polskich wymagań, nie mogą zostać dopuszczeni ze względów formalnych do habilitacji w Polsce. Osoby te spełniają jednak warunki kontynuowania kariery naukowej

w krajach takich jak Niemcy, Wielka Brytania czy USA, gdzie traktowani są jako naukowcy samodzielni. Bez wątpienia, repatriacja tych osób nie będzie możliwa, jeśli w nauce i szkolnictwie wyższym w Polsce nie dojdzie do realnych zmian.

Biorąc pod uwagę te uwarunkowania, postulujemy, aby polskie uczelnie w pełni otworzyły się na prowadzenie polityki kadrowej w taki sposób, aby zachęcić młodych badaczy z zagranicznym dorobkiem naukowym do aplikowania o pracę na stanowiskach badawczych czy też badawczo-dydaktycznych w naszym kraju. Otwarcie to nie powinno mieć charakteru wyłącznie pasywnego, uczelnie powinny zmienić model pozyskiwania nowych pracowników na bardziej aktywny. Po pierwsze, model ten powinien zakładać tworzenie przyjaznego środowiska pracy dla naukowców, którzy nie są wychowankami uczelni. Po drugie natomiast, oferta pracy powinna wychodzić z samej uczelni, nawet na zasadach „headhuntingu”. Powiedzmy wprost: obecnie nie wystarczy jedynie oczekiwać na zgłoszenie się kandydatów do pracy w uczelni. Kandydaci tacy mają bowiem coraz większe możliwości pracy wynikające chociażby z procesów globalizacyjnych. Obecnie w rywalizacji o dobrego pracownika nasze uczelnie konkurują już nie tylko z uczelniami zagranicznymi, ale także z korporacjami, które oferują ciekawe projekty do realizacji. Aby jednak możliwa była tego typu zmiana, uczelnie muszą zrozumieć, jak wielką wartością jest kapitał ludzki – właściwie ukształtowana kadra naukowa. Konieczne są dalsze zmiany ustawowe dotyczące samodzielności naukowej, które będą sprzyjały bardziej aktywnej polityce kadrowej uczelni, np. poprzez możliwość bardziej elastycznego podejścia do zatrudniania profesorów uczelnianych.

Wyznacznikiem jakości pracy naukowo-badawczej powinien być dorobek, a potwierdzeniem wartości wyników naukowych – ekspercka ocena ich wpływu na rozwój danej dziedziny lub dyscypliny naukowej. Sam fakt posiadania stopnia doktora habilitowanego nie powinien być kryterium wyłącznym czy też koniecznym, uwzględnianym w konkursach o stanowisko profesora uczelni czy też decydującym o jakości i potencjale kandydata na stanowisko profesorskie. Wyłącznie znaczny dorobek naukowy, a nie stopień czy też tytuł (które mają charakter administracyjny), powinien być wyznacznikiem uzyskania uprawnień do pełnienia funkcji promotora czy też recenzenta prac doktorskich. Jako przepustkę do pełnej samodzielności naukowej należy uznać kierowanie i zarządzanie własnym projektem badawczym. Możliwość promowania doktorów powinni posiadać kierownicy grantów, w ramach których realizowana jest praca doktorska.

Każdy naukowiec powinien podążać ścieżką kariery w zgodzie z własnymi potrzebami, przekonaniami i planami życiowymi. Nie powinniśmy doprowadzać do sytuacji, w której wywiera się presję na naukowcach, aby wszczynali procedurę habilitacji wyłącznie z pobudek formalnych i utylitarnych, tj. mających na celu zapewnienie sobie możliwości zatrudnienia w polskich instytucjach nauki. Świadoma decyzja o podjęciu starań o uzyskanie stopnia doktora habilitowanego powinna wynikać z wewnętrznych pobudek oraz silnego przekonania o zasadności wyboru tej ścieżki. Pozytywny wynik procesu habilitowania nie powinien stanowić jedynej przesłanki nazywania kogoś samodzielnym pracownikiem nauki. Odpowiedzią na tak opisane postulaty jest realne wprowadzenie fakultatywnej habilitacji, co otwierałoby uczelniom drogę do zatrudniania nie tylko zdolnych i ambitnych młodych naukowców z kraju, ale również tych najlepszych z zagranicy. Zauważmy bowiem, że istnieje znaczne grono młodych naukowców z Europy Zachodniej, którym mimo świetnego dorobku naukowego i naukowo-dydaktycznego, zagranicznych długoterminowych staży badawczych i aktywnym pozyskiwaniu fundu-

szy na badania, nie udało się znaleźć zatrudnienia na stałe na pozycji profesorskiej. Wszak zagraniczne systemy awansów również odznaczają się wadami i nie wszyscy naukowcy chcą w takich systemach funkcjonować.

W związku z tym warto, aby polskie uczelnie podjęły próbę przedstawienia takim osobom ofert pracy w Polsce, gdzie jak dotąd łatwiej jest o stałą pozycję w relatywnie młodym wieku. Grupą docelową takiej strategii mogłoby być przykładowo naukowcy z Niemiec lub Holandii, gdzie młodzi badacze przemieszczają się co 2-3 lata z ośrodka do ośrodka w celach zatrudnieniowych (tzw. wieczni postdoci). Proces ten niekiedy trwa do 40-45 roku życia, kiedy to zmuszeni są oni do rezygnacji z pracy naukowej w celu uzyskania życiowej stabilizacji (np. na rzecz rodziny).

Niewątpliwie włączenie badaczy z zagranicy do kadry naukowej i dydaktycznej uczelni spowodowałoby wytworzenie atmosfery umiędzynarodowienia. Ta w sposób naturalny wymusiłaby zmiany w funkcjonowaniu administracji czy też podległych jej centrach, wydziałach i instytutach, przygotowując je do funkcjonowania w środowisku międzynarodowym, tak bardzo naturalnym i nieodzownym dla nauki i szkolnictwa wyższego. Przyczyniłoby się to również do podniesienia jakości kształcenia i badań. Doskonałym przykładem korzystnego wpływu obecności pracowników badawczo-dydaktycznych z bagażem doświadczeń i kompetencjami zdobytymi za granicą jest chociażby kształcenie. Poprzez prowadzenie zajęć dydaktycznych w języku angielskim przez doświadczonych „tutorów” studentów i doktoranci mieli by możliwość zapoznania się z innymi praktykami

nauczania czy prowadzenia prac badawczych, bez konieczności wyjeżdżania za granicę. Proces ten, nazwijmy go „umiędzynarodowieniem w domu”, pozwoliłby w dłuższej perspektywie czasu na strukturalną reorganizację uczelni, co miałoby realny wpływ na pozycję polski na arenie międzynarodowej.

Po trzydziestu latach transformacji czas spojrzeć prawdzie w oczy i zauważyć, że Polska jako kraj straciła licznych naukowców, którzy wyemigrowali do innych ośrodków europejskich, zwłaszcza po wejściu naszego kraju do Unii Europejskiej. Jednym z powodów emigracji była kultura chowu wsobnego, tak rozpowszechniona w naszych uczelniach. Tymczasem najbardziej konkurencyjne ośrodki naukowe cechuje różnorodność. A nie można o niej mówić w przypadku ośrodków homogenicznych, w których kadra kształtowana jest chowem wsobnym (Wieczorek J., Wójcik C., *Nomadizm niemobilnych*, „Forum Akademickie” 12/2004).

Fakultatywność habilitacji jest opcją, z której warto skorzystać, aby sytuację tę odwrócić i podjąć realną próbę umiędzynarodowienia naszych uczelni. Najwyższy czas odejść od tradycyjnych modeli funkcjonujących od lat, które jak czas pokazał, okazały się nieefektywne i nie wzmocniły dotychczas pozycji polskiej nauki i szkolnictwa wyższego na arenie międzynarodowej.

Justyna Mozejko-Giesielska (Uniwersytet Warmiński-Mazurski w Olsztynie, wiceprzewodnicząca Rady Młodych Naukowców); Ewelina Pabjańczyk-Włazło (Politechnika Łódzka, członkini RMN); Paweł Tecmer (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, członek RMN); Piotr M. Wojtulek (Uniwersytet Wrocławski, przewodniczący RMN)

Najstarszy polski neandertalczyk

Międzynarodowy zespół z udziałem naukowców Uniwersytetu Wrocławskiego i Instytutu Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN poinformował o najstarszym genomie mitochondrialnym neandertalczyka z Europy Środkowo-Wschodniej. Genom ten, wyizolowany z zęba odkrytego w jaskini Stajnia na Wyżynie Częstochowskiej, ujawnia genetyczne i kulturowe powiązania między obszarem Polski a północnym Kaukazem.

Ząb został znaleziony wśród kości zwierzęcych i kilku kamiennych narzędzi w roku 2007 podczas badań terenowych pod kierunkiem dr. Mikołaja Urbanowskiego. Analiza genetyczna potwierdziła, że pod względem cech paleoantropologicznych morfologia zęba jest typowo neandertalska. Starcie korony wskazuje, że należał on do dorosłego osobnika.

Naukowcy stwierdzili, że genom mitochondrialny z Jaskini Stajnia był najbliższy genomowi neandertalczyka z Jaskini Mezmaiskaya 1 na Kaukazie. Do określenia przybliżonego wieku użyto molekularnego zegara genetycznego. Oszacowano, że znalezisko może pochodzić sprzed około 80 tys. lat. Choć takie oceny bywają obarczone dużym błędem, połączenie tej informacji z zapisem archeologicznym pozwoliło na umiejscowienie szczątków na początku ostatniego zlodowacenia. To ważny okres w dziejach neandertalczyków – niektóre grupy przemieściły się wówczas w kierunku wschodnim do Azji Środkowej. Polska jest obszarem kluczowym dla zrozumienia tych migracji.

Przypuszczalnie głównymi szlakami z obszaru Polski w kierunku Kaukazu były doliny Prutu i Dniestru. Około 100 tys. lat temu klimat gwałtownie się pogorszył i środowisko środkowo-wschodniej Europy zmieniło się z leśnego na bardziej otwarte, zwane stepem mamucim. Sprzyjało ono rozprzestrzenianiu się mamuta, nosorożca włochatego i innych zimnolubnych gatunków. W tych warunkach neandertalczyki podlegali dramatycznym fluktuacjom o charakterze demograficznym. Na tereny znajdujące się powyżej 48° szerokości geograficznej powracali jedynie podczas ociepleń klimatu. Pomimo nieciągłości w zasie-



Cyfrowy model 3D trzonowca z Jaskini Stajnia.

dleniu w Europie Środkowo-Wschodniej od początku tych zmian środowiskowych aż po wymarcie neandertalczyków przetrwała tradycja wykorzystywania specyficznych narzędzi bifacjalnych.

Zespoły zawierające tego rodzaju narzędzia, zwane kulturą mikocką, rozprzestrzeniły się w zimnym środowisku obszarów rozciągających się od wschodniej Francji poprzez Polskę aż po Kaukaz. Poprzednie analizy genetyczne wykazały, że dwa główne wydarzenia związane z przemianami demograficznymi w historii neandertalczyków są powiązane z mikocką tradycją kulturową. Około 90 tys. lat temu zachodnioeuropejski neandertalczyk zastąpił lokalną populację ałtajską z Azji Środkowej. Następnie zachodnioeuropejczy neandertalczyki zastąpili lokalne grupy neandertalczyków na Kaukazie. Okres ten trwał co najmniej 45 tys. lat.

Otwór Jaskini Stajnia był przypuszczalnie za wąski, by pozwalać na dłuższe zamieszkiwanie. Najprawdopodobniej pobyty neandertalczyków w tym stanowisku były krótkotrwałe. Mogło mieć ono charakter logistyczny i było zasiedlane podczas wypraw na Wyżynę Krakowsko-Częstochowską.

Wojciech Głodek

Zwycięstwo technik synchronicznych

Dr inż. Renata Długosz i dr Monika Lindner z Centrum Nauczania Matematyki i Fizyki Politechniki Łódzkiej przedstawiają swoje doświadczenia z prowadzenia zajęć z matematyki na uczelni technicznej w warunkach wymuszonego e-learningu.

W marcu koronawirus zaskoczył wszystkich. Ostatnie zajęcia kontaktowe na Politechnice Łódzkiej odbyły się 11 marca. Uczelnia szybko zareagowała na nową sytuację i już następnego dnia rozpoczęły się zdalne webinaria szkoleniowe przygotowujące wszystkich pracowników do prowadzenia zdalnych zajęć. Politechnika Łódzka zapewniła pracownikom następujące narzędzia: platformę Webinaria PŁ do prowadzenia wykładów i seminariów, platformę zdalnego nauczania WIKAMP oraz usługi w chmurze Office365. W szczególności pakiet MS Teams był chyba najczęściej wykorzystywany m.in. do ćwiczeń i projektów. Niektórzy pracownicy przeszli szkolenia certyfikujące do e-learningu wcześniej.

Dla nas platforma WIKAMP nie była pełną nowością, korzystaliśmy już wcześniej z jej niektórych funkcjonalności, takich jak zamieszczanie materiałów dydaktycznych i wstawianie ocen z kolokwii. Uczestniczyliśmy też w poprzednich latach w eksperymentach dotyczących zdalnej edukacji w zespole utworzonym w Centrum Nauczania Matematyki i Fizyki. W szczególności tworzyliśmy mniej lub bardziej interaktywne materiały wspierające studentów w samokształceniu. W ramach tych prób nagrywaaliśmy filmy edukacyjne, opracowywaaliśmy zbiory zadań do wykorzystania w nauczaniu programowanym. Od wielu lat udzielamy indywidualnych konsultacji przy pomocy komunikatora Skype.

Wspólnie w tym semestrze prowadziliśmy przedmiot matematyka II składający się z modułów arytmetyka finansowa i statystyka dla dwóch kierunków: sieci i instalacje w inżynierii środowiska oraz planowanie przestrzenne na wydziale Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska (pięć grup ćwiczeniowych).

Wykorzystaliśmy następujące technologie i metody:

- 1) statyczny wykład w formacie pdf udostępniany studentom na platformie Wikamp (tworzony najczęściej przy pomocy LaTeXa/Beamera);
- 2) taki sam wykład, ale wygłoszony na żywo w ramach webinarium (platforma Webinaria PŁ), a następnie udostępniony studentom (platforma Wikamp);
- 3) statyczny zestaw zadań w formacie pdf, jpg wraz ze szczegółowymi rozwiązaniami, uzupełniony o podobne zadania do samodzielnej pracy (platforma Wikamp);
- 4) rozwiązywanie problemów z matematyki finansowej w Excelu na żywo z ekranem udostępnionym studentom (platforma Wikamp, platforma Teams);
- 5) pisanie razem ze studentami na wirtualnej tablicy – nauczyciel korzystał z tabletu graficznego (platforma Wikamp, platforma Teams);
- 6) przysyłanie studentom odręcznie napisanych rozwiązań zadań w formie skanów. Metoda mało zaawansowana technicznie, ale bardzo wydajna. Świetnie się sprawdza tam, gdzie intensywnie wymieniamy myśli z małą grupą studentów. Tę metodę w 99% wybierali studenci, żeby nam coś odesłać. Dla nich jest to często jedyny sposób przesyłania tekstu z wzorami matematycznymi;
- 7) indywidualne konsultacje, podczas których łączono metody wymienione w punktach 3, 4 i 5.

Po semestrze pracy zdalnej odnosimy wrażenie, że techniki uczenia asynchronicznego (czyli przygotowywania materiałów do indywidualnej pracy studenta) przegrały z metodami synchronicznymi (czyli opartymi na bezpośrednim kontakcie). Studenci także sygnalizowali,

że samo udostępnienie wykładu i rozwiązanych zadań w formie pliku pdf im nie wystarcza. Tego typu statyczne materiały powinny tylko uzupełniać zajęcia prowadzone na żywo.

Zdecydowaną popularnością cieszyły się materiały, które powstały podczas ćwiczeń. W szczególności arkusze Excela, w których rozwiązywaaliśmy wspólnie problemy z zakresu arytmetyki finansowej i statystyki.

Potwierdziło się, że statyczny materiał udostępniony studentom zwykle przegra z wypracowanym wykładem w formie prezentacji, wygłoszonym online na żywo. A ten ostatni przegra z lekcją, w której wypracowana prezentacja będzie mieszana z rachunkami prowadzonymi na bieżąco.

Podczas zajęć online łatwo było przeoczyć studentów, którzy się nie zgłaszali, nie brali czynnego udziału, być może nie słuchali. Próbowaliśmy temu zapobiec, monitorując aktywność studentów np. poprzez krótkie ankiety podsumowujące wykłady, a podczas ćwiczeń przez wspólne rozwiązywanie zadań na wirtualnej tablicy. Dodatkowo udostępnialiśmy testy sprawdzające wiedzę oraz komunikowaliśmy się ze studentami na platformie Moodle poprzez moduł zadania domowego. Najlepszy kontakt mieliśmy jednak z tymi, którzy zgłaszali się na konsultacje ze skonkretyzowanymi pytaniami.

Na każdym kursie udało się zrealizować wszystkie treści programowe zawarte w kartach przedmiotu. Problematyczna okazała się jednak realna ocena stopnia przyswojenia materiału przez studentów.

Ostateczną decyzję w sprawie zaliczeń wszyscy odkładaliśmy w nadziei, że uda się wrócić na uczelnię. Kiedy okazało się, że zaliczenia i egzaminy muszą się odbyć w formie zdalnej, zdecydowaliśmy się głównie na testy (platforma Moodle), ponieważ taka forma zaliczenia była najbliższa tej zapowiedzianej w karcie przedmiotu. Platforma do testów pozwala na kontrolowanie przebiegu testu, reguluje dostęp tylko dla osób zapisanych na przedmiot, wymusza terminowe rozpoczęcie i zakończenie testu. W każdej chwili mogliśmy prosić studenta, aby pokazał się w kamerze. Dodatkowo wymagałyśmy, aby studenci przesłali nam skany kartek użytych podczas rozwiązywania – przydatne w sytuacjach spornych. Osoby, które zaliczyły testy na co najmniej 4, a chciały dostać wyższą ocenę, odpowiadały przed kamerą. Nie można jednak wykluczyć, że część studentów napisała testy niesamodzielnie, chociaż zdawalność była podobna do tej z lat poprzednich.

Jeżeli sytuacja epidemiologiczna nie poprawi się, od października prawdopodobnie czeka nas prowadzenie nowych zajęć zdalnie. Korzystając z doświadczenia zdobytego w ostatnim semestrze, sądzimy, że większość zajęć poprowadzimy na żywo w formie webinarium lub na platformie Teams. Wszystkie materiały z wykładów i ćwiczeń zostaną udostępnione studentom na platformie Wikamp. Będziemy w dalszym ciągu zachęcały do korzystania z konsultacji. Mamy pomysł na tworzenie dodatkowych materiałów interaktywnych w postaci np. quizów uczących czy filmików.

Efekty uczenia się będziemy weryfikowały na różne sposoby. Być może niektóre będziemy sprawdzały na bieżąco zadając słuchaczom wybrane zagadnienia do samodzielnego opracowania i przedstawienia. Wtedy będziemy pewne, że przynajmniej część materiału student zaliczy samodzielnie. Wiadomo już, że uczelnia udoskonaliła platformę Webinarium, co pozwoli na lepszą komunikację z uczestnikami zajęć online, a także na zwiększenie kontroli podczas testów.

Granty na start

Siedmioro polskich naukowców otrzymało Starting Grants Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Trzej z nich swoje badania będą prowadzić w kraju.

Pierwszy w historii grant ERC na Akademii Górniczo-Hutniczej zdobyła dr hab. inż. Urszula Stachewicz, prof. AGH, pracująca na Wydziale Inżynierii Metali i Informatyki Przemysłowej. Celem jej projektu jest opracowanie innowacyjnego materiału, który odwzorowując właściwości izolacyjne znane w naturze, pozwoli zmniejszyć codzienne zużycie energii. Zainspirowała się włosami niedźwiedzia polarnego i piórami pingwinów, bogatymi w ceną kreatywną, a do tego odznaczającymi się specyficzną geometrią zapewniającą wyjątkowe właściwości termiczne. Wyprodukowane metodą elektroprzędzenia kompozyty będą bazowały na włóknistych membranach, w zależności od potrzeby skutecznie odprowadzających bądź uwalniających ciepło. Znajdą zastosowanie w branży budowlanej jako izolacja budynków, w urządzeniach elektronicznych czy infrastrukturze okablowania. Ważnymi cechami tych materiałów będą biodegradowalność i możliwość recyklingu.

– Moje badania często są inspirowane rozwiązaniami, które w świecie przyrody istnieją od milionów lat. Cieszę się, że Komisja Europejska dostrzegła potencjał takich prac i tego typu materiałów – zauważa prof. Stachewicz, która wcześniej wykorzystywała nanowłókna polimerowe do pozyskiwania wody z mgły.

ERC przyznała jej grant w wysokości 1,7 mln euro. Badania rozpoczną się na początku przyszłego roku.

Dwóch kolejnych laureatów związanych jest z Wydziałem Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Dr Wojciech Czerwiński otrzymał 1,34 mln euro na badania nad systemami informatycznymi nieskończenie stanowymi.

– Jeśli wyobraźmy sobie program jako coś, co przechodzi z jednego stanu do drugiego, możemy zadać sobie pytanie: czy po wystartowaniu z jednego stanu program może popełnić błąd, dochodząc do pewnego złego stanu końcowego? W ten sposób wykrywa się błędy w programach. W praktyce polega to na sprawdzeniu pewnego wycinka programu, np. podukładu czy procesora. Można sobie zamodelować wybrany jego aspekt i zobaczyć, czy start z danej konfiguracji pozwala na dalszy ciąg kroków – tłumaczy.

Jego celem jest m.in. stworzenie algorytmu, który dla danego systemu, określającego sytuację początkową i zestaw ruchów do dyspozycji, odpowiedziałby na pytanie o możliwość przejścia do konkretnej sytuacji końcowej. Miałby on być szybszy od dotychczasowych i w niedalekiej przyszłości przyczynić się do znaczącego przełomu w technologii.

Teoretyczny charakter, ale z szansą na praktyczne zastosowanie, ma również projekt dr. Michała Pilipczuka, specjalizującego się w algorytmice, czyli rozwiązywaniu różnego rodzaju problemów obliczeniowych, głównie na grafach. Informatyk z UW zbada strukturalne i dekompozycyjne własności sieci, próbując je użyć do stworzenia szybkich metod obliczeniowych.

– Grafy to matematyczne modele sieci. Wyobraźmy sobie sieć drogową w Polsce: wierzchołkami grafów będą np. miasta, a krawędziami połączenia między nimi. Chcielibyśmy postawić 100 nowych szpitali i zrobić to w taki sposób, aby zminimalizować średni czas dojazdu

do pacjenta. Musimy wziąć pod uwagę, że istnieją już pewne szpitale i drogi. Taki problem w ogólności jest trudny, nie wiemy, jak go szybko rozwiązywać – wyjaśnia.

Będzie zajmował się zastosowaniem strukturalnej teorii grafów w czterech obszarach dotyczących: teorii grafów rzadkich, parametryzowanych algorytmów dynamicznych, algorytmów na grafach planarnych oraz algorytmów na grafach z zabronionymi podstrukturami. Na badania dostał prawie 1,4 mln euro.



Urszula Stachewicz



Wojciech Czerwiński



Michał Pilipczuk

Wśród grantobiorców jest jeszcze czworo Polaków, którzy swoje badania będą prowadzić w zagranicznych ośrodkach. Dr Anna M. Kaczmarek, absolwentka chemii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zamierza na Uniwersytecie w Gandawie (tam w 2015 roku obroniła doktorat, teraz jest na postdoku) opracować nowe rodzaje nanotermometrów, za pomocą których odbywać się będzie nie tylko pomiar temperatury, ale i podawanie leków. Dr Wojciech Galej, który ukończył chemię na Uniwersytecie Warszawskim, w 2013 roku doktoryzował się na Uniwersytecie Cambridge, a od czterech lat jest liderem zespołu w Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej w Grenoble, zbada proces znany jako splicing pre-mRNA, polegający na usunięciu sekwencji niekodujących i połączeniu sekwencji kodujących z prekursorowego mRNA, a – w przypadku nieprawidłowości – prowadzący do zaburzeń genetycznych. Z kolei dr Joanna Wencel-Delord, która urodziła się w Poznaniu, ale studia chemiczne podjęła już we Francji (Ecole Nationale Supérieure de Chimie de Rennes i Uniwersytet w Rennes – tam również doktorat), w Centre National de la Recherche Scientifique w Strasburgu zajmie się nowymi rozwiązaniami w zakresie funkcjonalizacji wiązań węgiel-wodór alkanów.

Ostatnim z polskich laureatów jest dr hab. Eric Daniel Głowacki, który urodził się w polskiej rodzinie w USA, studiował chemię i historię na University of Rochester, doktorat obronił w 2013 r. na Uniwersytecie Johannesa Keplera w Linzu, a habilitację uzyskał w 2019 r. na Uniwersytecie Linköping w Szwecji. W tamtejszym Laboratorium Elektroniki Organicznej, jako lider zespołu, zrealizuje projekt z zakresu medycyny optoelektronicznej, a dotyczący regulacji komórek nerwowych za pomocą światła. E.D. Głowacki realizuje też finansowane z grantu NCN badania na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej.

W sumie Europejska Rada ds. Badań Naukowych przyznała 677 mln euro na 436 przełomowych projektów, w tym w naukach fizycznych i inżynierskich 186, w naukach społecznych i humanistycznych 126 oraz w naukach o życiu 124. Badacze będący od 2 do 7 lat po doktoracie złożyli 3272 wnioski, co oznacza, że wskaźnik sukcesu wyniósł 13,3%. Najwięcej grantów otrzymali Niemcy (102), Włochy (53) i Francuzi (37). Projekty realizowane będą w 25 krajach, przy czym aż połowa w czterech: Niemczech (88), Wielkiej Brytanii (62), Niderlandach (42) i Francji (38).

Od 2007 roku, czyli od momentu powstania ERC, do 16 polskich jednostek trafiło już 41 grantów wszystkich kategorii, w tym 27 Starting Grants, 6 Consolidator Grants, 5 Advanced Grants i 3 Proof of Concept Grants.

MK

Tak dobrze jeszcze nie było

Po trwającej dwa lata zadyszce w postaci systematycznego spadku liczby zgłoszeń o ochronę w trybie krajowym wynalazków, wzorów użytkowych, znaków towarowych i wzorów przemysłowych w 2019 roku nastąpiło znaczące przełamanie trendu. Do Urzędu Patentowego RP wpłynęły 22.973 wnioski, co jest wynikiem nienotowanym dotąd w annałach. Jeśli dodać do tego jeszcze ponad 14,1 tys. aplikacji o walidację patentów europejskich, wychodzi na to, że był to wyjątkowo urodzajny rok dla innowatorów. Dość powiedzieć, że zgłoszeń było o 4,7% więcej niż 12 miesięcy wcześniej, kiedy krzywa zapikowała najniżej w ostatniej dekadzie.

Urzednicy przeprowadzili 33.700 badań formalnoprawnych zgłoszeń. Rozpatrzono także 39.190 spraw dotyczących ochrony praw przemysłowych, w których zakończono postępowania. W trybie krajowym i międzynarodowym udzielono 31.422 praw wyłącznych. Na koniec grudnia w Polsce pozostawało w mocy 336.642 praw wyłącznych na przedmioty własności przemysłowej, w tym m.in. 18,3 tys. patentów na wynalazki, 3,6 tys. wzorów użytkowych i 73,6 tys. patentów europejskich.

Podmioty krajowe w 2019 r. zgłosiły do ochrony w trybie krajowym i międzynarodowym 3.887 wynalazków i 855 wzorów użytkowych. Najwięcej – 236 – z zakresu inżynierii lądowej, ale aż 1.200 nie przypisano do żadnej dziedziny. Jeśli chodzi o strukturę podmiotów zgłaszających, nic się nie zmieniło. Nadal dominuje sektor gospodarki (47,55%), w którym o innowacje dbają głównie małe i średnie przedsiębiorstwa zatrudniające do 250 osób (88% zgłoszeń). To głównie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą i spółki akcyjne. Wysłały one w sumie 1.783 aplikacje, czyli 79% wszystkich z tego sektora.

Podmioty naukowe były autorami 1.851 wniosków, co stanowi 39% ogólnej ich liczby. Prawie co trzeci (30,85%) pochodził ze szkoły wyższej. Wzrost odsetek zgłoszeń z instytutów badawczych (z 5,65% do 6,47%) i jednostek naukowych PAN (z 1,09% do 1,71%). Chociaż to firmy stanowią większość wśród zgłaszających, pod względem liczby aplikacji liderami były uczelnie, głównie techniczne. Politechnika Lubelska dokonała wprawdzie cztery zgłoszenia mniej (135) niż w 2018 roku, ale nie przeszkodziło jej to w utrzymaniu pierwszej pozycji. W czołówce uplasowały się: Politechnika Wrocławska (106), Politechnika Śląska (103), Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (95) i Politechnika Łódzka (93). W rankingu 30 najaktywniejszych szkół wyższych połowę stanowią techniczne, a pozostałe to uniwersytety klasyczne (9), przyrodnicze/rolnicze (4), jeden medyczny i jedna uczelnia wojskowa.

Odsetek zgłoszeń od podmiotów zagranicznych utrzymał się na poziomie ok. 3,5%. Wśród wnioskodawców znajdują się przedstawi-

ciele 29 państw, przy czym więcej niż 10 zgłoszeń dokonały podmioty z: USA, Czech, Niemiec i Ukrainy.

Polskim wynalazcą w 2019 roku przyznano w trybie krajowym 2.947 patentów (+41 w stosunku do 2018) i 603 prawa ochronne na wzory użytkowe (-166). Jeszcze rok temu przeważały patenty i prawa udzielone firmom (+3 p.p.), za to teraz na czoło nieznacznie wyszorowały się podmioty naukowe (+1,23 p.p.), z których 36,7% stanowiły szkoły wyższe, 7,63% – instytuty badawcze, a 2,59% – jednostki PAN. Liderem, podobnie jak przed rokiem, jest w 2019 r. Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie (121 patentów), a trzycifrowy wynik osiągnęły ponadto politechniki Lubelska (118) i Łódzka (101). Pierwszą dziesiątkę uzupełniają: Politechnika Wrocławska (85), Akademia Górniczo-Hutnicza (83), Politechnika Warszawska (66) Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (64), Politechnika Krakowska (58), Politechnika Śląska (57) i Politechnika Poznańska (49). Na 13. miejscu sklasyfikowano pierwszą w wykazie uczelnię nietechniczną – Uniwersytet Śląski (28). Najwyżej spoza uczelni – na 16. miejscu – plasuje się Muzeum i Instytut Zoologii PAN (23).

Najwięcej patentów i praw ochronnych na wzory użytkowe dotyczyło inżynierii lądowej (255) i chemii wysokogatunkowych związków organicznych (220). Ponad 40% udzielonych praw wyłącznych przypadło na 3 regiony: Mazowsze (655), Śląsk (437) i Małopolskę (406).

Wzrosła, choć jeszcze nie do poziomu sprzed kilku lat, liczba patentów otrzymanych w trybie krajowym przez podmioty zagraniczne. Jeszcze w 2014 roku było ich 355, w 2017 – 109, w 2018 – ledwie 74, a w ubiegłym roku znów podskoczyła – do 95. Z kolei praw ochronnych na wzory użytkowe udzielono 51, najwięcej od 5 lat. Dominują podmioty amerykańskie (25), niemieckie (26) i czeskie (15).

UPRP udostępnił też wykaz pokazujący aktywność uczelnianych innowatorów w ciągu minionych 7 lat. W tym okresie najprężniej działała Politechnika Wrocławska, której pracownicy zdobyli 929 patentów i praw ochronnych. Dolnośląska uczelnia zdystansowała AGH (704) oraz ZUT (616). W pierwszej dziesiątce znalazły się także politechniki: Łódzka (582), Lubelska (555), Warszawska (490), Śląska (413), Poznańska (412) i Gdańska (316) oraz Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (385). Najwyżej sklasyfikowaną uczelnią tzw. bezprzymiotnikową jest Uniwersytet Warmińsko-Mazurski – na 14. miejscu (186). Wśród 30 uczelni, które znalazły się w zestawieniu, ponad połowę stanowią techniczne (17). Ponadto w zestawieniu ujęto 5 klasycznych uniwersytetów, 5 uczelni rolniczych, 2 medyczne i jedną wojskową.

MK

Liczba patentów uzyskanych przez szkoły wyższe w latach 2013-2019

Nazwa podmiotu	2013	2014	2015	2016	2017	2018	2019	Suma
Politechnika Wrocławska	197	123	116	194	120	94	85	929
Akademia Górniczo-Hutnicza Im. Stanisława Staszica w Krakowie	77	108	118	134	105	79	83	704
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie	78	51	103	61	96	106	121	616
Politechnika Łódzka	76	71	59	106	97	72	101	582
Politechnika Lubelska	38	51	98	97	88	65	118	555
Politechnika Warszawska	57	53	61	93	81	79	66	490
Politechnika Poznańska	66	61	51	70	53	63	49	413
Politechnika Śląska	46	65	62	80	52	50	52	412
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	63	52	67	48	37	54	64	385
Politechnika Gdańska	45	55	34	58	43	37	44	316

Zmiany na Zachodzie

Nowoczesna pracownia telewizyjna ze studiem nagrań, pracownia testów psychologicznych czy pomieszczenia akademickiego centrum wsparcia – Wydział Politologii i Dziennikarstwa oraz Instytut Psychologii UMCS przeprowadzają się z placu Litewskiego na teren tzw. kampusu zachodniego. Za 84 miliony złotych powstały tam dwa związane łącznikiem gmachy.

Kampus zachodni UMCS to obszar po koszarach między Al. Kraśnicką a starym miasteczkiem akademickim UMCS o powierzchni ponad 62,6 tys. m². Od dawna mieszczą się tam wydziały: Artystyczny oraz Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej.

Na teren kampusu zachodniego, który w czerwcu 2019 roku został nazwany na cześć zawartej w 1569 roku Unii Lubelskiej, przeprowadza się Wydział Politologii i Dziennikarstwa oraz Instytut Psychologii, który wchodzi w skład Wydziału Pedagogiki i Psychologii.

W ciągu 18 miesięcy powstał nowoczesny kompleks o powierzchni ponad 11 tys. m². Od strony zachodniej stoi pięciokondygnacyjny budynek Wydziału Politologii i Dziennikarstwa o powierzchni 6183,2 m², zaś w skrzydle wschodnim na powierzchni 3750,2 m² zlokalizowany został Instytut Psychologii. W łączniku o powierzchni 1152,74 m² znajdują się: biblioteka, szatnia, barek oraz pomieszczenia techniczne. Są tam też pracownie telewizyjne ze studiem nagrań, pomieszczenia kół naukowych i siedziba Legii Akademickiej. W obiekcie Instytutu Psychologii ulokowane zostały m.in.: pracownia testów psychologicznych czy pomieszczenie akademickiego centrum wsparcia.

Przeniesienie Wydziału Politologii i Dziennikarstwa oraz Instytutu Psychologii na teren kampusu zachodniego będzie korzystne nie tylko dla studentów. – Skorzysta również sama uczelnia, która lokalizuje swoje jednostki w pobliżu serca UMCS, czyli miasteczka akademickiego – tłumaczy rzecznik UMCS, Aneta Adamska. Na 84 mln zł, które pochłonęła inwestycja, składają się dotacja Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w wysokości 40 mln zł oraz środki własne uczelni. Obiekty zaprojektowała firma Home of Houses z Poznania, a wykonała warszawska firma Warbud. Nowe obiekty oferują nie tylko wyższy standard, ale po prostu są większe: politologia i dziennikarstwo dysponuje na kampusie zachodnim powierzchnią większą o 84% od tej, jaką użytkowała w centrum miasta, zaś psychologia o ponad 43% większą.

Wokół nowych budynków znajdują się 83 miejsca parkingowe, w tym 4 dla osób niepełnosprawnych. Powstaną też trawniki, nasadzenia drzew i krzewów.

A co ze starymi budynkami w centrum miasta? Władze UMCS podjęły decyzję o ich sprzedaży. W Pałacu Lubomirskich – który w listopadzie 1918 roku przez kilka dni był siedzibą rządu Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej, znanego jako rząd Ignacego Daszyńskiego

– gdzie do końca września mieści się siedziba Wydziału Politologii i Dziennikarstwa, powstanie Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej. W listopadzie 2017 roku nieruchomość została sprzedana Muzeum Lubelskiemu za prawie 11 mln zł. Budynek Instytutu Psychologii na razie nie został sprzedany.

Od roku akademickiego 2021/2022 na teren kampusu zachodniego UMCS ma się przenieść również Instytut Pedagogiki, który obecnie ma swoją siedzibę w centrum Lublina przy ul. Narutowicza. Uczelnia zbuduje dla niego w bezpośrednim sąsiedztwie Instytutu Psychologii pięciokondygnacyjny obiekt o powierzchni ponad 6200 m². Oprócz nowoczesnych auli i sal wykładowych znajdują się tam również pracownie specjalistyczne, m.in.: pracownia Montessori, kompetentnego nauczyciela, plastyczna, fotograficzna, taneczna, pracownia teatralno-muzyczna ze sceną, a także pomieszczenie do diagnozy neuropedagogicznej. Budynek ma być przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych. Inwestycja pochłonie 43 mln zł. Przetarg w tej sprawie został rozstrzygnięty pod koniec kwietnia. Zwyciężyła firma Anna Bud z Warszawy. Stary budynek przy ul. Narutowicza ma zostać sprzedany.

Wydział Politologii i Dziennikarstwa UMCS (dawna nazwa to Wydział Politologii), którego historia sięga 1993 roku, kształci prawie 2 tys. studentów na kierunkach: dziennikarstwo i komunikacja społeczna, produkcja medialna, politologia, bezpieczeństwo narodowe, społeczeństwo informacyjne, international relations, public relations i zarządzanie informacją czy administracja publiczna. W skład wydziału wchodzi Instytut Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach oraz Nauk o Polityce i Administracji. UMCS ma uprawnienia do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego w zakresie nauk o komunikacji społecznej i mediach oraz nauk o polityce i administracji.

Wydział Pedagogiki i Psychologii kształci ponad 2 tys. studentów, w tym ponad 500 w Instytucie Psychologii, na kierunkach: psychologia, pedagogika, pedagogika specjalna, animacja kultury, pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna. W skład wydziału wchodzi Instytut Pedagogiki oraz Psychologii. UMCS ma uprawnienia do nadawania doktoratów w dyscyplinach psychologia i pedagogika oraz habilitowania w zakresie pedagogiki.

Obecnie na Wydziale Artystycznym kształci się ponad 500 studentów, a na Wydziale Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej ponad tysiąc osób. Oznacza to, że na kampusie zachodnim od października będzie studiować ponad 4 tys. studentów z czterech wydziałów UMCS.

Grzegorz Rekiel
Fotoreportaż na 3 str. okładki



Akademia Kaliska

Oto stała się rzecz niemożliwa przed lipcem 2018 r. – minister szkolnictwa wyższego i nauki Wojciech Murdzek podniósł PWSZ do rangi uczelni akademickiej, zmieniając jej nazwę w drodze rozporządzenia. Brzmi ono lapidarnie: „Z dniem 1 września 2020r. zmienia się nazwę Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego w Kaliszu na Akademię Kaliską im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego”. Podstawę prawną takiego działania daje art. 35 ust. 2 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 20 lipca 2018 r.

Kaliska PWSZ powstała w 1999 r., a w roku 2005 przyjęła imię prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. W ciągu 20 lat jej dyplomy otrzymało ponad 16 tys. absolwentów. Dziś na 18 kierunkach I stopnia i 11 kierunkach II stopnia kształcą się tam ok. 3,2 tys. studentów. Akademia oferuje też 11 programów podyplomowych.

Uczelnia od lat stawiała konsekwentnie na rozwój własnej kadry i badań naukowych. Kolejni rektorzy deklarowali akademickie ambicje kaliskiej PWSZ. Wymogi formalne udało się spełnić w ostatnich latach, gdy uczelnia uzyskała prawa do doktoryzowania w dziedzinie nauk medycznych i nauk o zdrowiu w dyscyplinie nauki o zdrowiu oraz w dziedzinie nauk społecznych w dyscyplinie nauki o bezpieczeństwie. Formalnie stała się wówczas uczelnią akademicką, choć do 1 września br. posługiwała się tradycyjną nazwą.

Strukturę Akademii Kaliskiej tworzą wydziały: Nauk Społecznych, Politechniczny, Nauk o Zdrowiu oraz Wydział Medyczno-Społeczno-Techniczny we Wrześni.

Kadrę akademicką Akademii Kaliskiej tworzy 276 pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych, w tym 42 profesorów zwyczajnych, 40 profesorów nadzwyczajnych (dr hab./dr hab. med./dr hab. inż.), jeden docent, 106 doktorów (dr/dr n.med./dr inż.) i 90 magistrów (mgr/mgr inż./lek. med.). Uczelnia jest podstawowym miejscem pracy dla 78% kadry, z tego 73% profesorów zwyczajnych, 70% pro-

fesorów nadzwyczajnych, 84% doktorów i 78% magistrów. Uczelnia zatrudnia też ok. stu pracowników administracji i obsługi.

W latach 2017-2019 pracownicy uczelni opublikowali 358 prac, których łączny wskaźnik Impact Factor wyniósł 130.406, punkty Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (MNiSW): 7138. W latach 2012-2018 na Wydziale Medycznym PWSZ w Kaliszu, opublikowano 386 prac, których łączny wskaźnik Impact Factor wyniósł: 253.216, punkty MNiSW: 3777. Uczelnia wydaje czasopisma naukowe: „Studia Kaliskie. Studia Calisiensia”, indeksowane w ICI Journal Master List (ocenione w roku 2017 ICI 2017 = 50,56 – wspólnie z Kaliskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk), „Journal of Health Inequalities” (ocenione przez Index Copernicus na 94,67 pkt.) i „European Journal of Science and Research” (w fazie oceny).

W latach 2012-2019 realizowano ponad 80 projektów, a obecnie w trakcie realizacji jest ich 11. W latach 2014-2019 uczelnia pozyskała środki z Unii Europejskiej na realizację 22 projektów.

Biblioteka Uczelniana, założona w 1999 roku, zajmuje powierzchnię 1680 m². Dysponuje 422 miejscami czytelnickimi, w tym 212 stanowiskami komputerowymi z dostępem do Internetu. Rocznie rejestruje ponad 40 tys. odwiedzin i udostępnia ok. 55 tys. zbiorów. Księgozbiór Biblioteki liczy 142 tys. woluminów oraz blisko 1000 jednostek zbiorów specjalnych, ponad 300 tys. jednostek zbiorów elektronicznych (książek, czasopism, raportów, analiz itp.) subskrybowanych w 98 bazach danych dostępnych na platformie INFONA i serwerach wydawców. Biblioteka prenumeruje 312 tytułów czasopism.

Akademia Kaliska dysponuje obiektami w kilku punktach miasta. Zabytkowy dziewiętnastowieczny budynek w centrum Kalisza jest siedzibą władz uczelni. Są tam również księgarnia, Galeria „Nowy Świat”, Klub Studencki „Kredens” oraz pomieszczenia dla kadry dydaktycznej. Zajęcia mają studenci Wydziału Nauk Społecznych i Humanistycznych. Obok zlokalizowane jest Collegium Novum, nowoczesny obiekt



Pomnik patrona Akademii Kaliskiej Prezydenta RP prof. Stanisława Wojciechowskiego



Projekt godła i sztandaru Akademii Kaliskiej wykonał dr Jerzy Wypych, kaliszanin, artysta plastyk, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej, pracownik Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego UAM, we współpracy z Piotrem Skoniecznym, grafikiem freelancerem.

dydaktyczny, w którym znajduje się m.in. aula na ponad 500 miejsc – największy obiekt tego typu w mieście. Ma tam również siedzibę Biblioteka Główna, pełnowymiarowa sala gimnastyczna z zapleczem, Wydawnictwo Uczelniane, Galeria „Novum” i kawiarnia „NOVA” oraz pomieszczenia dla kadry dydaktycznej. Dom studenta „Bulionik” – pięciokondygnacyjny budynek dysponujący 260 miejscami noclegowymi przejęty przez uczelnię od „Winiar” – mieści też sale wykładowe i ćwiczeniowe oraz laboratoria dydaktyczne. Przyziemie budynku zostało zaadaptowane na Klub Studencki „Hades”.

Kampus studencki w miejscu dawnej jednostki wojskowej to zespół budynków dydaktycznych i laboratoryjnych: Collegium Oecologicum, Collegium Mechanicum, Centrum Dydaktyczne Badań Kół Zębatych, Dom Pasywny i Dom „Wojaczek”. Zlokalizowano tam również zespół boisk sportowych, siłownię i salę gimnastyczną, zadaszone korty tenisowe i boisko wielofunkcyjne z bieżnią. Po drugiej stronie miasta znajduje się Collegium Medicum wraz z Monoprofilowym Centrum Symulacji Medycznej i Collegium Mechanicum.

Uczelnia podpisała 80 umów o współpracy z partnerami z zagranicy, w tym 64 w ramach programu Erasmus+. Uczelniane wydawnictwo publikuje rocznie ponad 20 tytułów. W Akademii Kaliskiej działa 28 organizacji studenckich. Wkrótce rektorat zostanie przeniesiony do nowej siedziby w gmachu po NBP.

(pik)

Fotoreportaż na 4 str. okładki

W drodze do uniwersytetu

Dr hab. n. med. Andrzej F. Wojtyła, prof. Akademii Kaliskiej i jej rektor, mówi o źródłach sukcesu kierowanej przez siebie uczelni.

Przekształcenie uczelni zawodowej w akademicką było możliwe przede wszystkim dzięki spełnieniu podstawowych wymogów formalnych, czyli uzyskaniu dwóch uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora. W ubiegłym roku uzyskaliśmy prawo do doktoryzowania w zakresie nauk o zdrowiu, a w tym – w zakresie nauk o bezpieczeństwie. Dojście do tego etapu to skutek cierpliwego i dobrze ukierunkowanego rozwoju kadry oraz jej starań o jakość badań naukowych i dydaktyki. W efekcie uzyskaliśmy status akademicki, ale także znaleźliśmy się w rankingu Perspektyw w pierwszej setce uczelni akademickich. Nasze wychowanie fizyczne uzyskało w krajowym zestawieniu 12. pozycję, a pielęgniarstwo – 16.

Mamy w Kaliszu długą tradycję kształcenia akademickiego, która została przerwana podczas pierwszej wojny światowej. Dopiero po drugiej wojnie światowej powstało tu studium nauczycielskie, którego jednak nie przekształcono, jak w wielu innych miastach, w wyższą szkołę pedagogiczną. Jest też filia Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dlatego ambicją lokalnej społeczności było powstanie uczelni kaliskiej. To doprowadziło do utworzenia w 1999 r. Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Próbujemy odbudować tradycje akademickie w Kaliszu. Mamy świadomość, że to będzie długi, wielo-

letni proces. Teraz będziemy dążyli do uzyskiwania praw doktorskich w następnych dyscyplinach. Przygotowujemy dwa kolejne wnioski, a sześć uprawnień da nam prawo do przekształcenia się w Uniwersytet Kaliski. To oczywiście perspektywa na wiele lat, ale w tym kierunku zamierzamy podążać. Przed nami także uaktualnienie naszych możliwości doktoryzowania, czyli otwarcie szkoły doktorskiej, a do tego potrzebujemy kategorii naukowej. Niestety, ocena parametryczna została przełożona z roku 2021 na rok 2022. Przygotowujemy się do niej i cierpliwie czekamy.

Nie bez znaczenia dla rozwoju uczelni jest postawa władz miasta i dobra współpraca z otoczeniem. W ostatnim czasie udało się nam uporządkować sprawy własności budynków. Miasto nas w tym wspomogło. Przejęliśmy budynki po Narodowym Banku Polskim, z których miasto zrezygnowało na rzecz uczelni. Wspólnie z samorządem realizujemy wiele projektów. W ubiegłym roku zorganizowaliśmy światowy Kongres Zdrowia Rodziny ze znaczącym wkładem miasta.

Choć uzyskaliśmy status akademicki, należymy wciąż do Związku Zawodowych Uczelni Wielkopolski. Jesteśmy z tym środowiskiem związani i chcemy nadal razem działać.



Choć uzyskaliśmy status akademicki, należymy wciąż do Związku Zawodowych Uczelni Wielkopolski. Jesteśmy z tym środowiskiem związani i chcemy nadal razem działać.

Notował Piotr Kieraciński

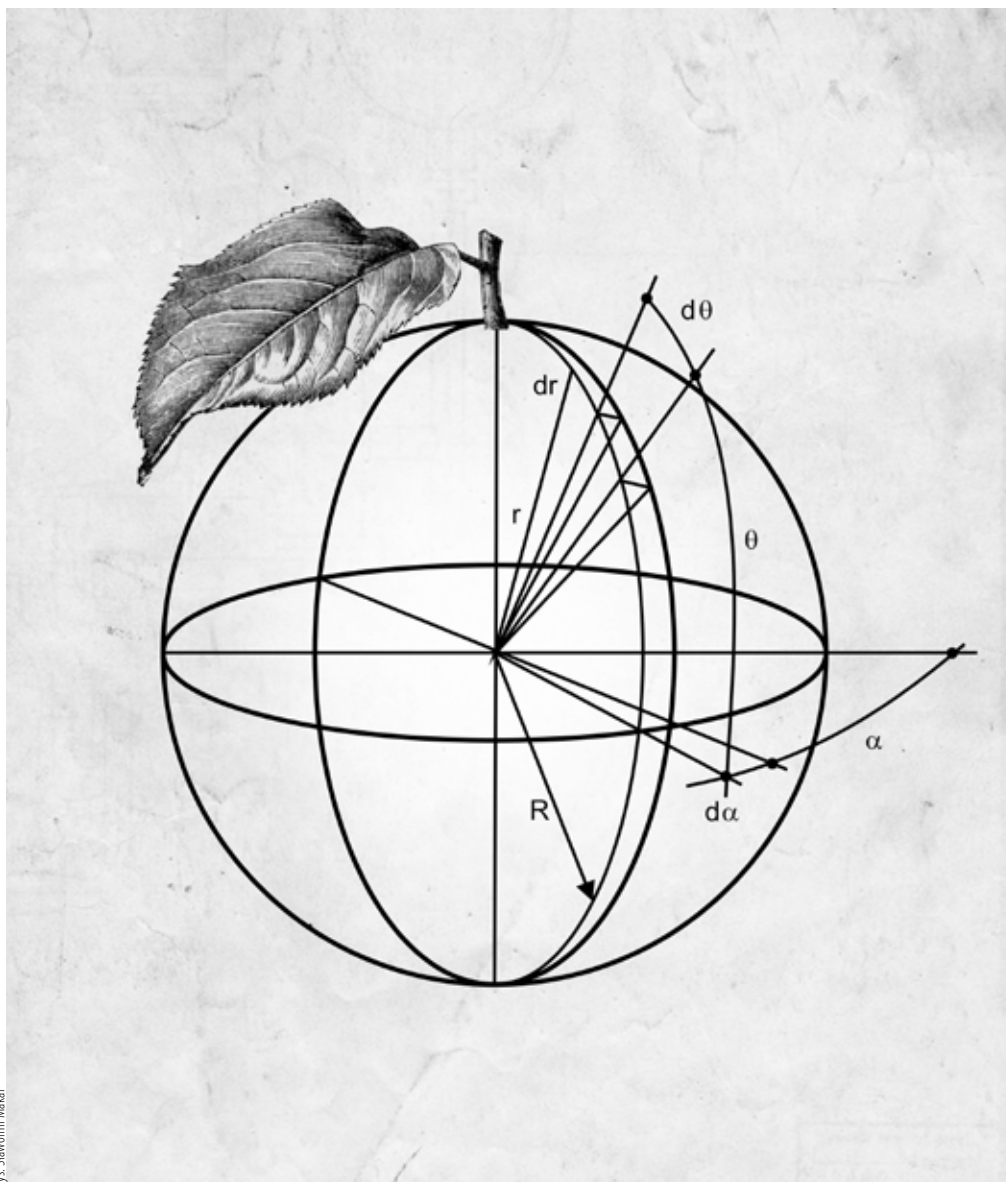
Niedaleko pada jabłko od jabłoni – taką dziwną kwestię z rozmowy rodziców, dobiegającą z kuchni usłyszałem któregoś jesienno-wieczoru, udając się na spoczynek po pełnym wrażeń dniu, spędzonym na błogim „nicnierobieniu”, które przypisane czasom dzieciństwa, za naganne postrzegane bywa w latach naszej dojrzałości. Nie pojmując jej prawdziwego, metaforycznego znaczenia, następnego ranka po śniadaniu pobiegłem czym prędzej do ogrodu, by sprawdzić, a raczej się upewnić, czy rodzice mają rację. I rzeczywiście – wokół starego, nieco zmurszałego i wyraźnie zdającego sobie sprawę ze swego wieku, bo posadzonego w początkach stulecia, jabłoniowego drzewa dość nieregularnie rozrzucone leżały czerwone, niezbyt kształtne i dorodne jabłka. Wszystko się zgadzało, spadły istotnie niedaleko! Bardzo je lubiłem, bo choć nie grzeszyły owocową – typową dla dzisiejszych czasów, zunifikowaną genetycznymi zabiegami – urodą, to ich niebywałego aromatu i smaku nie jestem w stanie opisać, nawet gdybym do perfekcji – a jest to przecież niemożliwe – opanował arkana pisarskiego kunsztu. Nie dziwiłbym się też wcale, gdyby w wyniku prowadzonych na szeroką skalę interdyscyplinarnych badań okazało się, że to takim właśnie jabłkiem udało się Ewie sprowadzić Adama na nieco – jak się wydaje – niewłaściwą drogę.

Kiedy przyglądałem się rozrzuconym beładnie wokół drzewa owocom, nie mogłem jednak przypuszczać, iż do tematu ich dyspersji kiedyś jeszcze powrócę, ale już w dorosłym, zawodowym życiu. Zajmując się jako naukowiec ważnymi i nieważnymi problemami tego, mimo wszystko, pięknego świata, przyjmowałem bowiem niekiedy ze zdziwieniem bezkrytyczną, pozbawioną refleksji i braku dystansu do siebie i swoich badań postawę kolegów. Stąd też na poważne pytanie zadane mi kiedyś na niezwykle ważnej konferencji naukowej, która jak zwykle nie wniosła zbyt wiele nowego do naszego pojmowania świata, pytanie: nad czym teraz pracujesz?, równie poważnie (choć prowokacyjnie) odpowiedziałem: nad tym, jak daleko pada jabłko od jabłoni. Widząc zaś zdziwienie pytającego, dodałem: mam już ogólny model, a teraz testuję poszczególne parametry i weryfikuję zmienne, wkrótce opublikuję to w „Journal of Landscape Ecology”, a w sieci udostępnię przypisany do problemu program *applemetrics*. Będzie kolejne 140 punktów – zauważyłem też tonem, który mógł niesłusznie sugerować rozmówcy, iż mają one dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, a w jego oczach zdawało mi się z satysfakcją dostrzec nutkę zazdrości, iż sam wcześniej nie wpadł na tak genialny pomysł.

Kiedy po owocnej – jak wspominałem – konferencji wróciłem do domu, pomyślałem, iż tak żartobliwie sformułowany problem badawczy stwarza jednak dobrą okazję do pozbawionego intelektualnych więzów, akceptowanych paradygmatów, sztywnych reguł i nie wiadomo po co sformułowanych zasad, a tak lubianego przeze mnie spekulatywnego myślenia. Bo cóż to znaczy „niedaleko”? Jeśli poszukiwaną odległość (owo „niedaleko”) oznaczmy jako l , to nie ulega wątpliwości, iż może ona przyjmować wartość od 0 (gdyby jabłko spadło bezpośrednio przy pniu drzewa) do l_{max} (gdyby znalazło się w największym od niego oddaleniu). Co decyduje jednak o konkretnej odległości (l_n) konkretnego jabłka (n)? Wysokość drzewa i pierwotna lokalizacja jabłka na gałęzi (H)? Zasięg jego korony (D)? Średnica pnia (d)? Masa spadającego owocu (m)? Czy jabłka niektórych gatunków (r) spadają bliżej, a innych dalej? A jaki jest wpływ czynników zewnętrznych: prędkości wiatru (v), nachylenia terenu (h), rodzaju (szorstkości) gruntu (z) i czy – jak pamiętamy z lekcji fizyki – także i w tym przypadku kąt padania równa się kątowi odbicia?

Może warto jednak przygotować rzeczony artykuł? W końcu to 140 punktów.

Prof. dr hab. Maciej Pietrzak, geograf fizyczny i ekolog krajobrazu, PWSZ w Lesznie



Rozmowa z Wojciechem Murdzkiem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego

Wyzwań nie brakuje

Obecnie nasze wysiłki koncentrujemy na wdrażaniu reformy i dostosowaniu jej założeń do bieżącej sytuacji. Uwagę poświęcamy funkcjonowaniu NCN, NCBR, Sieci Łukasiewicz, a także zastanawiamy się nad przyszłym kształtem Polskiej Akademii Nauk.

Jak się pan czuje w środowisku akademickim?

Nasza współpraca – w mojej ocenie – jest bardzo konstruktywna. Co najważniejsze, istnieje obopólne zrozumienie aktualnych potrzeb i wyzwań, przed jakimi stoi środowisko akademickie. Obecnie koncentrujemy się na wdrażaniu reformy i dostosowaniu jej założeń do bieżącej sytuacji. Uwagę poświęcamy funkcjonowaniu NCN, NCBR, Sieci Łukasiewicz, a także zastanawiamy się nad przyszłym kształtem Polskiej Akademii Nauk. Zapotrzebowanie społeczne na wiedzę i naukę wzrasta, a to będzie się przekładało na jakość życia społeczeństwa.

Czy ministerstwo jest przygotowane na koszty związane z obecną nietypową sytuacją, czyli działaniem szkolnictwa wyższego w warunkach epidemii?

Pierwsze kilkadziesiąt milionów złotych już przeznaczaliśmy na rozwiązanie problemów związanych z koronawirusem. Biorąc pod uwagę aktualne potrzeby wynikające ze zmiany organizacji kształcenia, zwiększyliśmy subwencję dla uczelni o 256 mln, czyli o dodatkowe 2 procent, gdyż ponoszą one realne koszty – związane ze zmniejszonymi wpływami z czesnego, wynajmu akademików czy sal. Musimy pomóc uczelniom pokryć koszty utrzymania obiektów. Zależy nam, aby wszystkie środki przewidziane na inwestycje zostały zachowane. Uruchamiamy też obligacje przewidziane na inwestycje – w tym roku to były 3 mld zł, a w tym ponad miliard. Wielu studentów znalazło się w trudnym położeniu. Zrezygnowaliśmy zatem z limitu maksymalnie dwóch zapomóg oraz znieśliśmy limit uzależniający przyznanie stypendium od czasu studiowania. Uczelnie, którym zabrakło środków na stypendia i zapomogi, w tym szczególnym okresie mogły się zwrócić do ministerstwa o zwiększenie dotacji.

W jakiej formie prawnej realizowana jest ta pomoc?

W związku z pojawieniem się nieprzewidzianych zdarzeń ustawa wymagała pewnych korekt. Zmiany dotyczyły w dużej mierze stosowania zdalnych form nauczania, przeprowadzania egzaminów i uproszczenia procedur przyznawania stypen-

diów i zapomóg dla studentów. Opracowaliśmy w uzgodnieniu z inspektorem sanitarnym i Ministerstwem Zdrowia zasady bezpiecznego funkcjonowania uczelni w okresie epidemii. Dostosowanie funkcjonowania uczelni do nowych warunków stanowi z pewnością wyzwanie zarówno dla samych naukowców, studentów, jak i dla ministerstwa.

Przewiduje pan, że rozwiązania wprowadzone ostatnio będą rzutowały na dalszą działalność uczelni już po ustaniu epidemii?

Tak. Wiele wprowadzanych rozwiązań, takich jak uproszczenie procedur, sprawdziło się i nie ma powodu, żeby z nich zrezygnować w późniejszym czasie. Nastąpił skokowy wzrost zapotrzebowania na zdalne nauczanie. Wszyscy przyzwyczajamy się powoli do nowych sposobów kontaktowania się i kształcenia, co więcej – powstaje zaplecze dydaktyczne do takich form pracy. Na pewno będziemy dalej rozwijali tego rodzaju technologie i wykorzystywali elementy dydaktyki zdalnej.

Nie brakuje tu też wyzwań. Przed dydaktykami stoi opracowanie nowych form kształcenia, sposobów prowadzenia zajęć, tak aby były atrakcyjne i efektywne, czy też przygotowanie materiałów dydaktycznych do kształcenia zdalnego. Rozwijamy platformę szkoleń przeznaczoną dla studentów, ale myślę, że może się ona okazać przydatna także dla młodzieży ze szkół średnich czy seniorów. Przeznaczaliśmy już 20 mln zł z Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój na projekt kursów poszerzających wiedzę. To pozwoli na sfinansowanie ponad pięćdziesięciu profesjonalnie przygotowanych kursów. Mam nadzieję, że to narzędzie znajdzie szerokie zastosowanie w edukacji zdalnej.

Czy ministerstwo planuje jakieś formy pomocy dla uczelni niepublicznych?

Odbywały się już rozmowy na ten temat i będą one kontynuowane. Tarcza antykryzysowa przeznaczona jest przede wszystkim dla podmiotów prowadzących działalność gospodarczą. Aby uczelnie mogły z niej skorzystać, musiałyby zrezygnować ze swojego dotychczasowego statusu i przejść na działalność

stricte biznesową. Zdajemy sobie sprawę, że uczelnie niepubliczne ponoszą wiele obciążeń, choćby w związku z obniżeniem wpływów z czesnego. Konsultujemy się z ministerstwem finansów w sprawie możliwych form wsparcia. Na razie trudno mówić o szczegółach, ale zapewniam, wsłuchujemy się także w głos i opinie uczelni niepublicznych.

Co z ewaluacją?

Ewaluacja działalności naukowej odbędzie się w 2022 r. Nowelizację odpowiedniego rozporządzenia podpisałem 31 lipca. Dostosowuje ono przepisy do przesuniętego o rok terminu oceny, ale także wprowadza szereg zmian technicznych i konsumuje najważniejsze wnioski płynące z pilotażu oceny w tzw. trzecim kryterium, tj. oceny wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki. Nie jest naszym zdaniem właściwe, aby wprowadzać na tym etapie fundamentalne zmiany w modelu ewaluacji. Odpada np. zgłoszona przez niektóre środowiska propozycja rezygnacji z uwzględniania w ocenie osiągnięć z lat 2017 i 2018. Natomiast na pewno wkrótce trzeba będzie rozpocząć dyskusję nad kolejną ewaluacją. Jej zasady powinny uwzględniać wnioski płynące z oceny zaplanowanej na rok 2022.

W ostatnich miesiącach nastąpiła wymiana zarządu NAWA i członków, w tym przewodniczącego rady. Czy to oznacza złą ocenę jej dotychczasowej działalności i jakie są pana plany wobec agencji?

Zmiany w kierownictwie Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej wynikają z nowych potrzeb pojawiających się naturalnie wraz rozwojem agencji. Wiąże się to również z wyzwaniami, jakie niesie rzeczywistość. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zawsze dbało, żeby NAWA we wzorowy sposób wypełniała swoją misję. Chcę podkreślić, że wszystkie nasze działania mają na celu jak najlepsze wsparcie uczelni i środowiska akademickiego w Polsce. Ostatnie programy NAWA są pozytywnym przykładem inicjatyw odpowiadających na aktualne potrzeby.

Czy może pan przedstawić pierwsze wnioski płynące z realizacji programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza?

Ten program to bezsprzecznie jeden z najważniejszych elementów reformy. Niedawno odbyła się konferencja sprawozdawcza uczelni biorących w nim udział. Realizują one plany rozwoju przedstawione we wnioskach dopiero od początku tego roku. Jest więc jeszcze za wcześnie, by oceniać stopień realizacji tych zamierzeń. Natomiast już teraz widać, że formuła programu się sprawdza, a na uczelniach wyłonionych w konkursie, zwłaszcza tych, które zaangażowały w realizację działań projektowych dużą grupę naukowców, zachodzą proaktywne zmiany. Formuła programu skłoniła uczelnie biorące udział w konkursie do gruntownych analiz swoich mocnych i słabych stron. Ta bezcenna wiedza jest teraz wykorzystywana przez uczelnie z tzw. „grupy pościgowej”, na które wyniki konkursu zadziałały mobilizująco. Nie jest to tylko opinia ministerstwa – w konferencji czynny udział wzięło kilku członków międzynarodowego zespołu ekspertów oceniającego wnioski konkursowe, którzy mieli podobne obserwacje.

Dokonał państwo ewaluacji RID? Kiedy drugi konkurs? Czy środki przeznaczone dla 70 uczelni zostaną zwiększone w drugim konkursie (w tej chwili są nieproporcjonalnie mniejsze niż w IDUB)?

Regionalna Inicjatywa Doskonałości ma również znaczenie strategiczne z uwagi na to, że wspiera „wyspy doskonałości” w uczelniach mających istotne znaczenie dla rozwoju poszcze-

gólnych regionów Polski. Aktualnie realizowana jest pilotażowa edycja programu, która została ogłoszona na podstawie wcześniejszych przepisów o zasadach finansowania nauki. W konkursie wyłoniono projekty 30 uczelni akademickich. Zgodnie z przepisami ustawowymi, pierwszy „właściwy” konkurs RID na podstawie „Konstytucji dla Nauki” zostanie ogłoszony w 2023 r. Pierwotnie miał być przeprowadzony w 2022 r., natomiast przeniesienie o rok terminu ewaluacji wymusiło przesunięcie jego terminu, ponieważ warunki uczestnictwa są powiązane z kategoriami naukowymi dyscyplin. Dostajemy bardzo pozytywne sygnały od uczelni realizujących projekty RID wskazujące na duże znaczenie programu dla podnoszenia kultury organizacyjnej. Choć to dopiero drugi rok pracy, od pewnego czasu prowadzimy namysł nad zasadami pierwszego konkursu, m.in. nad tym, jak zoptymalizować warunki udziału w programie, biorąc pod uwagę doświadczenia z pilotażu. Już teraz możemy powiedzieć, że szereg rygorów towarzyszących realizacji projektów w edycji pilotażowej nie będzie obecne w kolejnym konkursie, którego laureaci otrzymają zwiększenie subwencji.

Jakie miejsce zajmuje w pana zamierzeniach reforma Polskiej Akademii Nauk? Która z przedstawionych przez różne instytucje i środowiska wizja PAN jest panu bliska, a może po prostu korzystna dla samej Akademii i państwa?

Reforma Polskiej Akademii Nauk jest potrzebna. Wskazują na to chociażby sygnały płynące ze środowiska naukowego samej Akademii, które przedstawiło kilka koncepcji zmian. Polska Akademia Nauk jest ważnym elementem polskiego systemu szkolnictwa wyższego i nauki, i dlatego całe środowisko akademickie powinno zaangażować się w debatę, która byłaby otwarta na różne koncepcje.

Proszę o komentarz do budżetu nauki i szkolnictwa wyższego w 2020 r. oraz do subwencji dla uczelni publicznych. Czy widzi pan jakąś perspektywę wzmocnienia finansowania nauki i szkolnictwa wyższego w najbliższych latach?

Na rok 2020 w budżecie państwa na naukę i szkolnictwo wyższe zaplanowano wydatki w łącznej wysokości 25 mld 802,2 mln zł. W nowelizacji ustawy budżetowej przewidziano zwiększenie tej kwoty o 610 mln zł, w tym 568,9 mln zł będą stanowiły środki na finansowanie inwestycji na potrzeby nauki. Korzystając z pozytywnych doświadczeń roku ubiegłego, podmiotom szkolnictwa wyższego i nauki zostaną przekazane skarbowe papiery wartościowe do łącznej kwoty 1 mld 133 mln zł. Reasumując, budżet, jakim dysponuje minister nauki i szkolnictwa wyższego w roku 2020, jest satysfakcjonujący. Dużym sukcesem jest utrzymanie, pomimo pandemii, podwyżek w uczelniach. W projekcie nowelizacji ustawy budżetowej na rok bieżący zabezpieczono środki w wysokości 200 mln zł na podwyżki wynagrodzeń dla pracowników uczelni od 1 października. Plan budżetu na 2021 r. zakłada wspieranie zadań związanych z przeciwdziałaniem pandemii COVID-19. Na przyszły rok zostały na naukę i szkolnictwo wyższe przyznane środki o 635,1 mln zł wyższe niż w budżecie w roku bieżącym.

Czy budżet NCN będzie powiększany, aby rosła dostępność do grantów krajowych? A może jest pan zwolennikiem silniejszego finansowania statutowego, poprzez subwencję?

Jeśli chodzi o Narodowe Centrum Nauki to będziemy starać się o zagwarantowanie zrównoważonego wzrostu zarówno nakładów grantowych, jak i finansowania stabilnego w postaci subwencji.

Jak ocenia pan dotychczasowe efekty reformy instytutów badawczych, w tym początki działalności Sieci Łukasiewicz?



Wojciech Murdzek (ur. w 1957 r.), minister nauki i szkolnictwa wyższego, jest inżynierem elektronikiem, absolwentem Politechniki Wrocławskiej, posłem na Sejm VIII i IX kadencji. Przewodniczył sejmowej nadzwyczajnej komisji ds. deregulacji. Zasiadał również w sejmowych komisjach: gospodarki i rozwoju, finansów publicznych oraz komisji śledczej ds. VAT. Jako parlamentarzysta pracował nad ustawą z dnia 4 listopada 2016 roku o zmianie niektórych ustaw określających warunki prowadzenia działalności innowacyjnej zwanej „pierwszą ustawą o innowacyjności”, a także nad ustawą z dnia 9 listopada 2017 r. o zmianie niektórych ustaw w celu poprawy otoczenia prawnego działalności innowacyjnej, tzw. drugą ustawą o innowacyjności. Był sekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju. W latach 2001–2007 był prezesem Sudeckiego Stowarzyszenia Inicjatyw Gospodarczych, które współzakładał. Zasiadał w Radzie Sieci Badawczej Łukasiewicz.

Jakie pan ma plany wobec instytutów pozostałych poza Siecią Łukasiewicz? Co z ich finansowaniem, prawami akademickimi?

Sieć Badawcza Łukasiewicz istnieje od półtora roku, jest więc relatywnie nową, ale już w pełni innowacyjną i samodzielną organizacją. Aktualnie tworzą ją Centrum Łukasiewicz oraz 33 instytuty zlokalizowane w 12 polskich miastach. To trzecia największa sieć badawcza w Europie. Kierunki działalności sieci wyznaczają aktualne wyzwania społeczne: zrównoważona gospodarka, transformacja cyfrowa, inteligentna mobilność oraz zdrowie. Głównym polem działań Łukasiewicza jest współpraca z biznesem. Od połowy listopada 2019 r. naukowcy instytutów sieci zaproponowali przedsiębiorcom około 600 rozwiązań różnorodnych problemów. Świadczy to o niewątpliwym sukcesie sieci i jej znacznym potencjale rozwojowym. Pozostałe instytuty badawcze działają na dotychczasowych zasadach określonych w ustawie z 30 kwietnia 2010 r. o instytutach badawczych. Otrzymują one w formie subwencji środki na utrzymanie potencjału badawczego. Pozyskują również środki, uczestnicząc w programach i przedsięwzięciach w ramach realizacji polityki naukowej państwa. Ministerstwo Nauki i Szkol-

nictwa Wyższego nie prowadzi działań, które miałyby zmienić obecne zasady funkcjonowania instytutów badawczych.

Jak będzie wyglądał rok akademicki 2020/2021?

Jeśli chodzi o funkcjonowanie uczelni w nowym roku akademickim, to – przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa – wracamy, w miarę możliwości, do pracy na uczelni. Władze szkół wyższych powinny tak dobierać metody pracy, by jednocześnie zachować jakość nauczania i zadbać o bezpieczeństwo wszystkich. Wracamy na uczelnię, bo to wyraz naszej troski o najlepszą jakość nauczania. Jesteśmy na etapie wdrażania Konstytucji dla Nauki, przed nami ewaluacja uczelni. Nie może dojść do obniżenia jakości badań i dydaktyki choćby ze względu na pozycję naszych uczelni w wymiarze światowym. W trosce o bezpieczeństwo pracy na uczelniach ministerstwo przygotowało pakiet zaleceń skonsultowany z GIS. Dajemy w nim ścisłe wskazania dotyczące działania akademików, bibliotek, organizacji zajęć na uczelni.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Nauki ścisłe i przyrodnicze uchodzą za twarde pod względem przedmiotu badań i metodologii. Jakie jest w nich miejsce na subiektywizm, emocje, własne przekonania naukowców? Weźmy badaczy z dziedzin nauk o życiu czy dziedzin upolitycznionych, jak ekologia. Czy zawsze stać ich na zimne, obiektywne podejście? Nie chodzi o fałszowanie wyników, bo to łatwo odkryć, lecz o kierunek podejmowanej tematyki, tworzenie hipotez, unikanie pewnych pól, interpretację rezultatów, a także ukierunkowaną popularyzację wiedzy i wypowiedzi publiczne. Elisabeth Noelle-Neumann uważała, że dostosowujemy własne opinie i przekonania do tych, które dominują w naszym środowisku. Filozof nauki Bruno Latour, socjolog Karin Knorr Cetina mówią o różnorodnych (subiektywnych, mentalnych, społecznych, kulturowych czy politycznych) uwarunkowaniach badań laboratoryjnych. Tym i podobnym sprawom poświęcamy poniższy blok tekstów.

Redakcja

Barbara Pabjan

Czy wiedza naukowa jest społecznie uwarunkowana?

W przyrodoznawstwie, tak jak w sztuce i w życiu, nie ma żadnej innej wierności naturze niż wierność kulturze (L. Fleck, *Epistemologiczne wnioski z przedstawionej historii pewnego pojęcia*).

W powszechnej opinii odpowiedź na to pytanie jest twierdząca, gdy mamy na myśli przypadki patologii w nauce (oszustw), również gdy myślimy o tzw. naukach miękkich – społecznych czy humanistycznych, ale na ogół jest negatywna, gdy myślimy o fizyce, chemii, matematyce, biologii. Czy jednak rzeczywiście nauki „twarde” są wolne od wpływu społecznego?

Badania nauki w socjologii wiedzy naukowej

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego wieku rozwinął się szczególny nurt badań, tzw. nowa, nieklasyczna socjologia wiedzy naukowej, która zakładała, że każda forma wiedzy naukowej – zarówno „prawdziwa” jak „fałszywa” jest społecznie uwarunkowana; dotyczy to również przyrodoznawstwa. Klasyczna socjologia nauki uznawała, że „prawdziwa” wiedza naukowa nie wymaga wyjaśnienia, nie jest społecznie uwarunkowana, bo odzwierciedla obiektywną rzeczywistość – przyrodę. Uważa się, że genezą pojawienia się tego nurtu w socjologii nauki były przemiany w nauce (wzrost komercjalizacji badań naukowych, umasowienie i biurokratyzacja nauki) i społeczeństwie (ruchy kontrkulturowe lat sześćdziesiątych, które zapoczątkowały krytykę istniejącego porządku społeczno-politycznego, którego nauka była częścią). Badacze reprezentujący ten paradygmat, opisując mechanizmy tworzenia wiedzy naukowej,

dekonstruowali scjentyistyczny stereotyp nauki i racjonalności naukowej.

Do opinii publicznej docierają echa debat o różnych patologiach w nauce, a krytyczne analizy efektów prac naukowych toczą się również poza socjologią, wśród samych badaczy. Na przykład obecnie mówi się o kryzysie wynikającym z nieprzestrzegania reguły powtarzalności badań naukowych (Van Witteloostuijn, ShROUT i Rodgers). Winą za kryzys replikacyjny obarczono zasadę „publikuj lub gin”, która przedkłada ilość nad jakość, oraz praktykę oceniania badań poprzez wskaźniki bibliometryczne. Z punktu widzenia klasycznej socjologii nauki jest to przykład patologii wynikający z wpływu organizacji nauki na wiedzę: jak bodźce wizerunkowe w systemie kariery akademickiej wpływają na treść nauki.

Ciekawsze, bo mniej oczywiste, są przypadki wpływu społecznego na „prawdziwe” treści w nauce. Problem wpływu czynników społecznych na „prawdziwą” wiedzę naukową jest rzadziej podejmowany. Zresztą założenie, że otoczenie społeczne determinuje przekonania, jest podstawową tezą socjologii wiedzy, a idea ta pojawia się u ojców socjologii, Marksa, Durkheima, a także polskiego socjologa Ludwika Gumplowicza. Prekursorem badania wpływu czynników społecznych na „prawdziwą” wiedzę naukową był polski mikrobiolog Ludwik Fleck, który choć nie był socjologiem, napisał ważną dla socjologii wiedzy naukowej pracę *Powstanie i rozwój faktu naukowego*

(pierwotnie wydana w 1935 w języku niemieckim). W czasach aktywności Flecka jego prace nie wzbudziły zainteresowania i – nawiasem mówiąc – jest to właśnie przykład tego, jak kontekst społeczny wpływa na rozwój badań w jakiejś dziedzinie. Trzydzieści lat później te problemy stały się popularne w kręgu badaczy zajmujących się historią, socjologią i filozofią nauki (m.in. Barry Barnes, David Bloor, Karin Knorr Cetina, Randall Collins, Paul Feyerabend, Thomas Kuhn, Bruno Latour, Sal Restivo, Steven Shapin).

Nowa socjologia nauki w szczególności zajęła się procesem powstawania wiedzy naukowej, obserwacją tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami laboratorium (Latour, Woolgar). Istotny wkład tych badaczy polega na pokazaniu, że „prawdziwa” wiedza naukowa jest społecznie uwarunkowana nawet w przypadku „twardych” dyscyplin, takich jak fizyka, chemia, matematyka.

Jakie czynniki społeczne wpływają na „prawdziwą” wiedzę naukową?

„...co najmniej trzy czwarte, jeśli nie całość treści nauki jest uwarunkowana i może być wytłumaczona przez historię myśli, psychologię i socjologię myślenia” (Fleck). Społeczne uwarunkowania wiedzy naukowej polegają na oddziaływaniu na naukę społecznych reguł poznania oraz wynikają z faktu, że zachowania naukowców jako grupy zawodowej podlegają społecznym „prawom” i pozostają pod wpływem kontekstu kulturowego.

Opis przyrody jest efektem społecznego procesu poznawczego; to znaczy przyroda nie jawi się naukowcom bezpośrednio, ale za pomocą języka, pojęć, schematów kategoryzacji i myślenia, kryteriów oceny etc. W procesie tworzenia wiedzy naukowej percepcja i odkrywanie danych są ukierunkowane przez ustalone schematy poznawcze i sposoby analizy, które są społecznie i kulturowo zróżnicowane. Badania lingwistów dowodzą, że język wpływa na schematy myślenia, ponieważ w języku są zakodowane kategorie postrzegania rzeczywistości (Deutscher).

Społeczny determinizm najwyraźniej widać w perspektywie historycznej. Historia nauki pokazuje, że nie tylko interpretacja faktów, lecz także sposób ich przedstawienia, pomiaru i przypisywane im znaczenie zmieniają się w zależności od kontekstu, np. naukowcy w procesie rozwoju wiedzy nadają nowe interpretacje znanym faktom. Sam rozwój nauki pokazuje zależności pomiędzy treścią wiedzy a kontekstem społecznym, gdyż na danym etapie rozwoju wiedzy naukowej naukowcy rejestrują te fakty empiryczne, na które są „przygotowani” technicznie i społecznie. Słynne są przykłady tzw. przedwczesnych odkryć faktów, których nie potrafiono wytłumaczyć zgodnie z istniejącymi teoriami.

Interpretacja danych jest uzależniona od funkcjonujących systemów wiedzy. Zwracał na to uwagę Thomas Kuhn, autor słynnej pracy *Struktura rewolucji naukowych*, opisując procesy rozwoju nauki i wpływ dominującego paradygmatu na zjawisko akceptacji wiedzy. Kuhn sądził, że właśnie w podstawowych przekonaniach naukowców najwyraźniej widać społeczne zdeterminowanie nauki, wpływ grup społecznych, przesądów, konwencji, reguł zwyczajowych etc. Dotyczy to również metody badawczej „przekonań na temat wyróżnionych rodzajów przyrządów i uprawnionych sposobów posługiwania się nimi”.

Myśląc o nauce, często mamy na myśli jej scjentystyczny stereotyp, tymczasem nauka występuje w wielu postaciach. Na zróżnicowanie jej form zwracali uwagę Thomas Kuhn czy Ludwik Fleck, który wyróżnił cztery typy nauki o różnym poziomie „naukowości”: wiedzę czasopismową (tymczasową i niepewną), bezosobową (słownikową, która legitymizuje idee), podręcznikową (pewną i zawierającą aksjomaty) oraz popu-

larną (dla laików, uproszoną i pomijającą kontrowersje). Fleck pisał: „Jeśli przez fakt rozumie się coś stałego, udowodnionego, to istnieje on tylko w wiedzy podręcznikowej”. Prezentowanie wiedzy naukowej w uproszczonej postaci, pozbawionej kontrowersji i niepewności, sprawia, że proces rozwoju wiedzy naukowej oraz historyczne i społeczne uwarunkowania nauki stają się niewidoczne.

Gołe i suche fakty?

Empiryczna sprawdzalność wiedzy naukowej, czyli przekonanie, że opiera się ona na „gołych faktach”, to główny argument przeciwko stanowisku, zgodnie z którym wiedza naukowa jest społecznie zdeterminowana. Wiara w tzw. czyste fakty szeroko dyskutowana była w filozofii nauki, psychologii poznania, epistemologii i wreszcie w socjologii nauki. Fakty uważane są w teorii poznania za element obiektywny. Logiczny empiryzm przyjmował nie tylko założenie, że istnieją obiektywne fakty, ale że nauka ma możliwość dotarcia do nich w poznaniu naukowym. Trzeba zaznaczyć, że krytyka koncepcji „gołych” faktów nie jest równoznaczna z twierdzeniem, że empiryczna weryfikowalność jest złudzeniem poznawczym. Wedle socjologów nauki, fakt nie jest dostępny w sposób oczywisty i bezpośredni, zawsze jest rezultatem określonego „stylu myślenia”. Fakt powstaje w wyniku społecznego procesu poznawczego, zaś „bezzałożeniowa obserwacja” jest „psychologicznym absurdem” i „logiczną zabawą” według Flecka.

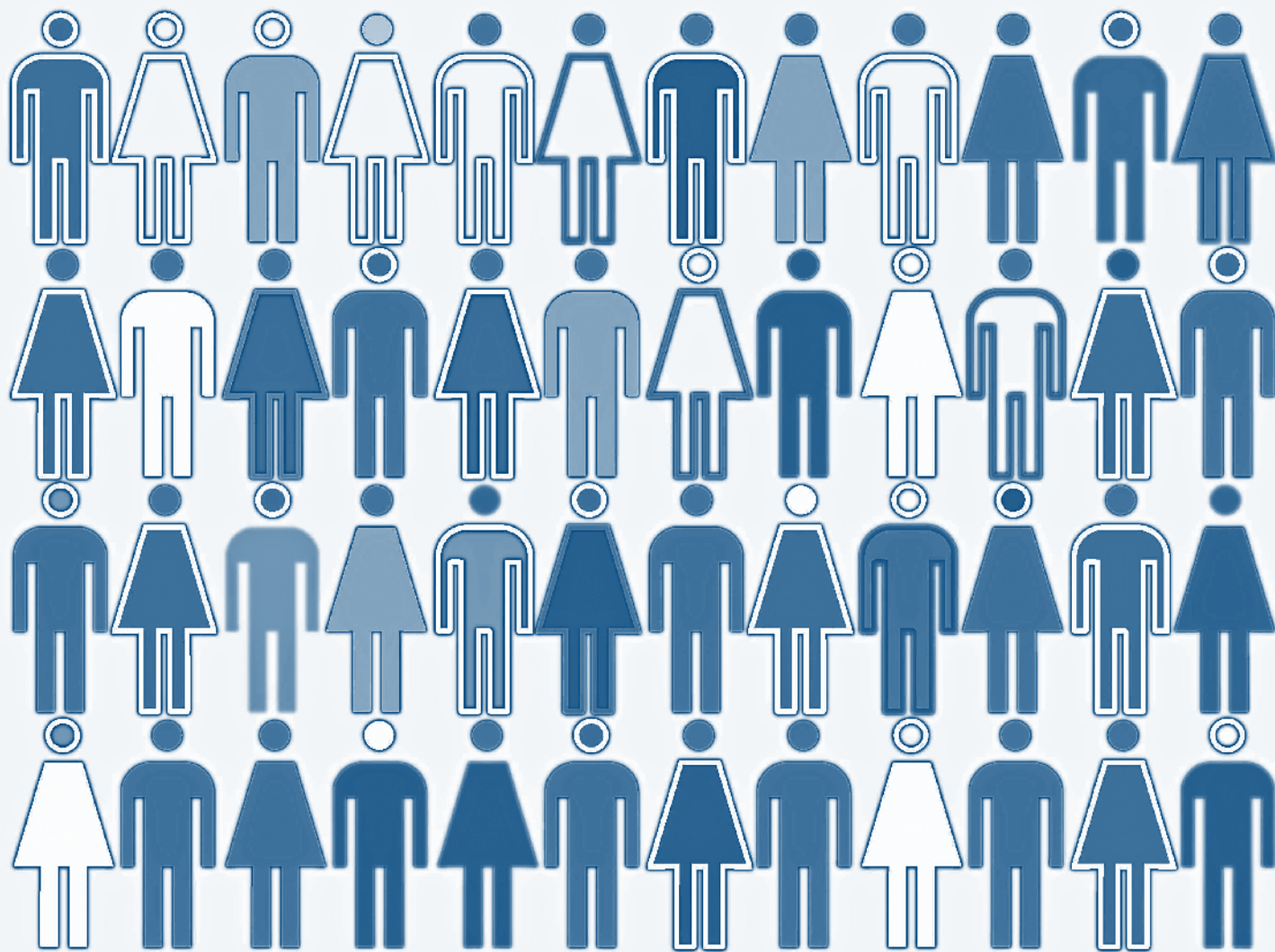
Analiza Flecka jest bogata w przykłady z zakresu nauk medycznych, które ilustrują wpływ ustalonych schematów poznawczych na odkrywanie i prezentowanie danych oraz odsłaniają proces konstruowania „obiektywnych faktów”. Autor zastanawia się, dlaczego w mikrobiologii przez pewien czas nie dostrzegano empirycznie zmienności. W toku rozwoju mikrobiologii wykształcił się dominujący styl myślenia („paradygmat”) Pasteura i Kocha. W tym paradygmacie badania były ukierunkowane przez „ortodoksyjne metody” w taki sposób, że uniemożliwiały zaobserwowanie i rozwinięcie zjawisk, które prowadziłyby do rozwoju nauki o zmienności, a więc nowego paradygmatu w nauce. Obserwacje zmienności traktowano jako błędy bądź ignorowano. Metoda Pasteura i Kocha była akceptowana, ponieważ odniosła praktyczne sukcesy, które wzmacniały jej autorytet. Zmiana stylu myślenia nastąpiła w ramach stosowania starej metody, ale – co znaczące – nowa teoria zmienności rozwinęła się w innym kolektywie naukowym – w USA. Na odkrycie faktów ma wpływ sposób myślenia dominujący w danej grupie naukowców („styl myślenia”). Ten przykład pokazuje, że fakty nie jawią się jako argument weryfikujący naukę, fakty, które nie pasują do obowiązującej koncepcji, nie są zauważane.

Inny przykład z pracy Flecka to analiza naukowych rycin narządów płciowych z XVII wieku. Sposób ich przedstawiania jest oparty na danych z obserwacji i jednocześnie zgodny z ówczesnie obowiązującą teorią wywodzącą się ze starożytnej idei podobieństwa narządów rozrodczych kobiet i mężczyzn. Dla współczesnego obserwatora wnioszek Flecka z analizy rysunków narządów płciowych jest następujący: „Kto zna anatomię, natychmiast zauważy przestylizowanie proporcji i odpowiednie położenie narządów, zgodnie z wyżej podaną teorią. (...) Gdy wyciągnąłem rysunek do niniejszej pracy, kusilo mnie, aby przeciwstawić mu dla porównania rysunek »poprawny«, »zgodny z rzeczywistością«. Przekartkowałem współczesne anatomiczne atlasy i podręczniki ginekologiczne; znalazłem wiele dobrych rycin, ale ani jednej zgodnej z rzeczywistością – wszystkie są spreparowane, schematyczne, prawie symboliczne, wszystkie zgodne z teorią, ale nie z naturą” (Fleck).

Teoria w tym przypadku „zniekształca” fakty, czy raczej każde przedstawienie faktów empirycznych jest a priori zapośredniczone przez jakąś koncepcję teoretyczną. Łatwiej dostrzega się te fakty, które pasują do akceptowanych teorii i istniejących narzędzi, a trudniej zauważyć te, które są z nimi sprzeczne.

Fakty naukowe są społecznie uwarunkowane w tym sensie, że dane empiryczne są „filtrowane” przez pojęcia, schematy badawcze uznawane w danym środowisku społecznym. W procesie badawczym występuje kilka etapów, podczas których ważną rolę odgrywają zjawiska społeczne. Badacz wybiera określony rodzaj podejścia badawczego i temat (np. ten, który jest modny, na który można uzyskać fundusze lub który można zrealizować na dostępnej w danym ośrodku aparaturze pomiarowej), przeprowadza eksperyment wedle przyjętego schematu, uzyskane dane eksperymentalne są odczytywane z przyrządu pomiarowego, a następnie interpretowane, a ich interpretacja uwikłana jest w zmienny kontekst społeczno-kulturowy. Kategoria interesu poznawczego również tłumaczy, dlaczego naukowcy mają raczej skłonność do odrzucania faktów niezgodnych z uznawaną przez nich teorią niż do odrzucania „swojej” teorii: taka strategia się bardziej opłaca, bo pozwala podtrzymać uzyskany dzięki jakiejś koncepcji prestiż i pozycję w nauce.

Najwięcej kontrowersji budzi teza, że matematyka i logika są społecznie uwarunkowane. Jednak socjologia matematyki przekonuje, że nie istnieje „czyste poznanie matematyczne”, a kontekst społeczny również wpływa na problemy wybierane do badań, symbole używane w języku matematyki czy znaczenia przypisywane poszczególnym twierdzeniom (np. w kwestii tego, czym jest dowód, liczba – Restivo). Jednym z przykładów pozwalających zrozumieć, jak czynniki społeczno-kulturowe wpływają na naukę, jest analiza kontekstu odkrycia genetyki koncepcji naukowych pokazujących, skąd biorą się pomysły naukowe i jak powstają. Historyk Morris Kline dowodzi, że matematycy w XVI i XVII wieku, a również w czasach antycznych, często byli inspirowani przez ideologie religijne. Matematycy tworzą swoje koncepcje, będąc pod wpływem kultury. Na przykład Graham i Kantor analizowali wpływ kontekstu kulturowego na matematykę, porównując narodziny teorii zbiorów we Francji i w Rosji w latach 1890-1930. Autorzy ci pokazują, że właśnie ze względu na różne środowiska kulturowe Francuzi i Rosjanie przyjęli różne podejścia do tego samego problemu i osiągnęli różne efekty: podczas gdy Rosjanie stworzyli nową dziedzinę, opisową teorię zbiorów, francuscy matematycy nie byli w stanie osiągnąć tych samych rezultatów, ponieważ ich styl myślowy był zakorzeniony w racjonalnym, świeckim światopoglądzie, który powodował, że wątpili w zasadność nieskończonych zbiorów, a styl myślowy Rosjan pozostawał



pod wpływem religii i mistycyzmu, co stymulowało przyjmowanie swobody w wymyślaniu obiektów matematycznych. Matematycy dostrzegają, że w różnych krajach i ośrodkach naukowych występuje inny styl uprawiania matematyki (np. styl dowodzenia), tym samym w matematyce odzwierciedlają się wzorce kulturowe.

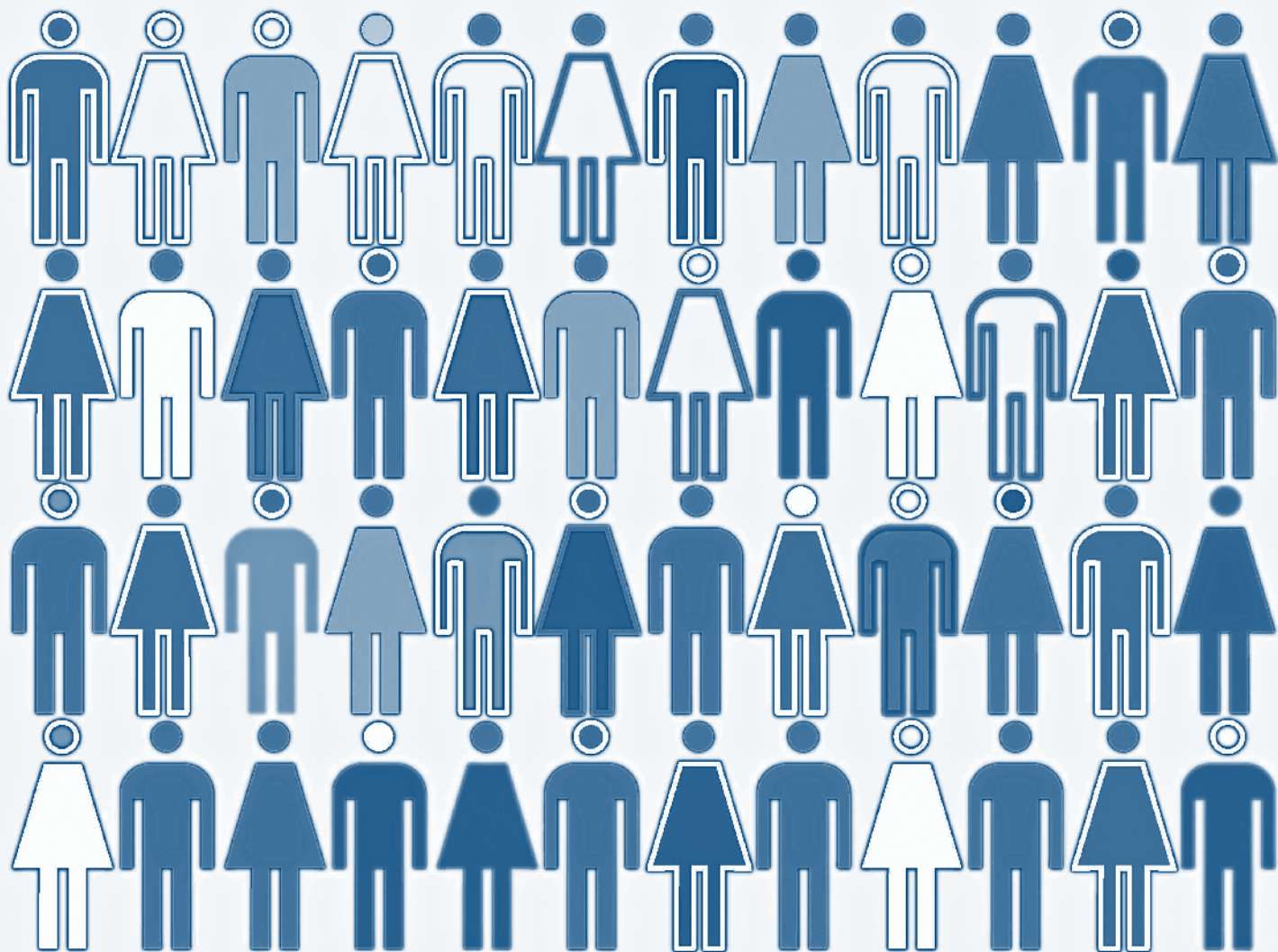
Obiektywizm, pewność i prawda w nauce

Nauce przypisuje się szczególne walory: mówi się, że jest obiektywna. Ale co to właściwie oznacza – jaka wiedza jest obiektywna? Jedną z koncepcji głosi, że wiedza naukowa zyskuje walor obiektywności w procesie intersubiektywnej kontroli. W języku socjologii gwarantem obiektywności jest więc kontrola społeczna środowiska naukowego.

Obiektywizm wiedzy naukowej jest względny, co oznacza, że jest ograniczony parametrami czasowo-przestrzennymi (społeczno-kulturowo-historycznymi). Dana wiedza jest obiektywna na danym etapie rozwoju, zgodna z systemem przekonań grupy, która uważa ją za obiektywną.

Wizerunek nauki wśród samych naukowców odbiega znacznie od scjentystycznego stereotypu, a niekiedy zbieżny jest z obrazem socjologicznym. Jakiś czas temu próbowałam zbadać, w jaki sposób sami naukowcy (fizycy i chemicy) widzą naukę. Naukowcy postrzegają ją w sposób dalece bardziej krytyczny niż laicy. Na przykład wśród naukowców

nie ma jednomyślnej opinii co do obiektywizmu, pewności, „prawdziwości” wiedzy naukowej, a ci którzy są zdania, że nauka jest pewna i obiektywna, wskazują na różnice poziomu obiektywności w nauce „podręcznikowej” i nauce „czasopiśmowej”. Zresztą wśród samych naukowców obraz nauki jest zróżnicowany, na przykład sceptycyzm wobec wiedzy naukowej jest większy wśród „doświadczalników” (chemików i fizyków) niż wśród teoretyków. Wydaje się, że ta różnica wynika z dystansu poznawczego: im bardziej odległy jest obiekt poznania, tym mniej informacji i większa skłonność do stereotypizacji, a więc upraszczania. Teoretycy, nie mając bezpośredniego kontaktu z badaniami eksperymentalnymi, nie uwzględniają błędów, które często zdarzają się w trakcie pracy eksperymentalnej i w większym stopniu idealizują proces naukowy. Eksperymentatorzy widzą proces tworzenia wiedzy inaczej. Oto przykład stanowiska fizyka doświadczalnego: „Jeśli chodzi o fakty, to mam nadzieję, że są prawdziwe, jeśli ktoś, kto je podaje, jest uczciwy. Natomiast interpretacja to już inna rzecz. (...) Takiej gwarancji nie ma [że fakty są prawdziwe] ponad to, że fakty przedstawione przez naukę są zgodne z myśleniem zdroworozsądkowym, a to nie musi świadczyć, że jest to coś obiektywnego. Trudno określić, na ile ta wiedza jest wiedzą prawdziwą. Jeśli wynik obserwacji zależy od interpretacji badacza, jeśli nie jest to wiedza pewna, to trudno ją też nazwać wiedzą prawdziwą. Skoro



wynik badania zależy od interpretacji badacza, to nie można mu ufać i w związku z tym powiedzieć, czy to, co ten badacz przedstawia, jest prawdziwe czy nie jest prawdziwe. Jest to opatrzone jego interpretacją”.

Metoda czy intuicja?

Nauka uchodzi za dziedzinę poznania, która opiera się na metodzie i logicznym wnioskowaniu. Czy naukowcy posługują się w pracy metodologią i logiką? Nie tylko. Ci socjologowie, którzy obserwowali prace laboratoryjne, twierdzą, że reguły metodologiczne są traktowane w sposób swobodny, istnieją ogromne różnice pomiędzy nauką in statu nascendi, a efektem końcowym w formie publikacji.

Wyniki moich badań pokazały, że sami naukowcy postrzegają wpływ czynników pozametodologicznych na naukę (większość z nich przyznawała, że duże znaczenie w badaniach ma intuicja, wyobraźnia, przypadek). Znaczna część badanych nie podziela pozytywistycznego przekonania o uniwersalnym charakterze logiki. Sytuacja zawodowa naukowców wpływa na ich poglądy metodologiczne: teoretycy proporcjonalnie częściej niż doświadczalnicy uważali, że logika jest uniwersalna; chemicy w większym stopniu respektują indukcyjny schemat wnioskowania, a fizycy dedukcyjny. Specyfika dyscyplin wpływa na sposób metodologicznego wnioskowania: fizycy budują wielkie teorie oparte na prawach fundamentalnych, natomiast w chemii dominują prawa opisujące wąskie, szczegółowe zakresy zjawisk i procesów. Ten przykład ilustruje zresztą uniwersalne zjawisko poznawcze: projekcji własnego doświadczenia na inne obiekty poznawcze.

Widać też różnice w podejściu do eksperymentów: teoretycy sądząc, że eksperymentatorzy wielokrotnie powtarzają eksperymenty, przeceniają stopień respektowania reguł metodologicznych. Eksperymentatorzy przyznają się do niewielkiej liczby powtórzeń, co wynika głównie z ograniczeń finansowych, czasowych, a także i z rutyny, dzięki której bez potrzeby wielokrotnych powtórzeń mają poczucie, że uzyskane wyniki są prawidłowe i pewne.

Spółeczny system nauki: konformizm, kontrola społeczna, autorytety...

Na wiedzę naukową wpływają też czynniki związane ze społeczną organizacją nauki. Naukowcy, jak każda grupa zawodowa, podlegają prawom życia grupowego. Na przykład ulegają modzie w wyborze tematów, teorii czy metod badań. Moda to konformizm wobec dominującego trendu, a konformizm jest powszechnym zjawiskiem w społeczeństwie, większość ludzi zachowuje się konformistycznie. Konformizm w nauce wynika, tak jak w innych środowiskach, z podobnych uwarunkowań: zapewnia akceptację grupy, zajmowanie uprzywilejowanych pozycji w grupie i możliwość awansu; np. modne kierunki badań są częściej zauważane, finansowane, nagradzane etc.

W nauce znane są liczne przypadki ostracyzmu wobec innowacyjnych, a więc nonkonformistycznych naukowców. Stosowanie w badaniach metod nowatorskich, nietypowych często spotyka się z dezaprobatą, krytyką i po prostu z uznaniem ich za nienaukowe. Sankcje za łamanie norm metodologicznych to brak uznania, ograniczenia możliwości publikacji wyników pracy badawczej. Nonkonformistycznym naukowcom trudniej jest zrobić karierę.

Konserwatyzm i silna kontrola w środowisku naukowców pozostają w sprzeczności z wymogiem innowacyjności, ponieważ socjalizacja naukowców prowadzi do przywiązywania się do obowiązujących teorii, metod badawczych etc. Istnienie jednocześnie silnej kontroli społecznej oraz

wymogu innowacyjności jest paradoksem nauki – kontrola może hamować nowe odkrycia i stosowanie nowych narzędzi badawczych, które są niezbędnym czynnikiem rozwoju wiedzy naukowej.

Wracając do wyników moich badań: wpływ mody na badania naukowe dostrzegają sami naukowcy. Nawiasem mówiąc, naukowcy przeceniają swoją własną odporność na wpływ mody; mniejszość badanych przyznawała, że moda ma na nich duży wpływ, podczas gdy większość uważała, że moda wpływa w dużym stopniu, ale na innych naukowców.

Innym pozametodologicznym czynnikiem wpływającym na naukę jest prestiż i status. Porzekadło „nie szata zdobi człowieka” nie opisuje adekwatnie mechanizmów społecznych, ponieważ obserwowalne czynniki statusu, jak na przykład ubiór, a w nauce tytuł naukowy, są interpretowane jako wskaźniki innych cech człowieka, np. zamożności, cech charakteru czy kompetencji i inteligencji. W zależności od warunków organizacji nauki, rozwoju dyscypliny czy kultury autorytety mogą wpływać w większym lub mniejszym stopniu na zawartość wiedzy naukowej. W takich krajach jak Indie czy Chiny hierarchia w środowisku naukowym jest większa, a wraz z pozycją rośnie autorytet.

Merytoryczna ocena badań naukowych może być uzależniona również od percepcji statusu naukowca. Na przykład, zależy to od tego, na ile ocena pracy naukowej jest anonimowa w procesie przyznawania grantów, recenzowania publikacji. Jeśli nie jest anonimowa, wówczas może pojawić się tzw. efekt Mateusza – wzrost nierówności między naukowcami, ponieważ ci, którzy mają wyższą pozycję, mają większe zasoby, aby jeszcze bardziej wzmocnić swoją pozycję (podobne zjawisko występuje w przypadku innych wymiarów nierówności). Badania empiryczne nie dają jednoznacznej odpowiedzi, jak duża jest rola prestiżu. Na przykład w analizach cytowań efekt prestiżu jest niewielki (Wang), a w innych znaczący (Larivière, Gingras). Ci ostatni autorzy zbadali 4532 pary identycznych artykułów opublikowanych w dwóch czasopismach o różnym współczynniku wpływu i pokazali, że te same artykuły, publikowane w czasopismach o wysokim wskaźniku wpływu, otrzymują średnio dwa razy więcej cytowań niż ich odpowiedniki publikowane w czasopismach o niższym wskaźniku.

* * *

Teza o społecznym uwarunkowaniu wiedzy naukowej często jest utożsamiana z krytyką racjonalności naukowej. Jednak w perspektywie socjologii wiedzy relatywizm nie jest równoznaczny z brakiem racjonalności, wskazuje jedynie na społeczne zakorzenienie wiedzy. Społeczny wpływ na naukę nie polega więc na negacji faktów empirycznych, ale na zbadaniu jak z faktami obchodzą się naukowcy w danym kontekście społeczno-kulturowym. Socjologiczne badania nauki pozwalają spojrzeć na wiedzę naukową z innej perspektywy i zrozumieć, że wartość poznawcza nauki wynika z jej intersubiektywnego charakteru i procesu nieustannej korekty. K. Popper rozwój wiedzy naukowej rozumiał jako nieustanny proces przybliżania się do prawdy (prawdopodobnienia). Prawda przestaje być celem ostatecznym nauki, bowiem nauka nigdy nie osiąga wyjaśnień ostatecznych. Maksimum tego, co uczony może osiągnąć, to eliminacja teorii, które nie przejdą pomyślnie najsurowszych testów. Wiarygodność nauki pojawia się jako efekt pracy wielu zespołów badawczych w długim okresie czasu.

Dr hab. Barbara Pabjan, socjolog wiedzy i kultury, Zakład Socjologii Kultury i Cywilizacji Uniwersytetu Wrocławskiego

Mateusz Kotowski

Domena czystej racjonalności?

Dlaczego stereotypowy obraz nauk empirycznych jest szkodliwy?

Część uczestniczących w debatach naukowców oraz promotorów nauki przyjęła strategię obłążonej twierdzy, kurczowo trzymając się i jeszcze usilniej promując jej stereotypowy wizerunek. Jednak na szczęście (dla samej nauki) coraz więcej z nich dostrzega, że teraz potrzeba narracji o tym, jak naprawdę działa nauka, co obejmuje również pokazywanie, jak naprawdę ona nie działa.

Jak wskazywał Claude Bernard, XIX-wieczny filozofujący fizjolog, wchodząc do laboratorium, badacz powinien zostawić swoje poglądy i hipotezy w przedsiönku razem z płaszczem. Jest to zalecenie, pod którym i dziś podpisałoby się wielu przedstawicieli nauk empirycznych, a w szczególności przyrodniczych. Zarówno zgodnie z obiegowym poglądem, jak i obrazem stworzonym przez wielu ich przedstawicieli, nauki te to domena czystej racjonalności, dziedzina rządzona twardymi faktami i surową logiką, w której nie ma miejsca na indywidualne bądź społeczne upodobania czy uprzedzenia. Jednocześnie w świetle współczesnej filozofii nauki ten obraz nauk empirycznych należy uznać za mocno uproszczony, jeśli nie po prostu za fałszywy stereotyp. Zaskakująca żywotność tego stereotypu ma pewne poważne konsekwencje nie tylko dla naszego rozumienia tego, czym nauki empiryczne właściwie są, lecz także dla naszej praktycznej zdolności obrony nauki i jej ustaleń w czasach kryzysu społecznego zaufania do niej.

Sugestie, że nauka jest aktywnością społeczną jak każda, a badacze są równie (nie)odporni na wpływy rozmaitych przekonań społecznych, uprzedzeń, poglądów filozoficznych lub ideologii jak większość innych ludzi, zbywane są przez naukowców jako bajania konstruktivistów społecznych lub wręcz atak na naukę. Istnieje wszak metoda naukowa, która immunizuje badaczy na wpływy czynników pozanaukowych. To ona sprawia, że akceptowane twierdzenia czy teorie naukowe to nie zwykłe przekonania, lecz przekonania oparte wyłącznie na obiektywnej ocenie dowodów i ścisłych, logicznych analizach.

Dekonstrukcja nowożytnego ideału nauki

Taki sposób postrzegania nauki ma swoje źródła w tym, co Stefan Amsterdamski nazwał nowożytnym ideałem nauki: w zestawie przekonań dotyczących natury poznania naukowego, jaki kształtował się od czasów rewolucji naukowej z przełomu

XVI i XVII wieku po XIX stulecie. Dokonujący się w tym okresie rozwój nauk przyrodniczych pozwalał brać za dobrą monetę streszczające się w Newtonowskim *Hypotheses non fingo* przekonanie, że na miano wiedzy naukowej zasługuje wyłącznie to, co da się logicznie wyprowadzić z faktów i z nimi skonfrontować. Choć, jak już zasugerowałem, takie rozumienie nauki i jej metody wciąż pozostaje szeroko rozpowszechnione, na polemikę z nim i jego krytykę nie trzeba było wcale czekać do wystąpienia współczesnych konstruktivistów społecznych, socjologów wiedzy, postmodernistów czy przedstawicieli wszelkich innych nurtów, którymi obrońcy nauki straszą swoje dzieci. Dekonstrukcja nowożytnego ideału nauki jest bowiem w dużej mierze dziełem samych naukowców. To właśnie (niektórzy) filozofujący przyrodniczy – skłonieni do poddania swojej aktywności refleksji w obliczu kryzysu, jaki miał miejsce w fizyce na przełomie XIX i XX stulecia – dostrzegli, jak bardzo uproszczony jest zastany przez nich obraz poznania naukowego. Badacze, tacy jak Henri Poincaré czy Pierre Duhem, poddając krytyce „metodę Newtonowską”, argumentowali wówczas, że w rozwiniętych, zmatematyzowanych naukach przyrodniczych proces formułowania hipotez niemal nigdy nie przybiera postaci prostego uogólniania faktów, a decyzjami dotyczącymi ich akceptacji lub odrzucenia nie rządzą nigdy same prawa logiki (już choćby dlatego, że zgodność hipotezy z faktami można osiągnąć na różne logicznie dopuszczalne sposoby). Co więcej, wskazywali, że to, co w naukach tych uchodzi za fakty, nie jest dane, lecz konstruowane, a więc (do pewnego stopnia) negocjowalne.

Tego rodzaju ustalenia były początkowo traktowane jako atak na naukę, a wielu późniejszych autorów nie chciało ich przyjąć do wiadomości, formułując zalecenia metodologiczne w świetle tych ustaleń nierealizowalne (jak na przykład Karl Popper, któremu notabene wciąż często przypisuje się najtrafniejsze uszczegółowienie koncepcji metody naukowej, podczas

gdy dla współczesnej metodologii nauk ma ona raczej charakter eksponatu muzealnego). Z czasem jednak stały się one częścią elementarza współczesnej filozofii nauki. Ponieważ nie jest to miejsce na omawianie tych podstawowych zagadnień, choć poza filozofią i metodologią nauki mało znanych, ograniczę się do wskazania, że o niewystarczalności polegania na logice i danych w procesie formułowania i testowania hipotez naukowych powinien wystarczająco zaświadczać fakt, że naukowców jak dotąd nie zastąpiły w tym algorytmy tworzenia wiedzy. I dzisiaj się nie zanoszą, aby większość badaczy musiała się wkrótce zacząć obawiać „technologicznego bezrobocia” – cały proces naukowy, tj. formułowanie, testowanie i wybór hipotez oraz określanie kierunku dalszych badań, wymaga bowiem zaprzęgnięcia do pracy kolektywnej kreatywności i profesjonalnej intuicji, zakorzenionych w tradycjach badawczych. Jednocześnie, jeśli „fakty i logika” to za mało, oznacza to, że ten sam proces jest niejako z istoty otwarty na wpływ rozmaitego rodzaju czynników pozanaukowych (przyjmijmy: pozaempi-

rycznych i pozalógicznych), w tym takich, które sobie niekoniecznie uświadamiamy.

Piękno ma związek z prawdą

Znaczna część współczesnego krytycznego namysłu nad nauką ukierunkowana jest na badanie właśnie tego, jakie są to czynniki i w jaki sposób znajdują odzwierciedlenie w formie i treści przekonań naukowych oraz decyzjach dotyczących kierunku badań. Krytyka taka jest rozwijana z perspektywy różnych dziedzin i nurtów badawczych i często skupia się na wybranych aspektach nauki lub analizuje jedynie wpływ wybranych czynników pozanaukowych. Jej ustalenia budzą nieraz ostry sprzeciw samych naukowców, którzy zarzucają prezentującym je niezrozumienie nauki, tendencyjność czy ideologiczne motywacje. Te ostatnie najczęściej przypisuje się twierdzeniom formułowanym w ramach nurtów postrzeganych jako uwikłane w toczące się poza nauką „wojny kulturowe”, jak na przykład feministyczna krytyka nauki. Zarzuty te nie zawsze są bezpodstawne, jednak chciałbym zasugerować, że prawdą



Rys. Sławomir Makal

jest zarówno to, że krytyka nauki bywa tendencyjna czy motywowana ideologicznie, jak i to, że co najmniej równie często jest trafna i oparta na solidnych podstawach – niezależnie od dziedziny czy nurtu, w ramach których jest rozwijana. By jednak samemu uniknąć podejrzeń o utajone motywacje oraz nie wkleić się w problemy odsiewania ziarna od plew, spróbujmy zilustrować zagadnienie wpływu pozanaukowych czynników na rozwój nauki przykładem możliwie mało kontrowersyjnym (i już dawno w filozofii nauki rozpoznany), dotyczącym roli, jaką w procesie rozwoju wiedzy naukowej odgrywają intuicje czy preferencje estetyczne.

Stwierdzenie, że na rozwój nauki wpływ mają preferencje estetyczne badaczy, może się na pierwszy rzut oka wydać osobliwe, jeśli nie absurdalne. Jednak myśl, że piękno ma jakiś związek z prawdą, przynajmniej niektórym naukowcom nigdy nie była obca. Podwójna helisa DNA była dla Watsona „zbyt piękną, by nie być prawdziwą”. Heisenberg nie mógł się powstrzymać od przekonania, że „formy matematyczne o wielkiej prostocie i wielkim pięknie (...) przedstawiają prawdziwą cechę przyrody”. A jeśli wierzyć Hansowi Einsteinowi, jego ojciec „ponad poprawność teorii cenił sobie jej piękno”. Piękno ma oczywiście różne oblicza. Nazywając teorię piękną, fizyk chwalić będzie jej prostotę, symetrię czy spójność. Czy jednak odczucia, jakich doznaje, obcując z teorią, którą postrzega jako piękną, są z istoty różne od odczuć architekta stojącego przed pięknym budynkiem lub górskiego wędrowca podziwiającego chowające się za szczytami słońce?

Można zaprotestować, że czym innym jest to, kiedy mówimy o pięknie sformułowanej już teorii, czym innym natomiast sam proces jej formułowania i uzasadniania. Z pewnością żaden naukowiec nie próbowałby uzasadniać teorii na podstawie tak irracjonalnej przesłanki jak piękno. Jednak rozważając różne hipotezy równie dobrze łączące fakty, do wyjaśnienia których są formułowane, badacze skłaniają się najczęściej ku tej, którą uznają za najbardziej elegancką. A przecież elegancja nie jest kryterium empirycznym, czyli dotyczącym zgodności z doświadczeniem, lecz właśnie estetycznym, i jako takie wymykającym się racjonalizacji. Z drugiej strony nawet najlepiej empirycznie potwierdzona teoria będzie przez badaczy postrzegana jako nieostateczna, jeśli będzie brzydka. Wszak jednym z najczęstszych zarzutów wysuwanych pod adresem modelu standardowego cząstek elementarnych – teorii o nadzwyczajnie wysokim stopniu potwierdzenia empirycznego – jest to, iż jak określił to fizyk teoretyczny i popularyzator nauki Michio Kaku, „jest najbrzydszą teorią, jaką zna nauka”. Poczucie obrzydzenia, którego przynajmniej część fizyków teoretycznych doświadcza na myśl, że coś tak nieschludnego jak model standardowy (zbyt wiele cząstek, zbyt wiele parametrów) mogłoby stanowić właściwą fundamentalną teorię rzeczywistości, jest bez wątpienia częścią tego, co motywuje niektórych z nich do poszukiwania teorii bardziej podstawowej i jednocześnie elegantszej.

Stereotyp czystej racjonalności

Skoro zaś już o fundamentach fizyki mowa, jest to dziedzina, w ramach której badacze i obserwatorzy nauki od jakiegoś czasu dość dobitnie uświadamiają sobie, jak poważny może być wpływ czynników pozaempirycznych (w tym przypadku intuicji metafizycznych i właśnie estetycznych) na kierunek badań naukowych. Poszukiwania elegantszej teorii mogącej zastąpić model standardowy (między innymi) zdominowane zostały bowiem przez badaczy rozwijających teorie, których chociażby hipotetyczna możliwość empirycznego przetestowania jest silnie kwestionowana (mam tu na myśli głównie teorię strun i powiązane koncepcje). Teorie te jednak – co otwarcie

funkcjonuje jako ich uzasadnienie – cechują się wysokim stopniem prostoty, symetrii czy naturalności. Wielu fizyków, którzy w procesie kształcenia wyrobili sobie przekonanie, że zajmują się dziedziną czystej racjonalności, przeciera teraz oczy ze zdumienia – jak Sabine Hossenfelder w wydanej niedawno książce *Zagubione w matematyce. Fizyka w pułapce piękna* – słuchając swoich kolegów po fachu chwających rozwijane przez siebie teorie za ich elegancję i uznających koncepcję empirycznej testowalności za przereklamowaną.

Oczywiście tym, co rodzi w tym przypadku największe protesty, jest, jak określił to fizyk Lee Smolin, „agresywna promocja” pozbawionej eksperymentalnego wsparcia i precyzyjnego sformułowania teorii jako jeśli nie prawdziwej (co jej zwolennicy też nieraz sugerują), to co najmniej wyznaczającej jedyny słuszny kierunek badań. Jednak w wielu głosach protestu nie da się nie zauważyć zdziwienia, że czynniki pozaempiryczne czy wręcz pozaracjonalne mogą w nauce odgrywać jakąkolwiek rolę. Tymczasem one zawsze jakąś rolę odgrywają; po prostu przywiązani do stereotypu, nie chcieliśmy tego dostrzegać.

Dezorientacja przedstawicieli dziedzin, w których badania obierają kontrowersyjny kierunek, to jednak niejedyny pokłosie żywotności stereotypu. Jednym zaś z obszarów, w których ma ona szczególnie dostrzegalne i poważniejsze konsekwencje, jest komunikacja naukowa rozumiana jako wszelkie działania mające na celu prezentowanie ustaleń naukowych szerszej publiczności, popularyzacja nauki i postaw pronaukowych oraz zwalczanie para- czy pseudonaukowych poglądów. Choć często niedoceniana przez samych naukowców, rola tej aktywności w społeczeństwach demokratycznych jest niezwykle istotna. Jeden z bardziej oczywistych tego powodów związany jest z faktem, że nauka, w tym badania podstawowe, pochłaniają zauważalną (nawet jeśli zawsze zbyt małą) część środków publicznych. Utrzymywanie wysokiego poziomu zaufania społecznego do nauki i zachęcanie szerszego grona odbiorców do interesowania się najnowszymi ustaleniami badań jest zatem ważne z punktu widzenia utrzymania wśród podatników poczucia, że nauka jako taka jest przedsięwzięciem godnym wspierania. Poziom społeczny zaufania do nauki ma także przełożenie na poziom społecznej akceptacji dla opartych na naukowych przesłankach polityk (obowiązkowych szczepień, transformacji energetycznej etc.).

Błędy, spory, ślepe uliczki

Niestety można zaryzykować tezę, iż sposób, w jaki nauka przez długi czas była i wciąż nieraz bywa promowana, jest w jakimś stopniu współodpowiedzialny za kryzys zaufania, jaki obecnie przeżywa. Popularne historie nauki nazbyt często przypominają wigowską historiografię, prezentując jej rozwój jako tryumfalny pochód metody naukowej, ignorując przy tym wszelkie popełnione po drodze błędy, ślepe uliczki czy spory. (Nawiasem mówiąc, to, na ile jesteśmy takim obrazem rozwoju nauki przesiąknięci, również widoczne jest w dyskusjach wokół teorii strun i podobnych, w których krytycy mniej lub bardziej wprost sugerują, że „kiedyś było inaczej, kiedyś było lepiej”). Wypowiadający się w mediach uczeni i promotorzy nauki często zaś dawali odbiorcom do zrozumienia, że to, co ustalone naukowo, jest synonimem tego, co racjonalne, a więc niekwestionowalne, apodyktycznie zbywając wszelkie zgłaszane wątpliwości jako ignoranckie. Przyczyniali się w ten sposób do upowszechniania i utrwalania stereotypu nauki jako domeny czystej racjonalności. Nic więc dziwnego, że kiedy rzeczywistość, jak zawsze, zaczęła korygować wcześniej promowane ustalenia naukowców, którzy – zresztą w zgodzie z ogólnie pojętą metodą naukową – zmuszeni byli w rezultacie modyfikować głoszone przez siebie tezy, kiedy nagłaśniano przypadki nauko-

wych pomyłek, a do wiadomości opinii publicznej zaczął się przebijać fakt, że nie względem wszystkich ustaleń naukowych panuje wśród badaczy zgoda, i kiedy ujawniane afery zaczęły uświadamiać jej, że nie wszyscy naukowcy to bezinteresowni poszukiwacze prawdy, reakcją przynajmniej części społeczeństwa była dezorientacja co do tego, czy nauce i jej ustaleniom można w ogóle ufać.

Paradoksalnie zatem pielęgnowanie wizerunku nauki jako domeny, do której wstępu nie mają poglądy, upodobania czy uprzedzenia, pomogło podważyć właśnie takie jej postrzeganie. Pęknięcia w tym wizerunku, które musiały prędzej czy później zostać powszechnie dostrzeżone, stały się bowiem pożywką dla tych, którzy z różnych względów chcą kwestionować jej wyjątkowy status jako narzędzia poznania i w rezultacie jej osiągnięcia. W reakcji na obecną sytuację – spadku zaufania do nauki, rosnącej popularności przekonań pseudonaukowych – część uczestniczących w debatach naukowców oraz promotorów nauki przyjęła strategię obłożonej twierdzy, kurczowo trzymając się i jeszcze usilniej promując jej stereotypowy wizerunek. Jednak na szczęście (dla samej nauki) coraz więcej z nich dostrzega, że teraz potrzeba narracji o tym, jak naprawdę działa nauka, co obejmuje pokazywanie, jak naprawdę nie działa.

Uświadomienie sobie, że nawet najściślejsze dziedziny naukowe, w ramach których udało się sformułować teorie o wysokim stopniu potwierdzenia empirycznego, to wciąż przedsięwzięcia społeczne w dużej mierze, jak wszelkie inne, jest ważnym krokiem ku zrozumieniu, czym jest to, co zwiemy nauką. Nie ma jednak sprzeczności między twierdzeniem, że nauka, a w szczególności nauki przyrodnicze stanowią najlepsze dostępne nam narzędzie poznania wybranych części świata a twierdzeniem, że wiedza naukowa jest konstruowana, a w procesie jej konstruowania swój udział mają również czynniki pozaracjonalne. Ustalenia dekad badań nad samą nauką dostarczają wystarczająco wielu powodów, by nawet po odrzuceniu mitów, jakimi obrosła, uważać twierdzenia naukowe – te, co do akceptacji których panuje w danym momencie konsensus wśród przedstawicieli dziedzin, do których przynależą – za najbardziej racjonalnie uzasadnione twierdzenia o świecie, jakie mamy do dyspozycji.

*Dr Mateusz Kotowski, Studium Nauk Humanistycznych i Społecznych
Politechnika Wroclawska*



Piotr Bylica

Obiektywizm i subiektywizm nauki

Niektóre teorie przyjmowane w nauce mają charakter metafizyczny i nie podlegają ocenie na drodze badań empirycznych. Zatem fakty i logika, czyli czynniki mające odpowiadać za obiektywność poznania naukowego, nie wystarczają ani żeby wysunąć teorię, ani żeby wybrać między alternatywnymi wyjaśnieniami danego zbioru faktów. W grę muszą wchodzić inne czynniki, w tym psychologiczne, społeczne, kulturowe.

Związek z doświadczeniem, obiektywność i racjonalność to kluczowe, wzajemnie powiązane cechy, jakie niegdyś powszechnie przypisywano nauce (mówiąc o nauce w niniejszym tekście mam na myśli nauki przyrodnicze i empiryczne w sensie science). Pisząc o dowolnej z nich, nie sposób pominąć dwóch pozostałych. Każda reprezentuje wartość, jaką w tradycyjnym podejściu do problemów poznania powinna się cechować rzeczywista, wartościowa, rzetelna wiedza. Dlaczego w tradycyjnym podejściu, a nie w ogóle? Czy dziś nie uznaje się ich za wartości? W jakim sensie tylko kiedyś przypisywano nauce te cechy, a nie dziś? Czy okazało się, że nauka wcale ich nie posiada? Poniżej przyjrzymy się bliżej tym problemom, akcentując głównie kwestię obiektywności w nauce. Zwróćmy jednak uwagę na najbardziej skrajne stanowiska reprezentujące najczystsza postać poglądów na temat obiektywności nauki.

Szczególny status obiektywności: antyrelatywizm

Obiektywność (przynajmniej według ujęcia tradycyjnego) można potraktować w pewnym sensie jako naczelną wartość czy cechę nauki wobec jej racjonalności i związku z doświadczeniem. Dwie ostatnie cechy służą zapewnieniu obiektywności poznania naukowego. Jest tak przynajmniej wtedy, gdy mówiąc o obiektywności poznania, mamy na myśli ideę poznania tzw. prawdy obiektywnej. W tradycyjnym podejściu do nauki za jej cel uznaje się właśnie poznanie prawdy o świecie. Zdania, w których nauka opisuje świat, powinny mieć taki sam walor obiektywności jak w przypadku wszelkich zdań w sensie logicznym w ujęciu logiki klasycznej. Według niej prawdziwość i fałszywość zdań ma charakter obiektywny. Obiektywność wartości logicznej zdania, jak uczy się każdy student przechodzący kurs logiki, polega na tym, że o prawdziwości i fałszywości zdania decyduje jedynie to, czy jest tak, jak głosi dane zdanie, a nie to, jaką ktokolwiek ma opinię na ten temat.

To samo dotyczy relacji wynikania między zdaniami. Ona też jest obiektywna, tzn. że jeżeli jakieś zdanie wynika z innego zdania, to jest tak niezależnie od tego, jaką ktoś ma opinię na temat relacji między tymi zdaniami, jak i od tego, czy ktoś zdaje sobie

sprawę, że zachodzi między nimi wynikanie, czy też sobie takiej sprawy nie zdaje. Tak zwane wnioskowania dedukcyjne, będące wnioskowaniami niezawodnymi, gwarantują, że jeśli rozumiemy w sposób dedukcyjny, to o ile nasze przesłanki będą prawdziwe, nasze wnioski też na pewno będą prawdziwe, bo między przesłankami i wnioskiem zachodzi relacja wynikania. Poprawność zaś tych wnioskowań zagwarantowana jest tym, że przebiegają zgodnie z prawami logiki. Prawa logiki na czele z jej głównymi zasadami, jak zasady tożsamości, niesprzeczności i wyłączonego środka, są zgodnie z tradycyjnym ujęciem prawami obiektywnymi i powszechnie obowiązującymi.

Prawdziwość zdań, jak i relacje logiczne między nimi są więc w tym ujęciu niezależne od różnych czynników, takich jak płeć, poziom wykształcenia, przekonania filozoficzne, religijne lub polityczne, stan zdrowia, poziom określonych substancji w organizmie i inne czynniki, które bywają odpowiedzialne za to, jakie zdania różni ludzie uważają za prawdziwe i w jaki sposób przeprowadzają swoje rozumowania. Ujmowana w ten sposób obiektywność wiąże się ściśle z nauką właśnie w kontekście oczekiwania od nauki, iż dostarczy nam prawdziwego poznania świata. Przez odwołanie do tej wartości osoba ceniąca współczesną naukę oraz tzw. cywilizację Zachodu może mówić, że dziś nauka obiektywnie poznała pewne rzeczy, co do których ludzkość starożytna czy przedstawiciele innych kultur obiektywnie byli lub są w błędzie. Nie ma tu miejsca na relatywizm.

Prawa logiki, matematyka i fakty a obiektywność i racjonalność nauki

W tradycyjnym ujęciu nauki jej racjonalność przejawia się w tym, że uczeni w swych rozumowaniach kierują się prawami logiki. Prawa te nie mogą być inne. Kto ich nie przestrzega, nie może być porządnym uczonym. Naukowiec, opisując wyniki badań i formułując prawa i teorie naukowe, używa słów lub w bardziej sformalizowanej postaci znaków „a zatem”, „i”, „lub” itp., których znaczenie będzie określone właśnie przez reguły logiki klasycznej. Nie może oczekiwać przyjęcia artykułu do druku, jeśli recenzenci rozpoznają, że to, co pisze jest wewnątrz-

nie sprzeczne czy w inny sposób kłóci się z prawami poprawnego myślenia.

Ścisłość, obiektywność i uniwersalność logiki rozciągają się oczywiście także na matematykę. (Według niektórych szkół matematyka sprowadza się ostatecznie do logiki formalnej). Matematyka jako narzędzie nauki jest więc kolejnym znamieniem jej obiektywności. Jeśli obiektywność nauki ma polegać na poznawaniu prawdy obiektywnej, to można podejrzewać, że logiczny i matematyczny porządek to cechy samego przedmiotu poznania naukowego.

Sama logika i matematyka nie wystarczają jednak do poznania świata. Nauki empiryczne czy przyrodnicze są empiryczne lub przyrodnicze dlatego, że odwołują się do obserwacji przyrody. Zgodnie z tradycyjnym ujęciem nauki oprócz logiki (włącznie z matematyką) fakty są drugim filarem, na którym opiera się jej obiektywność. Ujęcie to w jego najbardziej skrajnej i najtrudniejszej do utrzymania wersji, jaką prezentował nowożytny filozof Franciszek Bacon, przyjmowało, że sama przyroda poprowadzi uczonego do prawdy, jeśli tylko będzie on dokonywał rzetelnych obserwacji, czyli nieuprzedzonych subiektywnymi czynnikami, i zastosuje się do reguł logiki indukcyjnej. Ewidentne sukcesy takich badaczy jak Galileusz, Kepler czy Newton są w ujęciu tradycyjnym traktowane jako przejaw słuszności obranej przez nich drogi poznania.

Zwolennicy tradycyjnego ujęcia

Zwolenników ujęcia tradycyjnego wyróżnić i dzielić można na różne sposoby. Tu proponuję wskazać dwie główne grupy

myślicieli. Do pierwszej zaliczaliby się między innymi koryfeusze nowożytnej nauki, jak Mikołaj Kopernik, wspomniani Galileusz, Kepler, Newton, ale też Robert Boyle czy Robert Hook i inni. Do drugiej należeliby zarówno neopozytywistyczni scjentyści z pierwszej połowy XX wieku, jak Alfred Ayer, Rudolf Carnap, a także współcześni scjentyści, jak Richard Dawkins czy Peter Atkins. Obydwie te grupy łączy przekonanie o uniwersalnej wartości logicznego myślenia oraz odwołania do faktów w procesie poznania, a także przekonanie, że prowadzone naukowo badania dostarczają obiektywnie prawdziwego obrazu świata.

Różnica między nimi jest taka, że ci pierwsi przyjmowali teistyczno-chrześcijański obraz rzeczywistości, z którego czerpali uzasadnienie dla przekonania o istnieniu prawdy obiektywnej i zdolności człowieka do jej przynajmniej częściowego poznania. Ważna była tu metafizyczna idea wszechwiedzącego Boga (dysponującego poznaniem obiektywnie prawdziwym), który jest jednocześnie stwórcą i prawodawcą porządku obiektywnie istniejącej przyrody poznawanej przez naukę. Idea człowieka, jako stworzonego przez Boga i obdarzonego rozumem i zmysłami pozwalającymi mu na poznanie prawdy, pozwalała optymistycznie traktować ludzkie zdolności poznawcze. Kopernik, Newton i inni przyjmowali więc silne tezy metafizyczne.

Druga grupa to scjentyści utrzymujący, że tylko wiedza naukowa jest rzeczywistą wiedzą, ewentualnie że jest najlepszą, jaką dysponujemy. Przedstawiciele neopozytywizmu utrzymywali, że nauka jest wolna od wszelkiej metafizyki, a jedyne sensowne twierdzenia to twierdzenia logiki oraz te, które są



wynikiem poznania naukowego, czyli twierdzenia oparte na doświadczeniu. Bardziej współcześni przedstawiciele scjentyzmu zgadzają się z tym drugim twierdzeniem, ale nie stronią też od wprost wyrażanego zaangażowania metafizycznego, przyjmując naturalizm, zgodnie z którym istnieje jedynie samoczynnie i bezcelowo rozwijający się świat przyrody. Zgodnie z ich naturalistyczną metafizyką człowiek jest wynikiem bezcelowego, bezmyślnego procesu, a jego zdolności poznawcze są efektem niekierowanego doboru naturalnego. O przetrwaniu osobników, populacji i gatunków nie decyduje wartość logiczna przyjmowanych przez nie „przekonań”, lecz dostosowanie do warunków życia i skuteczność w walce o byt. Każdy gatunek na swój sposób spełnia kryteria sukcesu ewolucyjnego i nie ma powodu, by uważać, że ludzki sposób radzenia sobie w świecie (jakim jest na przykład poznanie pojęciowe, w tym nauka) jest lepszy od tego, który spotykamy u innych gatunków.

Tak przynajmniej wyglądają konsekwencje logiczne przyjętego naturalizmu. Ze względu na te konsekwencje religijnie zaangażowani krytycy scjentyzmu, jak Clive S. Lewis, a bardziej współcześni J.P. Moreland, William Lane Craig i inni, wskazują, że jego przyjęcie podważa w ogóle sens przekonania o możliwości racjonalnej, uzasadnionej, obiektywnej wiedzy o czymkolwiek. Tak rozumiany scjentyzm byłby stanowiskiem wewnętrznie sprzecznym i samoobalającym. Jeśli prawa logiki i w ogóle nasze zdolności poznawcze mają tylko charakter gatunkowy, to ani praw logiki ani żadnych twierdzeń o świecie nie można traktować jako obiektywnie opisujących, jak się rzeczy mają, w tym także twierdzeń o szczególnej wartości pozna-

nia naukowego. Przekonanie, że poznanie naukowe jest jedynym lub najbardziej wartościowym rodzajem poznania, nie jest twierdzeniem naukowym, nie podlega empirycznemu sprawdzaniu ani naukowemu dowodzeniu, zatem samo nie spełnia wymogu, który stawia. Rodzaj zaufania, jaki scjentyści mają do nauki, nie ma więc podstaw w przyjmowanej przez nich naturalistycznej metafizyce i nie ma też podstaw, jeśli odrzucają wszelką metafizykę. Według wspomnianych krytyków jest to więc zaufanie bezpodstawne.

Główne problemy ujęcia tradycyjnego

W drugiej połowie XX wieku ujęcie tradycyjne spotkało się z ostrą krytyką. W filozofii nauki szczególnie podważano neopozytywistyczne tezy o istnieniu neutralnego obserwacyjnie języka, możliwości wyprowadzania teorii z faktów wyłącznie na drodze logicznych rozumowań oraz o nauce wolnej od wszelkiej metafizyki. W tekście *Nie ma nauki bez założeń. Epistemiczne układy odniesienia* (FA 7-8/2020) pisałem o różnego rodzaju założeniach przyjmowanych przez uczonych, które wpływają na treść ich obserwacji, wybór między teoriami oraz na rozumienie nauki. Same fakty nie prowadzą do żadnej teorii. Ich obserwacja jest zawsze uprzedzona (uteoretyzowana), choćby teoriami na temat tego, co warto obserwować. Nowe teorie są raczej wynikiem domysłów, inwencji, pomysłowości uczonego niż efektem zastosowania ściśle logicznych procedur. Z tym samym zbiorem faktów zgodnych jest nieskończenie wiele teorii. To teorie jako całości wpływają na znaczenia terminów używanych do opisu świata, stąd w niektórych



sytuacjach przy zmianie teorii radykalnie zmienia się obraz rzeczywistości. Zmienia się też rozumienie samej nauki. Niektóre teorie przyjmowane w nauce mają charakter metafizyczny i nie podlegają ocenie na drodze badań empirycznych. Zatem fakty i logika, czyli czynniki mające odpowiadać za obiektywność poznania naukowego, nie wystarczają ani żeby wysunąć teorię, ani żeby wybrać między alternatywnymi wyjaśnieniami danego zbioru faktów. W grę muszą wchodzić inne czynniki, w tym psychologiczne, społeczne, kulturowe.

Równoległe z tą krytyką tradycyjnego rozumienia nauki postępowała krytyka klasycznej, tzw. korespondencyjnej teorii prawdy, mówiącej o prawdziwości jako szczególnej relacji między przekonaniem (ewentualnie sądami, twierdzeniami, teoriami itp.) a obiektywnie istniejącą rzeczywistością. Klasyczna koncepcja prawdy sformułowana została przez Arystotelesa i na dobrą sprawę (nie licząc szkoły sceptyków) nie była kwestionowana do połowy XIX w. Wiąże się ona ze stanowiskiem realizmu, na które składają się trzy główne tezy: 1) istnieje obiektywna rzeczywistość niezależna od naszych umysłów, zdolności i zabiegów poznawczych; 2) ta rzeczywistość sama w sobie istnieje w pewien jednoznacznie określony sposób; 3) podstawowe prawa logiki nadają się do adekwatnego opisu rzeczywistości. Korespondencyjna teoria prawdy atakowana była przede wszystkim za problem z określeniem tego, co jest nośnikiem prawdziwości (twierdzenia czy myśli, przekonania czy ich treść) i niejasność relacji między tym nośnikiem a rzeczywistością. Odejście od klasycznej teorii prawdy dokonało się głównie w dwóch kierunkach. Po pierwsze ku teorii koherencyjnej (prawdziwe są twierdzenia tworzące koherentny system z innymi twierdzeniami już przyjętymi), po drugie ku bardziej popularnej, pragmatycznej teorii prawdy (prawdziwe twierdzenie to takie, które jest podstawą skutecznego działania). Każdy z tych kierunków ostatecznie prowadzi do relatywizmu, przynajmniej z punktu widzenia klasycznej, korespondencyjnej teorii prawdy.

Postmodernizm i feminizm o obiektywizmie nauki

Próby odejścia od idei obiektywnej prawdy i krytyka neopozytywistycznej wizji nauki zaowocowały zarówno ujęciami nauki, które starały się mimo wszystko uchronić ją przed oskarżeniami o subiektywizm, relatywizm i opowiadały się po stronie realizmu (np. krytyczny racjonalizm Karla Poppera, nowy eksperymentalizm Iana Hackinga), jak również takimi, w których subiektywizm i relatywizm uznaje się niemal za powód do chwały. Niżej zajmiemy się tym drugim podejściem jako mniej oczywistym i wartym przyjrzenia się ze względu na zagrożenie, jakie stanowi dla nauki (przynajmniej z punktu widzenia ujęcia tradycyjnego). Mamy tu do czynienia z tzw. postmodernizmem i niektórymi nurtami feminizmu. Niewątpliwą inspiracją dla tego podejścia były w filozofii nauki prace Thomasa Kuhna i Paula Feyerabenda, choć można dyskutować, czy oni sami uznaliby się za jego przedstawicieli (szczególnie Kuhn).

Do głównych idei postmodernizmu zalicza się przekonanie, że rzeczywistość, nauka, wiedza, prawda, rozum to jedynie konstrukcje społeczne lub kulturowe. Nauka, nie dość że nie daje dostępu do rzeczywistości obiektywnie istniejącej, bo takiej nie ma, to sama jest czymś wartościowym jedynie w ramach określonej kultury. Podkreśla się, że w obserwacjach, logice, nauce nie ma niczego obiektywnego.

Istnieją również nurty feministyczne związane z postmodernizmem, a często i z marksizmem (Julia Kristeva, Luce Irigaray, Sandra Harding i in.), dla których logika klasyczna, wraz z zasadą niesprzeczności i całą resztą jej praw jest jedynie wyrazem męskiej szowinistycznej opresji i nie reprezentuje obiektywnie obowiązujących prawideł myślenia. Dziś nurty feministyczne szczególnie podkreślają zdominowanie nauki przez

(białych) mężczyzn. Jedne z nich uważają, że kobiety (oraz różne mniejszości) mają te same zdolności poznawcze co biali mężczyźni, że są tak samo racjonalne i zdolne do samodzielnego oraz logicznego myślenia i mogą wносить wartościowy wkład do nauki, jeśli chodzi o jej dążenie do poznania obiektywnej prawdy.

Teza o równej u kobiet i mężczyzn zdolności do racjonalnego myślenia i poznawania prawdy obiektywnej przyjmowana była przez prekursorów tzw. feminizmu liberalnego, który wyłonił się w XVIII i XIX wieku (Mary Wollstonecraft, John Stuart Mill, Harriet Taylor Mill). Wspomniane wcześniej bardziej współczesne nurty feministyczne uznają jednak, że same idee prawdy obiektywnej, absolutnej oraz nauki i poznania w ogóle jako czegoś wartościowego są wyrazem jedynie męskiego sposobu widzenia rzeczywistości i nie mają waloru powszechnego. Kobiety nie powinny ulegać tym narzędziom męskiej opresji. Powinno się raczej wskazywać na wielość perspektyw. Kobiety zamiast ulegać męskiemu ideałom powinny dawać wyraz swoiście kobiecej relacji do świata, którą cechuje nie teoretyczne i abstrakcyjne poznanie czy kojarzone z nauką idee rywalizacji oraz dominacji człowieka (tj. białego mężczyzny) nad przyrodą, lecz emocjonalność, nastawienie na tworzenie relacji, jednoczenie się z naturą itp.

Zamiast opracowywania teorii chodzi w nurtach feministycznych jednak raczej o praktykę, tj. zmianę świata na bardziej sprawiedliwy, wolny od różnych form ucisku kobiet i mniejszości. Ich hasło można by ująć w ten sposób: Biali mężczyźni dotąd różnie interpretowali świat, a idzie o to, aby go zmienić.

Powyższe antyobiektywistyczne podejście spotyka się z typowymi zarzutami, jakie można wskazać w przypadku relatywizmu, szczególnie jeśli w grę wchodzi próba usankcjonowania go w praktyce kulturowej. Czyż teza, że rzeczywistość nie jest jednoznacznie określona, nie jest silnym twierdzeniem metafizycznym o prawdziwej naturze rzeczywistości? Jeśli nie ma prawdy absolutnej czy obiektywnej, to także teza relatywistyczna nie jest tego typu prawdą. A jeśli tak, to dlaczego ktokolwiek z innego powodu niż pod przymusem (lub pod wpływem innych nieracjonalnych czynników) miałby dawać posłuch ideom promowanym przez zwolenników takiego podejścia i różnym postulatam w jego imię promowanym? Jeżeli nie istnieją uniwersalne, obiektywne słuszne reguły myślenia, to jak można uzasadnić i bronić określonych przekonań inaczej niż tylko przy użyciu siły i perswazji? Jak odróżnić pseudonaukę i bełkot od porządnego badania i ich rzetelnego przedstawienia, jeśli wszystko jest kwestią perspektywy?

Wnioski

Jaki stąd wniosek? Filozoficzne przekonania na temat rzeczywistości i natury człowieka, w tym źródeł i granic poznania ludzkiego, wpływają na to, jak rozumie się naukę, jej racjonalność i obiektywność. Wśród tych przekonań są takie, które ułatwiają obronę ideału poznania obiektywnego oraz wartości poznawczej nauki oraz takie, które czynią z nauki uwarunkowaną jedynie subiektywnymi czynnikami wyraz realizacji interesów tej czy innej klasy ludzi i odmawiają jej twierdzeniom waloru obiektywnej prawdziwości. Którekolwiek z tych przekonań byłyby słuszne, rozstrzygnięcie tego nie leży w gestii żadnej dyscypliny naukowej. Mamy tu więc kolejny argument przeciw autonomii poznawczej nauki oraz na rzecz tezy o jej zależności od założeń filozoficznych. Nie rozstrzyga on jednak o obiektywności czy subiektywności poznania naukowego. Jeśli istnieje obiektywna rzeczywistość, to sprawa ta jest rozstrzygnięta niezależnie od tego, co ktokolwiek myśli na ten temat.

Dr hab. Piotr Bylica, prof. UZ, filozof przyrody, nauki i religii, Instytut Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego

Teresa Sikora

Nieintencjonalna nieściskość

Umysłowa sieć subiektywizmu

Psychologowie ewolucyjni twierdzą, że myślenie wykształciło się dla działania, a nie dla samego myślenia, dlatego dopasowanie operacji umysłowych do charakteru codziennych zadań podnosi efektywność operacji intelektualnych.

Uważne spojrzenie na rzeczywistość, w której przychodzi nam żyć, wyostrza jej nieco paradoksalny charakter. Z jednej strony w świadomości społecznej wyraźnie funkcjonuje Snowdenowskie przeciwstawienie nauk ścisłych naukom humanistycznym i wyższe wartościowanie tych pierwszych. Na szkolnych zebraniach rodziców częściej usłyszeć można naleganie na dodatkowe godziny matematyki niż zajęć artystycznych. Nie tak dawno powstał projekt zmniejszenia subwencji dla nauk humanistycznych na polskich uczelniach. Z wielu kierunków studiów wycofano filozofię jako przedmiot obowiązujący, a zarobki informatyków są znacznie wyższe niż średnia krajowa. Z drugiej strony to właśnie dzięki naukom ścisłym dysponujemy narzędziami zachęcającymi do rezygnowania z „potęgi umysłu”, czyli – w dłuższej perspektywie – unicestwiamy dotychczasowe źródło postępu naukowego, ów najtańszy instrument badawczy, jak nazywał umysł ludzki Władimir Arnold. Kibicując łażikowi Perseverance, biologom pracującym nad szczepionką na COVID-19, pobieramy kolejną aplikację (za)uwzględniającą, oceniającą, decydującą za nas. Tymczasem zasada „organ nieużywany zanika” stosuje się także do obszarów kory mózgowej (Spitzer) zawiadujących naszymi działaniami. Grasz na skrzypcach czy gitarze? Zatem obszar kory odpowiedzialny za ruchy palców lewej dłoni jest u ciebie większy niż u tych, którzy tak intensywnie ich nie trenują. Używasz GPS? Zatem mapowanie przestrzeni w twoim umyśle jest mniej dokładne niż u tych, którzy mają „mapę w głowie”. Wszystko dzięki neuroplastyczności, czyli nieustannemu tworzeniu i likwidowaniu połączeń międzykomórkowych w naszych mózгах.

Nie przesądając wyniku „rozgrywki” pomiędzy narzędziem węglowym a krzemowym, pozwalającymi, używając metafory Poppera, umierać naszym teoriom za nas, przyrzyczymy się wspomnianej paradoksalności w pryzmacie nie tyle psychologizmu, ile psychologii funkcjonowania umysłu. Także umysłu człowieka dążącego do ścisłości, kojarzonej potocznie i naukowo ze zdolnością koncentracji (długotrwałej), kontrolą własnej aktywności myślowej, trafnością sądów, adekwatnością ocen, zasobnością systemu wiedzy, głębią analizy, logiką wyводу. Tytułowa nieintencjonalna nieściskość zaczyna się już na etapie korzystania z zasad niezbędnych do dedukcji. Jak wiadomo, formalna poprawność logicznych schematów wnio-

skowania nie musi iść w parze z prawdziwością treści wniosku. Więcej nawet: wynik takich operacji może przeczyć codziennym doświadczeniom i zmysłowemu oglądowi (np. logicznie poprawne: „jeśli wszyscy czytelnicy są ludźmi i wszyscy ludzie noszą pióropusz, to wszyscy czytelnicy noszą pióropusz”). Takie operacje wyższego rzędu, jak nazywa się w psychologii myślenie, rozumowanie, decydowanie, okazują się stosunkowo późne ewolucyjnie i jako takie ustępują pod względem szybkości aktywizowania, realizacji, dostępności wcześniejszym – takim, które służą do sprawnego działania w czasie rzeczywistym, jak czasem definiuje się zawodne z punktu widzenia nauk ścisłych heurystyki. Myślenie oparte na zasadach logiki, będąc wtórnym wobec tzw. zdrowego rozsądku, czyli wnioskowania opartego na dotychczasowych doświadczeniach, wymaga, by logiki wnioskowania się uczyć; jeśli nie znajdujemy zastosowania dla niej w codziennej aktywności, staje się niefunkcjonalna. Psychologowie ewolucyjni twierdzą, że myślenie wykształciło się dla działania, a nie dla samego myślenia, dlatego dopasowanie operacji umysłowych do charakteru codziennych zadań podnosi efektywność operacji intelektualnych. Popularnym, spektakularnym niemal przykładem jest tutaj znane zadanie Wasona, w którym zmiana semantyczna przy formalnej niezmienności przekłada się na wzrost poprawności wykonania.

Żyjemy w świecie „teraz”

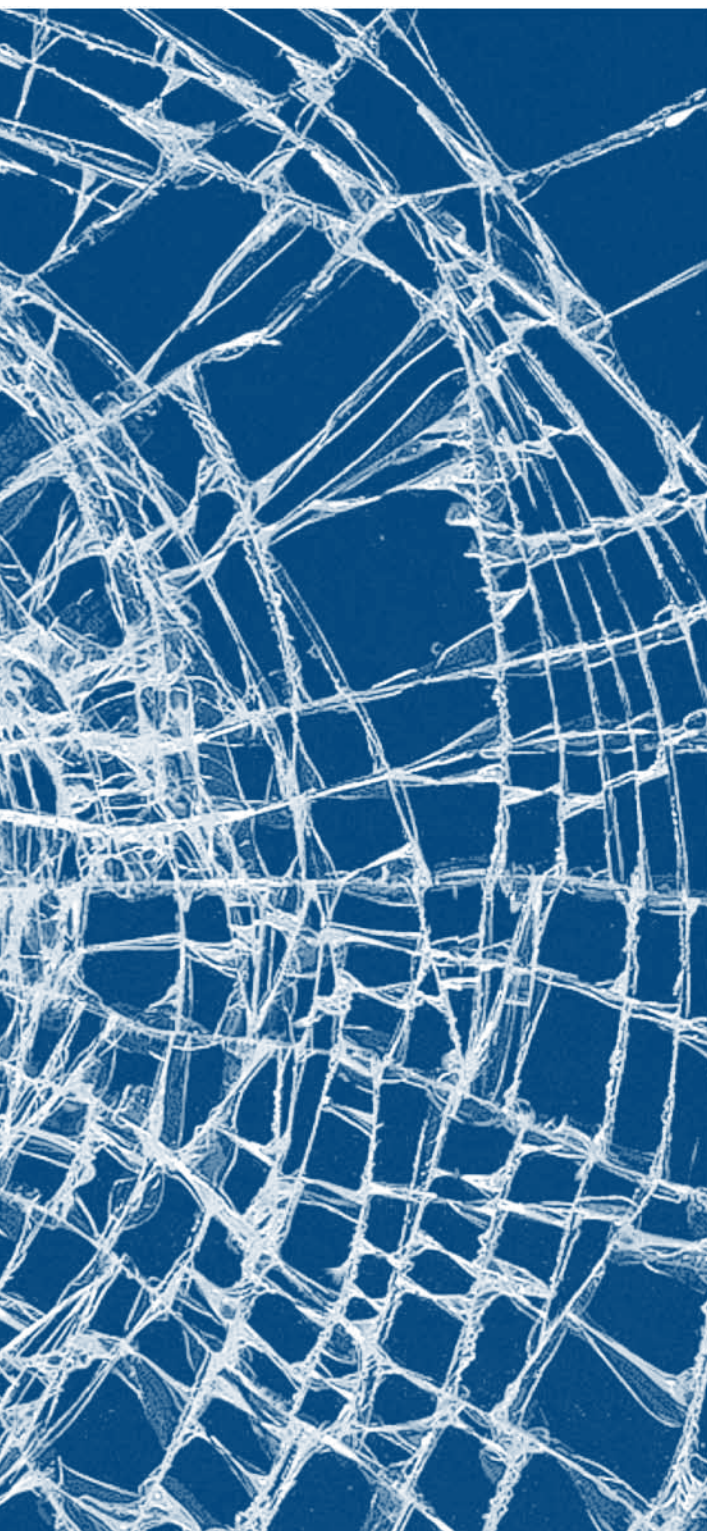
Owa konieczność oderwania się od zmysowości, umiejętność operowania pojęciami abstrakcyjnymi, oswoadzająca, odciążająca i dynamizująca umysł, owo „uwolnienie umysłu od ciała” ma swoją cenę: jest nią wysiłek poznawczy, niemożność poprzestania na pierwotnych szkicach, pierwszych schematach, wymóg „dyskursywnego charakteru abstrakcyjnej i gruntownej koherencji, która nie może osiągnąć celu za jednym zamachem” (Bachelard). Czyli wymaga formy aktywności przeciwnej do tej, którą Nosal identyfikuje jako charakterystyczną współczesnych ludzi asocjacyjność, przygodność trenowaną w odpowiedzi na środowiskowe afordancje (sposobności) – szybkie łącza, łatwy dostęp, intuicyjną obsługę. Warunki sprzyjające przerzutności uwagi, podzielności, krótkiemu czasowi koncentracji, sprawności pamięci roboczej niezauważenie dla nas samych formują umysłową aktywność z fil-

trem przepuszczającym to, co szybkie, łatwe, jednoznaczne, umysłowość o „mentalności prawego kciuka” (Górnik-Durose, Jach, Sikora). Żyjemy wszak w świecie „teraz”: w świecie kompresji, nadmiaru, płynności, „tyranii chwili” (Eriksen), w którym Fear of Missing Out nadaje priorytet ciekawości, a nie nadziei tworzenia. Tworzenia, dla powodzenia którego Einstein (raczej bezdyskusyjnie kwalifikowany po stronie nauk ścisłych) ukuł zasadę przewagi wyobraźni nad wiedzą. Ta pierwsza stwarza przestrzeń dla dokonywania przekształceń, korzystania z formuł informacyjnych i kodów konkurencyjnych względem dominujących, pozwala „podróżować na promieniu światła”, daje miejsce pozawolitionalnym operacjom mentalnym, w wyniku których jawi się helisa. Żeby tak się stało, trzeba pozwolić sobie na błędzenie. W języku neuropsychologii oznacza to ograniczenie zewnętrznej stymulacji, które aktywując sieć DMN (default mode network), mediuje proces

skierowanego błędzenia, w efekcie czego wzmocnieniu ulegają połączenia dalekiego zasięgu – tworząc próbne modele mentalne, integrujące pozornie przygodne asocjacje w nowe jakości (Goldberg). Te ostatnie poddawane są następnie weryfikującej analizie. Tymczasem wyobraźnia, ów fundament badań technologicznymi, w zetknięciu ze współczesnymi realizacjami technologicznymi, na przykład Virtual Reality, ustępuje pola percepcji: w miejsce generowania przekształceń rzeczywistości wchodzi recepcja gotowego przekazu. Co więcej, dostępność i różnorodność rzeczywistości wirtualnej obniżają motywację do podejmowania działań twórczych, wychodzenia „poza dostarczone informacje”; wolimy skorzystać z gotowych pomysłów, niż tworzyć własne. Czyli, paradoksalnie właśnie, to, co w założeniu ma pełnić funkcję wspierającego rozszerzenia, staje się anihilatorem umiejętności niezbędnych w procesie postępowania badawczego.



Równie niezbędna dla obiektywnie uznanej ścisłości, wspomniana wyżej dyskursywność jawi się jako dyskusyjna (nomen omen) i jest niezamierzenie wypaczana. Status konferencji interdyscyplinarnych, międzynarodowych staży zagranicznych dowodzi wiary w efektywność pracy zespołowej. Tym, co stanowi psychologiczną barierę uznania zespołowości za najwyższą formę naukowej „infrastruktury”, jest opisany przed półwieczem przez Janisa syndrom myślenia grupowego. Powszechnie znany, akcentujący przewagę motywacji do utrzymywania spójności grupy nad gotowością do podejmowania krytycznej analizy, zarysowuje istotną barierę na drodze operacji uściślenia. Przywoływany jako źródło niepowodzenia tak doniosłych przedsięwzięć jak misja Challengeera w 1986, podważany jako niewystarczająco zweryfikowany, pozostaje istotnym psychologicznie problemem w pryzmacie dążenia do ścisłości naukowej.



W obrębie tej samej – społecznej – kategorii formatowania umysłowości mieści się także specyfika poznawania współwarunkowana obecnością innych. Z jednej strony wzrost czujności facylitujący szybkość reakcji (zapewne podstawa powiedzenia „pańskie oko konia tuczy”) z racji samej obecności innych ludzi, z drugiej poznawcza oszczędność nazywana nawet lenistwem poznawczym – nieuświadamiana, rejestrowana jako niższa efektywność jednostki, kiedy praca jest współdzielona w porównaniu z warunkiem samodzielnej pracy. Zatem kolejny paradoks i problem: jak pracować? Zwłaszcza że możliwość kontrolowania wykształconych ewolucyjnie, automatycznie działających mechanizmów – wspomnianego wzrostu pobudzenia oraz traktowania innych jako źródła zasobów – skazana jest raczej na niepowodzenie. Pomimo to współczesne analizy kognitywne prowadzą do wniosku, że myślenie jest pochodną aktywności społecznej; współbycie jest źródłem najbardziej zaawansowanych procedur umysłowych (Dunbar). Potoczne „co dwie głowy, to nie jedna”, metoda „burzy mózgow” jako narzędzie wynajdywania rozwiązań sugerują efektywność wielości i różnorodności podejść, poglądów, przekonań w procesie podejmowania decyzji odnośnie do formułowania sądu, znajdowania właściwego rozwiązania. Tymczasem okazuje się, że owa „multifrenia” (Gergen) paradoksalnie skłania do zamykania się w tzw. bańkach nie tylko środowiskowych, (świato)poglądowych (echo chambers), ale nawet osobistych (filter bubble) – w otoczeniu informacji pasujących do przekonań i profili (Eli Pariser). Sprzyjają takiemu zamykaniu technologie algorytmicznie personalizujące charakter dostarczanych odbiorcy informacji. Nie tylko reklamy, lecz także podpowiedzi przeczytania określonych artykułów naukowych wzmacniają ściany prywatnych poznawczych „bańek” informacyjnych. I znowu: zaletą jest, w ujęciu współczesnych kategorii wartościowania, szybkość i łatwość dotarcia do informacji użytecznych dla zadania, wadą – odcinanie obszarów do błędzenia, które – także w odniesieniu do pracy umysłowej – może być odkrywaniem nowych dróg. Więcej nawet: sama świadomość różnorodności stoi na straży obiektywności i efektywności, pozwalając w porę zidentyfikować istniejące błędy, przełamać błędne nastawienie poznawcze, sztywność czy fiksjację na sposobie myślenia o problemie.

Na przekór własnemu „ustawieniom domyślnym”

Ale dzisiaj oczywistość i codzienność praktyk pozwalających nie wykraczać poza własny obszar przekonań przekłada się na pojmowanie wiedzy jako iloczynu własnej wrażliwości i doświadczeń (Harari) bardziej niż jako społecznie ustalonej jakości. Dowartościowanie i przyznanie prymatu wrażliwości, emocjonalności (nie dyskutuje się ze stwierdzeniem „tak czuję”) w miejsce analizy i obiektywności prowadzi nie tylko do niechęci, ale i aktywnego zabezpieczania się przed ewentualną konfrontacją z mentalną odmiernością; wyznaczanie w ośrodkach edukacyjnych (sic!) stref bezpieczeństwa (Twenge) wolnych od odmiennych opinii, przekonań, oskarżanie wykładowców o narażanie słuchaczy na dyskomfort emocjonalny powstający w reakcji na dysonans poznawczy to ilustracje paradoksu zjadania własnego ogona w obszarze postulowanej dyskursywności. Oczywiście, że tendencja ta nabudowuje się na automatyzmie dążenia do konfirmacji. Zaprzeczenia są pierwotnie kodowane w postaci zdań twierdzących; potrzebny jest dalszy wysiłek umysłowy i dodatkowa operacja przekształcenia, by „nie myśleć o białym niedźwiedziu”. Poszukiwanie wzorców jako podstawowa strategia inteligencji ludzkiej i sztucznej czyni konfirmację operacją domyślną. Tyle że ścisłości wiedzy nie daje się uzyskać bez odrzucania, zmieniania,

przepracowania, czyli – działania na przekór własnym „ustawieniom domyślnym”.

Właśnie owa domyślność, zwana w psychologii poznawczej Systemem I (Kahneman), bazująca na powtarzalności, wyrazistości, rytmiczności, uśrednianiu, będąc użyteczną ewolucyjnie (lepiej wystraszyć się na widok węża ogrodowego niż nie zauważyć tajpana) jest jednocześnie przeszkodą do aktywowania wnioskowania, rozumowania. Te ostatnie domagają się zasobów poznawczych i energetycznych, systemu pojęć, uświadomienia, sekwencyjności, wolicjonalnego pokierowania. Znowu – przywołując odnośnik neuropoznawczy – wymagają one sprawności kontroli poznawczej, za którą odpowiada kora przedczołowa. Jej sprawność gwarantuje możliwość hamowania dystraktorów, utrzymywania w świadomości celu zadania, dobierania odpowiednich narzędzi jego realizacji. Jak zauważono, uszkodzenia w tym obszarze zaburzają m.in. umiejętność przeprowadzania działań matematycznych (Hohol). Wystarczy zestawić wymogi Systemu I z wymogami pracy współczesnego badacza, dla którego multitasking i bliski horyzont czasowy różnorodnych rozliczeń wyników myślenia (rozliczenie grantu, oczekiwania partnerów biznesowych czy sponsorów) stanowią, być może nieuświadomiony, przyczynę do szybszego zamrażania sądów. A myślenie w obliczu presji czasu ulega instrumentalizacji (Taylor), staje się podporządkowane doraźnym potrzebom, pozbawione wizji. Nauki (do)stosowane wypierają stosowanie nauki (do tego stopnia, że PAN opracowała i przyjęła w 2019 roku dokument *Etyczne aspekty upowszechniania poglądów nie-naukowych*). Potoczne przekonania kojarzą wprawdzie wizjonerstwo z przeciwstawioną ścisłości humanistyką, ale zasadności takiego przyporządkowania przeczą np. wyniki badania typów umysłów pracowników NASA. To nie percepcja i myślenie stanowią fundament umysłowości wielu z nich; efektywność myślenia wykracza poza operowanie liczbami i faktami, wykorzystując intuicję i uczucia tworzące profil wizjonera wg koncepcji Junga.

Subiektywizm oglądu wykazywany jest empirycznie jako niezbywalny element umysłowości rozumianej jako zespolona ze swoim środowiskiem: zakorzeniona, usytuowana i ucieleśniona (Barsalou), niesprowadzalna do abstrakcyjnych, pozamaterialnych symboli. Chociaż jesteśmy świadomi części zasad określających wspomniany związek (że do pracy umysłowej najlepsza jest temperatura otoczenia w okolicy 19°C, a odległość oczu od czytanego tekstu powinna wynosić 30-40 cm), to niemożliwe jest monitorowanie wszystkich relacji (istotnych, jak może się okazać). Który, najściślej nawet weryfikujący kolejne efekty własnej pracy umysł kontroluje wpływ poziomu glukozy we własnym organizmie na wynik spostrzegania czy oceniania, temperaturę trzymanego w dłoniach napoju, brzmienie słów, wpływ czynności obocznych? A takie incydentalne czynniki są – jak pokazują badania – mierzalnymi regulatorami wyniku pracy umysłowej (stok oceniania jest jako bardziej nachylony przy niższym poziomie glukozy, ciepły napój w dłoniach do ciepła atmosfera spotkania, czekolada „Bouba” jest słodsza niż „Kiki”, mycie rąk zwiększa prawdopodobieństwo zastosowania kryterium moralnego do osądu). Podobnie ruch. Perypatetycy intuicyjnie pobudzali swoje umysły spacerując; nawet przy założeniu, że motoryka jest wstępnym etapem późniejszych, niezwiązanych już z aktywnością kory psychoruchowej operacji myślowych, wielość perspektyw doświadczanych zmysłowo w dzieciństwie i tak przekłada się na wyższy poziom inteligencji w późniejszym wieku (Bornstein i in.). Nauka ścisła wmagalaby, zgodnie z powyższym, raczej treningu zdartych kolan niż czystych rąk, tyle że sugestia taka w czasie pandemii może unicestwić jakąkolwiek naukę. I byłyby to, po pro-

stu, kolejny paradoks: dbałość o czystość nauki unicestwia potencjalnych naukowców.

Bez sprzeciwu opuścisz mój pokój

Nieintencjonalną nieścisłość można rozpatrywać także jako pochodną kompetencji społecznych. Często utożsamia się naukowców z samotnikami, nerdami czy geekami; intuicja zależności wyraża się w przeciwstawieniu: albo kariera naukowa, albo rodzina. I, jak pokazują badania (Li, Kazanawa), są to obserwacje znajdujące potwierdzenie w danych. Zgodnie z nimi ponadprzeciętnie inteligentni preferują samotność i są mniej sprawni w poruszaniu się na gruncie relacji interpersonalnych. Nie został jednoznacznie ustalony powód tej korelacji. Hawking twierdził, że to właśnie dzięki swej niepełnosprawności może należycie skupić się na istotnych wyzwaniach intelektualnych, bo nie rozprasza go towarzyskie zobowiązania. Newton uchodził za mizantropa, nie cierpiał, kiedy ludzie zawracali mu głowę. Einstein wystosował do żony warunki kontynuowania małżeństwa („przestanieś do mnie mówić, kiedy tego zażądam i bez sprzeciwu opuścisz mój pokój natychmiast, kiedy o to poproszę”). Uprawdopodobnia to tezę o ograniczonej puli dostępnych zasobów i nawiązuje do wagi trenowania umiejętności, ale nie wyklucza poszukiwania innych źródeł (nie)ścisłości.

Warto więc wspomnieć o nieintencjonalności wynikającej ze zmagania się z zaburzeniem. Tyle że skutkiem ubocznym radzenia sobie z zaburzeniem może być w tym przypadku nieprawdopodobna ścisłość. Mowa o spektrum autyzmu, którego jednym z przejawów jest nadwrażliwość na nieuporządkowany napływ bodźców (hyperreactivity) i – w związku z tym – obrona przed bodźcami oraz tendencja do poszukiwania wzorów, prawidłowości. Zachowanie takie ma na celu redukcję doświadczanego nadmiaru i aktywowane jest, jak należy się spodziewać, nieświadomie. Jednym ze sposobów ograniczania stymulacji jest unikanie koncentracji wzroku w okolicy twarzy (głównie oczu) innych ludzi (Hickok), czyli na tych bodźcach, które niosą istotne sygnały emocjonalne i stanowią bazę komunikacji społecznej. Konsekwencją połączenia umiejętności rozpoznawania wzorców i stawiania barier danym o charakterze społecznym jest często „wysokoracjonalne” funkcjonowanie pozwalające ignorować przygodne, nieistotne dla zadania sygnały. Ponadto ten autystyczny syndrom intensywnego świata sprzyja kierowaniu się ku wyobraźni, gdzie strumień bodźców jest regulowany zgodnie z możliwością recepcji. Wyobraźnia zaś „nieskrępowana przyzwyczajeniami świata Materii” (Dukaj), pozwala generować oryginalne rozwiązania. Spektakularnym przykładem nadania zaburzeniu rangi pożądanej jakości jest system angaży oferowany osobom autystycznym przez firmy informatyczne – duńską Specialisterne i niemiecką SAP AG.

Jeśli dodamy do tego fakt charakteryzowania współczesnej kultury jako kultury narcyzmu, prognozy dla ścisłości naukowej jawią się nie najgorzej. Niemniej – jak przystało na paradoks – stronięcie od różnorodności i ciążenie ku wygodzie zmieniają wektor prognozowania. Dopóki jednak silna sztuczna inteligencja nie uczyni bezprzedmiotowymi powyższych rozważań, obowiązująca pozostaje wskazówka: „Miejcie oczy szeroko otwarte, bądźcie krytycznie nastawieni do wszystkiego, nie przyjmujcie żadnej prawdy bez głębokiego zastanowienia, obnażajcie i tępcie półprawdy i demagogię, nauczcie się podziwiać piękno otaczającego nas świata i nade wszystko – i o wszystkim – myśleć!” (Feynman).

Dr Teresa Sikora, psycholog, Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Rafał Paweł Wierchostawski

Obiektywność poznania w kontekście społecznym nauki

„Nauki ścisłe i przyrodnicze uchodzą za twarde pod względem przedmiotu badań i metodologii. Jakie jest w nich miejsce na subiektywizm, emocje, własne przekonania naukowców?”. Na tak zadane pytanie redakcji można odpowiedzieć na wiele sposobów.

Można skupić się na „czystej” metodologii nauk, zwłaszcza tych ścisłych, i zastanawiać się, w jakiej mierze zasady i dyrektywy metodologiczne, które określają przedmiot badania, stawiane cele oraz akceptowane narzędzia poznawcze, uwzględniają owe elementy subiektywności związane z jednostkowym czy też grupowym podmiotem poznania; nie tylko w sensie procesu poznawczego, zachodzącego na poszczególnych etapach dążenia do celu poznania, lecz także w sensie kontekstu uzasadniania i ostatecznej akceptacji osiągniętego wyniku poznawczego. Historycznie można zauważyć przesunięcie w rozumieniu wyznaczników metodologicznej akceptowalności (zarówno procesu poznawczego, jak i jego wytworów), jakie można zaobserwować w dziejach. Gdy metodologicznym standardem była wyidealizowana refleksja nad nauką (logika teorii naukowych), w której skupiano się przede wszystkim na kontekście uzasadniania, kwestie podmiotowe i subiektywne nastawienie podmiotu przynależało do psychologii nauki, a nie do metodologii. Upraszczając, taka postawa charakteryzowała różne etapy pozytywistycznego podejścia do nauki. To logika nauki miała wyznaczać uzasadnianie obserwowanych danych doświadczenia i budowę teorii, która miała dążyć w maksymalnym stopniu do przyjęcia struktury systemu dedukcyjnego, a wszystkie dyscypliny naukowe miały naśladować wzorcową matrycę nauki, jaką uosabiała ówczesna fizyka. Nauka miała być uprawiana nie tylko *more geometrico*, lecz także *more physico*, jeśli można posłużyć się taką parafrazą. Taka wizja należy już jednak do przeszłości, bowiem w coraz większym stopniu w odniesieniu do problematyki metodologicznej pojawia się termin pluralizmu metodologicznego (Mantzavionous).

Zbudować pełną ontologię społeczną

Wraz z pojawieniem się podejść antypozytywistycznych zaczęto zwracać uwagę na kontekst odkrycia, czyli uwzględ-

niać faktyczne funkcjonowanie nauki jako poznawczego procesu społecznego (wspólnota uczonych jako kategoria istotna) w sensie analizy poznawczego nastawienia badających tak a nie inaczej zdefiniowany przedmiot. Zarówno Thomas Kuhn, jak i Robert Merton odwoływali się tacite do lekko wówczas zapomnianej pracy Ludwika Flecka, który zwrócił uwagę na rolę kolektywów myślowych w organizacji i interpretacji danych doświadczenia. W tym kontekście mamy do czynienia z pewną wersją subiektywizmu zobiektywizowanego. To nowy sposób spojrzenia i dostrzeżenia w badanym przedmiocie nowych cech, czy też ujęcia go w innym, dotychczas nieznanym aspekcie, miały stanowić o zmianie w nauce. Rzecz jasna nie każde odmienne od wcześniejszego ujęcie przedmiotu miało stanowić zmianę paradygmatu, ale zwrócono uwagę, że to podmiot spoglądający z innego punktu widzenia na przedmiot zmienia jego znaczenie czy też obraz dla wspólnoty uczonych i musi tę wspólnotę przekonać do tego, że to jego ujęcie, a nie dotychczas panujące, jest bardziej właściwe. Obiektywizacja wiąże się z uznaniem faktu, że jakieś *x* jest uznawane za *y* w danym kontekście przez określoną wspólnotę.

Kwestia podmiotowego udziału w określaniu (wytwarzaniu) faktów naukowych może prowadzić do kilku innych aspektów zasugerowanej subiektywności w obszarze nauki. Będą to kwestie konstruktywizmu (społecznego) w określaniu przedmiotu badania. Jak przypominają klasycy fenomenologicznej socjologii wiedzy, to jednostka w życiu codziennym określa cele swojego działania, które mają charakter praktyczny (pragmatyczny) i istotny dla niej w danym momencie czasowym. A każdy przedmiot, do którego się ona w działaniu społecznym odnosi, może być definiowany w zależności od motywów działania, zatem to jednostka wybiera w jego świetle, czy jest to raczej *p*, *r*, czy też *q*, bo każda z owych deskrypcji można mu przypisać. Opi-

sane przez fenomenologów aspekty oddolnego działania (współdziałania) w przestrzeni codzienności zostały w dalszym etapie wykorzystane w antropologii życia naukowego (Knorr) oraz socjologii wiedzy (Berger i Luckmann). W obu obszarach interesowały badaczy struktury interpretacji i konstrukcji rzeczywistości społecznej (choć nie tylko społecznej) w interakcjach z innymi podmiotami w obrębie struktur i instytucji, w ramach których owo definiowanie rzeczywistości zachodziło.

Niezależnie od tradycji fenomenologicznej w połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęto wykorzystywać różne funkcje językowe w określaniu podstawowych faktów społecznych i instytucjonalnych, które istnieją jedynie dzięki temu, że są uznawane przez swoich użytkowników w ramach performatywnych funkcji języka. Od banknotu dziesięciozłotowego, przez uniwersytety i instytuty badawcze, po państwa i organizacje międzynarodowe. To określona wspólnota uznaje pewien kawałek papieru za banknot pieniężny wyemitowany przez bank centralny, którym możemy płacić za określone towary. Żadne własności fizyczne papieru nie predestynują go do pełnienia takiej funkcji, jedynie nadanie mu tej funkcji w danym społeczeństwie. Multiplikując takie nakładanie się funkcji nadawania statusu coraz to innym obiektom, możemy zbudować pełną ontologię społeczną.

Wiedza jako możliwość działania w świecie

Co ciekawe, ta wersja konstruktywizmu (połączona z pewną wersją intencjonalności zbiorowych, które mają mieć charakter ponadindywidualny, a jednocześnie nie pociągają przyjęcia heglowsko-marksowskich obiektywnych bytów ponadjednostkowych) miała w zamyśle jej twórcy, Johna Searle'a, konsekwencje jak najbardziej realistyczne, w odróżnieniu od bardziej antyrealistycznych (konstruktywistycznych) konsekwencji przypisywanych fenomenologom. Kolejne znaczenie subiektywizmu wiąże się zatem z rolą podmiotów poznających i działających w ustanawianiu faktu istnienia oraz treści przysługujących badanym przedmiotom. Wspomniana rola może przebiegać całe spektrum od mocnego konstruktywizmu społecznego, przez jego bardziej umiarkowane formy, po pewne wersje obiektywistycznego realizmu (wszak konstruowane przez nas fakty społeczne i instytucjonalne istnieją jak najbardziej realnie i mają także konsekwencje).

Konsekwencją tego rozumienia subiektywności może być zwrócenie uwagi na różne poziomy (typy) wiedzy, które pojawiają się w relacji do wiedzy naukowej. Wskazuje się na rolę wiedzy potocznej, lokalnej czy też pierwotnej (indigenous knowledge). Z jednej strony pojawia się pytanie o subiektywną z natury wiedzę potoczną w odniesieniu do nauki. Jednak w odróżnieniu od dawnych czasów pojawia się nowy kontekst. Bowiem od kilku generacji funkcjonujemy w społeczeństwach opartych na wiedzy (Nico Stehr). Termin ten odnosi się do kolejnego etapu rozwoju społeczeństw w procesie modernizacji, który następuje po społeczeństwach przemysłowych czy poprzemysłowych. Ten typ społeczeństw charakteryzuje pewien sposób podejścia do myślenia o świecie, nowa epistemologia czy też rozumienie wiedzy: nie jest ona określana jedynie w kategoriach poznawczego odniesienia się do prawdy o świecie, ale przede wszystkim jako możliwość działania w świecie (capacity to act), jako pewien model rzeczywistości czy też jako zdolność wprowadzania zmian i uruchamiania określonych procesów (Stehr 1994; Stehr i Ruser 2017). W takim układzie wiedza przenika wszystkie obszary życia społecznego, w tym również życia codziennego.

Nauka w rzeczywistości społecznej zyskuje na doniosłości ze względu na jej praktyczne i technologiczne aplikacje. Można powiedzieć, że teoria mnogości i algebry Boole'a objawiają się

na ekranach naszych komputerów i smartfonów. Tym samym nauka nie tylko odpowiada na pytanie co, jak i dlaczego jest, lecz – jak zauważają socjologowie wiedzy naukowej – staje się warunkiem naszego działania i przetwarzania świata. Jednocześnie w związku z postępującą specjalizacją w coraz większym stopniu rośnie rola pośredników w dystrybucji wiedzy naukowej do przedstawicieli rozmaitych dziedzin życia zarówno indywidualnego, jak i zbiorowego (publicznego).

Owo przenikanie się wiedzy i codzienności wiąże się z powszechną obecnością owoców wiedzy w postaci rozmaitych technologii i urządzeń, które ułatwiają życie, ale nasza wiedza sprowadza się w coraz większym stopniu do ich użytkowania (know how), bez znajomości przyczynowych mechanizmów ich funkcjonowania (pomimo powszechnej edukacji). Mamy zatem do czynienia z ciekawym sprzężeniem obiektywności nauki i technologii z ich zestandaryzowanym użyciem w różnych wersjach subiektywności. Jednocześnie w kontekście rozumienia wiedzy jako możliwości działania zwrócić należy uwagę na problem nieoczekiwanych konsekwencji rozwoju naukowo-technicznego (technologicznego), który objawia się w postaci rozmaitych niezamierzonych i nieprzewidzianych skutków, owocujących reakcjami społecznymi określanymi mianem społeczeństwa ryzyka (U. Beck) czy też społeczeństwa strachu (F. Furedi).

Urocze szalbierstwo

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z konieczności wykorzystania wiedzy naukowej w kontekście podejmowania rozmaitych decyzji w przestrzeni publicznej. Politycy nie mają wystarczającej wiedzy, zatem muszą korzystać z porad ekspertów w danej dziedzinie. Decyzje polityczne są kontekstowe i lokalne, tu i teraz, wiedza naukowa jest ogólna i uniwersalna. Jednocześnie decyzje polityczne muszą brać pod uwagę rozmaite wartości pozapoznawcze, które je warunkują. Politycy przedstawiają swoje decyzje jako wynik absolutnie obiektywnej i racjonalnej wiedzy naukowej, którą podzielili się z nimi uczeni występujący w roli ekspertów w realizacji dobra wspólnego. Jak jednak pokazał w swoich pracach Mark Brown, analizując funkcjonowanie naukowych ekspertów w systemie demokratycznym, jest to urocze szalbierstwo. Obie strony, czyli naukowcy-ekspertcy i politycy, głoszą pod rozpiętym baldachimem obiektywnej nauki, której wyniki mają wspierać podejmowane przez nich decyzje, że są one absolutnie obiektywne. Jednak przy bliższej analizie ekspertyzy naukowców okazują się wybitnie stronnicze. Niezależnie od opcji ideologicznej (światopoglądowej, religijnej itp.) eksperci delikatnie ceniują wszelkie pro i contra, tak aby uzyskać pożądany przez ich mocodawców wynik. W kontekście wiedzy eksperckiej – zdaniem Browna – mamy do czynienia z naturalną subiektywizacją (upartyjnieniem) tego, co z deklaracji (natury) obiektywne. Jedynym rozwiązaniem tej sytuacji jest wyłożenie pozapoznawczych kart na stół i określenie swoich powiązań ze zleceniodawcami, których z założenia obiektywni eksperci reprezentują (niezależnie od orientacji aksjologicznych). Zatem proponowana przezeń kategoria reprezentacji jest formą subiektywizacji (czy też dokładniej – relatywizacji obiektywnej wiedzy-naukowej-w-użyciu).

Z jednej strony mamy do czynienia z niekwestionowanym sukcesem nauki i technologii, a współczesne społeczeństwa korzystają pełnymi garściami z tych owoców, ale z drugiej strony z coraz większym sceptycyzmem spoglądają na pojawiające się skutki uboczne owego postępu technicznego. Zanieczyszczenie środowiska, problemy klimatyczne czy zdrowotne współczesnych społeczeństw są traktowane jako nieoczekiwane skutki uboczne. Budzi to rosnący brak zaufania w stosunku do oficjalnej nauki i jej technologicznych zasto-

sowań. Mamy zatem do czynienia z paradoksem: ci, którzy wątpią w zdolności nauki, występują nie jak dawni ignoranci, którzy obawiając się maszyn parowych, po prostu je niszczyli. Zwolennik alternatywnej medycyny wskazuje na skutki uboczne obowiązujących szczepień czy też zastanawia się nad tym, czy przeprowadzanie mammograficznych badań przesiewowych jest wyrazem faktycznej troski o zdrowie obywateli (i przynosi realny wzrost rozpoznania raka piersi), czy też – jak sugeruje – jest przede wszystkim realizacją interesów lobby producentów przemysłu sprzętu medycznego oraz przychodni diagnostyki obrazowej, które to podmioty zyskują pieniądze z podatków obywateli. W obu przypadkach mamy do czynienia z krytycznym spojrzeniem odwołującym się do wiedzy racjonalnej i naukowej. Analogicznie, jak zwracają uwagę socjologowie, rozwijająca się blogosfera na tematy medyczne jest ciekawym przykładem autoanalizy subiektywnych doświadczeń pacjentów zmagających się z określonymi dolegliwościami w świetle wiedzy otrzymywanej od leczących ich lekarzy, obowiązującej wiedzy akademickiej, jak również znajdowanej w poradnikach czy też w sieci, w wyniku wymiany z innymi chorymi.

Wiedza partaczy

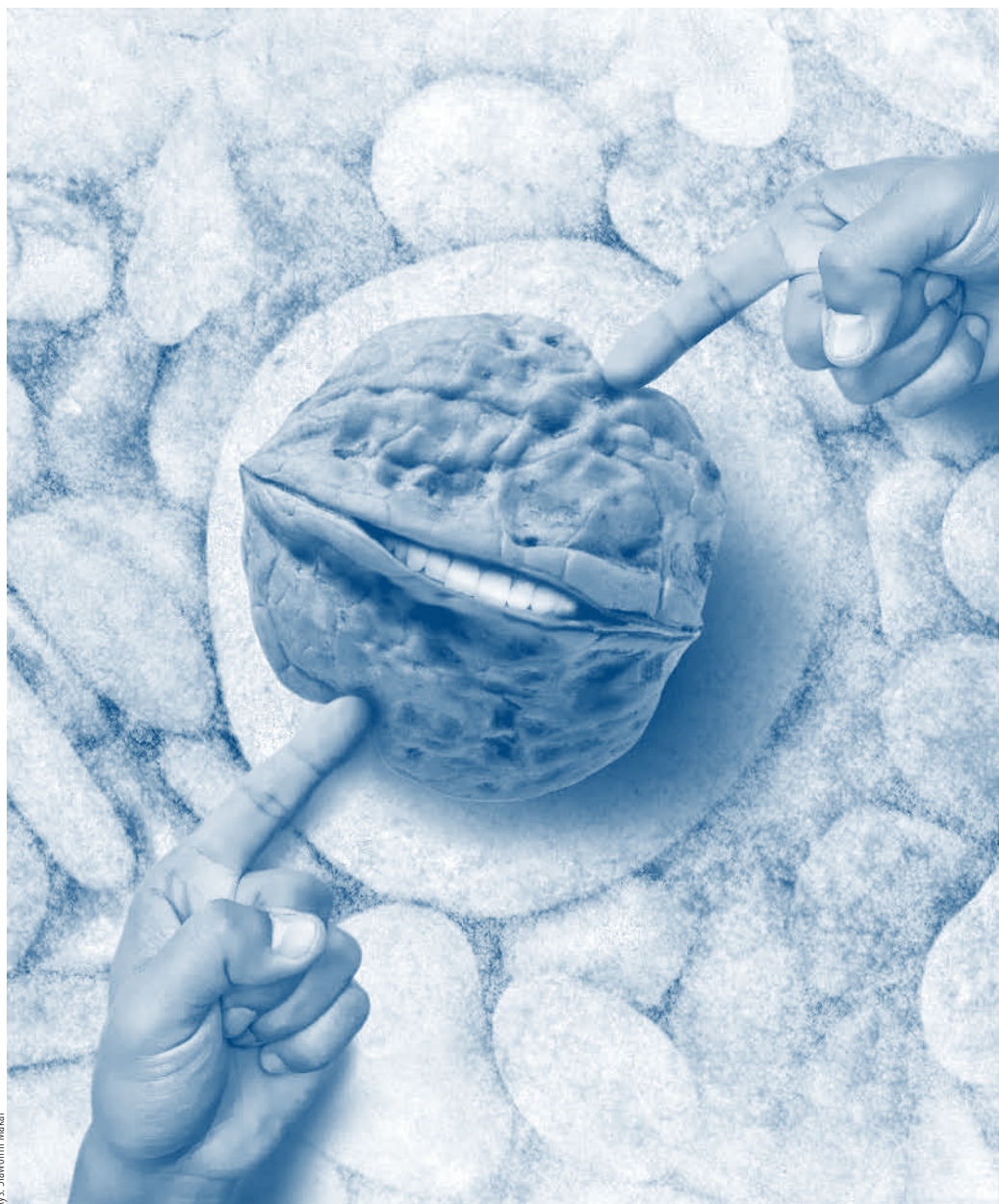
Owa subiektywizacja wiedzy nieprofesjonalnych użytkowników wiedzy profesjonalnej (akademickiej), która jest wyrazem realizacji ich indywidualnych potrzeb (chęć pogłębienia czy też zrozumienia własnych warunków egzystencjalnych w sytuacji granicznej, jaką jest np. choroba onkologiczna, radzenia sobie z utratą organów, np. macicy czy też piersi w wyniku mastektomii w kontekście akceptacji siebie jako kobiety), jest nową formą subiektywności. Poszukując formy określenia swojej sytuacji „ontologicznej” (antropologicznej), pacjentka może się bowiem odwoływać zarówno do wiedzy akademickiej, jak i pozaakademickiej (wymiana opinii uczestników listy dyskusyjnej). Tworzy tym samym wersję lokalnej wiedzy kontekstowej (Fisher) czy też wkracza w obszar nauki protestanckiej (Fuller).

Metaforyka nauki protestanckiej, wprowadzona przez Steva Fullera, wiąże się z fenomenem wiedzy na własny użytek (customized science). Analogicznie jak w momencie pojawienia się protestantyzmu, które zbiegło się z upowszechnieniem druku oraz przekładami Pisma Świętego na języki narodowe, zwykli wierni zyskali możliwość indywidualnej lektury pism objawionych bez pośrednictwa interpretacyjnego duchowieństwa. Sola scriptura i przekonanie o możliwości bezpośredniego kontaktu z boskimi wskazaniami, które można znaleźć, otwierając boską księgę, są przykładem wiedzy, która ma pokierować jednostkowym (czy też rodzinnym) życiem. Wiedza w tym rozumieniu ma nie tylko odniesienie prawdziwościowe, lecz również,

a może nawet przede wszystkim egzystencjalne, światopoglądowe (w tym i religijne).

Metaforyka protestancka ma wskazać na istotne elementy dla wiedzy na własny użytek. Wiedza ta jest zdobywana i rozpowszechniana poza Akademią, czyli poza instytucjami mającymi określone certyfikaty i przywileje cechowe. Mamy zatem do czynienia z wiedzą partaczy, którzy nie mają uprawnień mistrzowskich i nie przynależą do cechu, gildii i tego typu organizacji dających – jak to ciekawie określa Fuller – rentę akademicką. Fuller sugeruje, że współczesne badania naukowe będzie charakteryzowało właśnie wzrastające spluralizowanie metod, celów (potrzeb) w analizie różnych przedmiotów badań – nie tylko w obrębie Akademii, lecz także, a może przede wszystkim, poza Akademią. Ten proces można traktować jako kolejny niezamierzony efekt funkcjonowania społeczeństw opartych na wiedzy.

Dr Rafał Paweł Wierchosławski, filozof nauk społecznych, filozof polityki, studia nad ekspertami i socjologią wiedzy naukowej, prowadzi zajęcia dla studentów Wydziału Psychologii i Prawa Uniwersytetu Humanistycznospołecznego SWPS w Poznaniu.



Był. Sławomir Makal

Spór o otwarty dostęp

Bezpłatny dostęp do publikacji naukowych, postrzegany często jako realizacja społecznej sprawiedliwości, ma też swoje ciemne strony.

Decyzja Rady Naukowej ERC o zakończeniu wspierania tzw. Planu S dotyczącego otwartego dostępu do publikacji zaskoczyła część pracujących w Europie naukowców. Wspominany Plan S jest zapoczątkowaną w 2018 roku inicjatywą grupy kilkunastu agencji grantowych mającą na celu wymuszenie publikowania prac naukowych wyłącznie w czasopiśmie i na platformach umożliwiających natychmiastowy, bezpłatny dostęp czytelników. Organizacje popierające Plan S utworzyły tzw. Koalicję S, której jednym z sygnatariuszy jest także polskie Narodowe Centrum Nauki. Koalicję wspiera Komisja Europejska, a do niedawna wspierało także ERC.

Decyzję Rady Naukowej ERC poprzedziły trwające wiele miesięcy dyskusje zarówno na posiedzeniach grupy roboczej rady, zajmującej się zagadnieniami otwartego dostępu, jak i na jej posiedzeniach plenarnych. Generalnie nie kwestionowaliśmy samej idei otwartego dostępu do publikacji powstałych w wyniku badań finansowanych z publicznych środków. Warto tu przypomnieć, że ERC już w grudniu 2006 roku, czyli zanim przyznano w agencji jakiegokolwiek grant, wydała swoje pierwsze oświadczenie na ten temat. W następnych latach wsparcie dla otwartego dostępu było utrzymywane i przybierało m.in. postać różnego rodzaju zaleceń oraz wymagań w stosunku do grantobiorców, a także przejawiało się w organizacji warsztatów dla zainteresowanych tematem osób.

Przyczyny wycofania się ERC z Koalicji S

Głównym powodem wycofania się ERC ze wspierania Planu S był nadmierny, naszym zdaniem, radykalizm tego planu i jego potencjalnie negatywne skutki dla wielu naukowców, szczególnie młodych, a także tych, którzy pracują w krajach słabiej finansujących badania naukowe niż najbogatsze kraje Unii Europejskiej. W naszych kontaktach z urzędnikami Komisji Europejskiej wskazywaliśmy m.in. na szkodliwość zbyt pospiesznego wdrażania wymagań Planu S, w tym żądania dostępności wszystkich opublikowanych prac począwszy od 2021 roku oraz zakaz finansowania publikacji w tzw. czasopiśmie hybrydowych, wśród których są najbardziej renomowane czasopisma naukowe świata. Czasopisma hybrydowe to takie, których prenumerata bądź dostęp do pojedynczych artykułów są płatne, ale niektóre artykuły są dostępne bezpłatnie. Ta ostatnia opcja dotyczy prac, których opublikowanie zostało opłacone przez autorów. Zwracaliśmy także uwagę na ograniczenie działania planu w zasadzie do Europy, co może postawić naukowców z naszego kontynentu w trudniejszej sytuacji niż ich odpowiedników w Stanach Zjednoczonych czy Chinach.

Ten ostatni aspekt można zilustrować następującym przykładem. Nie od dziś wiadomo, że jednym z powodów sukcesu najlepszych światowych uczelni i instytutów badawczych jest ich zdolność do zatrudniania u siebie najwybitniejszych naukowców z całego globu. Praca w tych instytucjach, szczególnie na stabilnych stanowiskach, jest przedmiotem pożądania najzdolniejszych i najpracowitszych. W renomowanych uczelniach świata, w przypadku nauk o życiu, trudno sobie wyobrazić zatrudnienie na stabilnym stanowisku profesorskim (tenure track) bez opublikowania wyników badań naukowych w czasopiśmie typu „Nature” czy „Science”. Zdolny naukowiec z Chin czy Indii ma szansę na takie publikacje w wyniku stażu doktorskiego w dobrym ośrodku, ale raczej skorzysta z propozycji amerykańskiego profesora mającego grant z NSF niż kogoś z Europy realizującego grant ERC, ponieważ w tym ostatnim przypadku nie będzie mógł finansować publikacji w którymś z wymienionych czasopism hybrydowych.

Oczywiście bogate uczelnie Zachodniej Europy znajdują na ogół środki z własnych, a nie europejskich źródeł, by pokryć takie opłaty. Tu dochodzimy do drugiej słabości Planu S: co jednak ma zrobić wybitny młody naukowiec, nawet mający finansowanie z ERC, prowadzący badania np. w Rumunii? O finansowaniu publikacji jego artykułu w „Nature” ze środków uczelni nie ma raczej mowy. Ten problem dotyczy także naukowców z krajów co prawda bogatych, ale zatrudnionych w uczelniach bądź instytutach, których nie stać na ponoszenie takich kosztów z własnych środków. To niesprawiedliwość, której Rada Naukowa ERC także chciałaby zapobiec.

Nie wszystko złoto, co się świeci

Zasada otwartego dostępu do publikacji jest często przedstawiana jako realizacja pięknej idei darmowego korzystania z wyników badań finansowanych ze środków publicznych nie tylko przez innych naukowców, ale także przez całe społeczeństwo. Pierwsza część tego stwierdzenia brzmi logicznie – za badania zapłacili podatnicy, dlaczego na czytaniu ich opisów mieliby zarabiać prywatni wydawcy? Słabość drugiej części zdania jest oczywista: oczekiwanie, że szerokie rzesze będą czytać hermetyczne jednak i na ogół trudne do zrozumienia nawet przez specjalistów teksty, jest moim zdaniem naiwne, szczególnie w kraju, w którym, według badań OECD, blisko 40% dorosłych obywateli nie rozumie tego, co czyta, a kolejne 30% rozumie w niewielkim stopniu. Ponad 20% Polaków nie czyta w ogóle, nawet pojedynczego artykułu w brukowcu.



Fot. Stefan Ciechan

Wróćmy jednak do kwestii darmowego jakoby dostępu do publikacji naukowych. Znane amerykańskie powiedzenie brzmi: „nie ma darmowych obiadów”. Podobnie jest z otwartym dostępem. Ktoś musi ponieść koszty opublikowania i dystrybucji artykułu naukowego. W przeciwieństwie do tradycyjnego modelu wydawniczego, gdzie płaci się za czasopismo bądź dostęp do opublikowanych w nim treści, w podejściu „otwartego dostępu” płaci się za możliwość opublikowania samego artykułu. Opłaty te, w przypadku dobrych czasopism naukowych, są znaczące. Na tyle duże, że uniemożliwiają publikowanie naukowcom w krajach niezbyt zasobnych. Gdy zaczęliśmy

pracować naukowo, mój kraj należał do tej grupy. W bibliotece mojej uczelni brakowało wielu ważnych czasopism, ale zawsze mogłem prosić autorów artykułów o przysłanie bezpłatnej odbitki ich pracy. Jednak publikować mogłem wszędzie. Gdyby model otwartego dostępu obowiązywał wtedy, musiałbym zapewne zapomnieć o uprawianiu nauki.

Problem wykluczenia

W czasie jednego ze spotkań Rady Naukowej ERC z Robertem-Janem Smitsem, jednym z głównych twórców i propagatorów Planu S, a także osobą odpowiedzialną wówczas w Komii-

sji Europejskiej za sprawy otwartego dostępu, zadałem pytanie o to, co Komisja Europejska zamierza zrobić z problemem wykluczenia naukowców niemających środków na ponoszenie opłat za publikacje w otwartym dostępie. Gdy nie uzyskałem konkretnej odpowiedzi, zaproponowałem, by stworzyć specjalny europejski fundusz wspierający w tym zakresie potrzebujących naukowców, nawet gdy pracują w krajach poza Unią. Proponowałem także, by Komisja Europejska wywarła nacisk na główne wydawnictwa naukowe, by zwalniały z opłat bardzo dobre artykuły, gdy ich twórcy pochodzą z mniej zasobnych krajów i nie są w stanie ponieść opłat za publikację. Niestety takich działań nie podjęto, chociaż niektóre czasopisma z własnej inicjatywy oferują zwolnienia z opłat w szczególnych przypadkach. Moje propozycje ponawiałem także w czasie spotkań Rady Naukowej ERC i ich echo brzmi w ostatnim oświadczeniu rady dotyczącym wycofania się z Koalicji S.

Niektóre bogate kraje europejskie na własną rękę zawierają porozumienia z głównymi wydawnictwami (transformative agreements) zapobiegające podwójnemu płaceniu za artykuły, czyli zarówno przez autorów, jak i prenumeratorów. Pozwalają one na stopniowe przechodzenie czasopism hybrydowych w czasopisma z wyłącznie otwartym dostępem. Ale wątpliwości Rady Naukowej ERC związane są z tym, że dotyczy to tylko wybranych krajów i największych wydawców, stawiając w trudnej sytuacji nie tylko naukowców z krajów o mniejszej sile przetargowej, ale także mniejszych i często wyspecjalizowanych tematycznie wydawnictw. Stąd, naszym zdaniem, potrzeba więcej czasu na powszechniejsze obowiązywanie wspomnianych porozumień i związane z tym stopniowe zanikanie czasopism hybrydowych.

Wyzwania jakościowe

Wbrew twierdzeniom entuzjastów otwartego dostępu do publikacji nadal istotnym problemem pozostaje jakość czasopism opartych na tym paradygmacie. Nie zgadzam się z opinią, że jakość publikowanych prac nie zależy od modelu biznesowego czasopisma, a wyłącznie od innych czynników, w tym przede wszystkim polityki redakcyjnej.

Zakładając, że głównym celem wydawców czasopism naukowych jest zysk (niekiedy bywa inaczej) i z tego rozliczają redaktorów naczelnych, łatwo zauważyć, że w zależności od przyjętego modelu biznesowego skłaniają ich do zróżnicowanych zachowań. W czasopismach z otwartym dostępem liczy się najbardziej liczba przyjętych artykułów i związany z tym przychód. Oczywiście długofalowo należy dbać o jakość, bo czasopismo ryzykuje utratę chętnych do publikowania. Ale stanowisko redaktora może być zagrożone, gdy sito selekcyjne jest zbyt gęste. Inaczej jest w przypadku czasopism wydawanych tradycyjnie. Zysk bierze się głównie z liczby sprzedanych subskrypcji bądź sprzedanych za pośrednictwem Internetu pojedynczych artykułów, a także, w niektórych czasopismach, ze sprzedanych płatnych ogłoszeń. Liczba sprzedanych subskrypcji zależy głównie od długoterminowej reputacji czasopisma, a pojedynczych artykułów – poza oczywiście reputacją całego czasopisma – przede wszystkim od ich znaczenia, aktualności i liczby naukowców pracujących w danym obszarze. Przychód z ogłoszeń zależy od oceny liczby czytelników danego czasopisma i ich profilu (czy mają wpływ na decyzje zakupowe). Nie trudno zauważyć, że redaktorzy tradycyjnych bądź hybrydowych czasopism są rozliczani przede wszystkim z dbania o długofalową jakość, a redaktorzy czasopism z otwartym dostępem – z liczby przyjętych artykułów.

Można wskazać tu jeszcze analogię z modelami biznesowymi firm giełdowych, w których zarządy są rozliczane przez akcjonariuszy przede wszystkim z krótkoterminowych wzro-

stów wartości akcji, podobnie jak redaktorzy czasopism z otwartym dostępem – z liczby przyjętych artykułów w stosunkowo krótkim okresie. Inaczej jest w firmach rodzinnych, w których dziedziczy się prawa właścicielskie: ważniejsze jest długoterminowe przetrwanie firmy i stabilne z niej przychody niż bieżące wyceny jej wartości. To znów przypomina tradycyjne czasopisma z ich długoterminową polityką budowania jakości.

W moich rozważaniach pomijam w ogóle kwestie licznych obecnie tzw. czasopism drapieżnych, prawie wyłącznie działających w formule otwartego dostępu, których głównym, a niekiedy jedynym celem jest przyniesienie zysku właścicielom.

Podsumowując tę część, można się obawiać, że w związku ze zwycięskim pochodem czasopism z otwartym dostępem nastąpi ogólne obniżenie jakości, a z rynku publikacyjnego znikną czasopisma najambitniejsze, o wysokich kosztach wydawniczych. Te, których redaktorami są najwybitniejsi naukowcy, gdzie procesy recenzyjne są staranne, a recenzje przygotowują światowej klasy specjaliści.

Zysk to nie wszystko

Warto w tym miejscu wspomnieć, że przejście do modelu otwartego dostępu zagroziło często renomowanym czasopismom, wydawanym przez różnego rodzaju organizacje i stowarzyszenia naukowe i zawodowe, jak na przykład, w moim obszarze zainteresowań, IEEE czy ACM. Dochody z tych czasopism przeznacza się na ich inne cele statutowe, na przykład na wspieranie początkujących naukowców przez finansowanie ich udziału w konferencjach czy pomoc członkom z biedniejszych krajów. Pojęcie o kwotach, które wchodzi w grę, daje na przykład „IEEE Communications Magazine”, którego roczny przychód, w czasach gdy byłem jego redaktorem naczelnym, sięgał dwóch milionów dolarów, i był głównym, pojedynczym źródłem finansowania działalności IEEE Communications Society. Oczywiście wspomniane organizacje próbują się dostosować do zmian na rynku wydawniczym, m.in. przez rozpoczęcie wydawania własnych czasopism działających w formule otwartego dostępu.

Wnioski

Trudno sobie obecnie wyobrazić odwrót od polityki otwartego dostępu. Niepokój Rady Naukowej ERC wywoływała nie sama jego istota, ile raczej tempo wdrażania tego paradygmatu w Europie. Należy je, naszym zdaniem, dostosować do tempa przyjmowania porozumień z głównymi wydawnictwami, z uwzględnieniem interesów szczególnie młodszych naukowców i tych pracujących w mniej zasobnych jednostkach naukowych. Przedmiotem naszej troski jest także to, że zbytnia, naszym zdaniem, ortodoksja Komisji Europejskiej w sprawie otwartego dostępu powoduje znaczącą komplikację – z punktu widzenia naukowców – procesu publikowania artykułów wieloautorskich, gdy ich autorzy pochodzą z różnych krajów i z tego powodu są one finansowane z różnych źródeł. Wyobraźmy sobie tylko, że jedne agencje zgadzają się na ponoszenie opłat w czasopismach hybrydowych, a inne nie. Może to po prostu skłaniać międzynarodowe konsorcja badawcze do unikania współpracy z naukowcami pracującymi w Europie.

Rada Naukowa ERC popiera również tworzenie nowych, ogólnodostępnych repozytoriów artykułów naukowych, które jednak nie zastąpią prawdopodobnie czasopism oferujących usługę gwarantowania jakości publikacji (niezależnie od tego, że procesy zapewniania jakości nie są doskonałe). Można także wspomnieć, że Rada ERC zajmuje się nie tylko problemem otwartego dostępu do publikacji, ale ogólnie tzw. otwartą nauką, w tym swobodnym dostępem do szczegółowych wyników badań.

Prof. dr hab. Andrzej Jajszczyk, członek Rady Naukowej ERC

Jacek Kuźnicki

Postdok pańszczyźniany?

To, że doktorant pozostaje latami w tym samym zespole pod dalszą opieką swego promotora, ma negatywny wpływ na jakość nauki w Polsce. Niekorzystne jest nawet to, że po doktoracie pozostaje on w tej samej placówce.

Trwa ożywiona dyskusja na temat regulacji wprowadzonych przez NCN dotyczących ograniczeń w zatrudnianiu na stanowisku typu postdok osób, które uzyskały doktorat w placówce, w której miałyby pracować. Intencją tych przepisów było wymuszenie mobilności oraz ograniczenie utrzymywania byłych doktorantów w zespole promotora. Brak mobilności wynika ze stosowania „chowu wsobnego”, który się sprawdza, gdy chcemy uzyskać dużą liczbę osobników o podobnych cechach lub umiejętnościach. Nie sprawdza się jednak, gdy zamierzamy kształtować kreatywnych i samodzielnych członków elity naukowej, co powinno być ważnym celem promotorów prac doktorskich i kierowników zespołów naukowych. To, że doktorant pozostaje latami w tym samym zespole pod dalszą opieką swego promotora, ma negatywny wpływ na jakość nauki w Polsce. Niekorzystne jest nawet to, że po doktoracie pozostaje on w tej samej placówce.

Krytycy regulacji NCN wskazują wiele argumentów, dla których powinna być ona wycofana, a które można podzielić na dwie grupy. Jedna grupa powodów to powoływanie się na dobro młodych pracowników naukowych, którzy „wiedzą, co robią i mogą wybrać inne rozwiązanie, niż pozostanie u swojego promotora” (wszystkie cytaty w artykule pochodzą z listu otwartego przygotowanego przez Komitet Biologii Molekularnej Komórki PAN lub z dyskusji na posiedzeniu tego komitetu 27 lipca br., w którym uczestniczyłem). Druga grupa argumentów wynika z potrzeb szefa zespołu, który dba o dobro swojej działalności naukowej i grantowej. To oczywiste, że liderzy dbają o swoje zespoły, ale to, co jest dobre dla nich samych, nie zawsze jest dobre dla rozwoju doktorantów, o czym ci ostatni często przekonują się zbyt późno. Z tymi argumentami polemizuję poniżej, broniąc idei regulacji obowiązującej w grantach NCN. Centrum ma wiele zadań ustawowych, nie tylko zapewnienie finansowania badań naukowych, ale i, za pośrednictwem regulacji grantowych, wprowadzanie zmian w polityce naukowej, które korzystnie wpłyną na rozwój nauki w Polsce. Wymóg zatrudniania postdoków jest jednym z wielu takich działań. Notabene to NCN wprowadziło w Polsce pozycję postdoka i jej finansowanie w projektach grantowych i to na bardzo dobrych warunkach finansowych. W rocznym budżecie NCN wynagrodzenia dla postdoków w grantach kierowanych przez doświadczonych badaczy stanowią około 13% środków.

Oponenci regulacji NCN uważają, iż „młodzi i zdolni badacze porzucają pracę naukową ze względu na brak perspektywy dłuższego zatrudnienia w jednostkach naukowych”, a jednocześnie proponują im czasowe zatrudnienie we własnych grantach.

W ciągu kolejnych lat doktorant od swojego dotychczasowego promotora już się niewiele nowego nauczy, co spowoduje, że po tych dodatkowych latach pracy w zespole będzie mniej konkurencyjny na rynku pracy. Jednocześnie nadal będzie zależny od promotora, pracując nad tą samą tematyką tymi samymi technikami. „Przedmiotowy zapis uniemożliwi zatrudnienie osób już wprowadzonych w daną tematykę i sprawnie operujących niezbędnym warsztatem badawczym”. No właśnie. Ten argument jest przeciwko wołaniem o akceptację wykorzystania byłego doktoranta jako wykwalifikowanego technika z doktoratem. Stanie się on technikiem pracującym nie na swój sukces i karierę, nadal niemającym stałego zatrudnienia, z coraz mniejszymi na to perspektywami. Czy nie jest lepsze dla kariery młodego człowieka, by w innym zespole zaczął się uczyć nowych rzeczy i znalazł dla siebie interesujące zagadnienia na przyszłość?

Krytycy uważają, że „wszystkie wcześniejsze ograniczenia zatrudniania byłych doktorantów czy pracowników danej instytucji na stanowisku postdok jedynie utrudniają wydajną pracę naukową”. Wprowadzona przez NCN regulacja walczy ze stanowiskiem byłych opiekunów doktorantów, którzy uważają, iż nawet po doktoracie są to „ich” ludzie, którzy mają pracować w „ich” grantach. Jest to przywiązywanie młodych ludzi do instytucji naukowej, w której zrobili doktorat, które przypomina pańszczyznę. Nie służy to rozwojowi młodych ludzi i rozwojowi nauki w Polsce. **Regulacje ograniczające zatrudnianie wychowanków istnieją w wielu czołowych instytucjach naukowych za granicą, dobrze służą rozwojowi nauki w tych krajach i nie widać, by utrudniały wydajną pracę naukową.**

Krytycy regulacji NCN uważają również, iż „brak zgody na możliwość kontynuacji ciekawie zapowiadających się badań przez byłych doktorantów czy pracowników wpłynie również niekorzystnie na ich rozwój zawodowy”. Jeśli istnieje możliwość przeprowadzenia „ciekawie zapowiadających się badań”, to dlaczego świeżo upieczony doktor nie może wystąpić o własny projekt w ramach konkursu Sonatina (musi być realizowany poza placówką, w której uzyskał doktorat) lub w ramach konkursu OPUS (bez takich ograniczeń)? To chyba będzie lepsze dla jego kariery niż być jedynie jednym z wykonawców w projekcie byłego promotora. Wśród laureatów dwóch ostatnich konkursów OPUS (17 i 18) 5% to osoby do trzech lat po doktoracie, a 15% stanowią młodzi pracownicy naukowci do siedmiu lat pod doktoracie. A zatem, mimo konkurowania z doświadczonymi naukowcami, młodzi doktorzy również mogą dostać i dostają granty OPUS.

Co ciekawe, kwota przyznawana rocznie w ramach grantów OPUS tylko dla osób do trzech lat po doktoracie jest podobna do tej, jaką ta grupa badaczy otrzymuje w danym roku w ramach grantów Sonatina. Czyli – najlepsi młodzi doktorzy mogą z powodzeniem startować w konkursach OPUS i rozszerzać tematycznie „grupę promotora” w macierzystej jednostce. Jednak takie rozwiązanie również nie podoba się oponentom, gdyż ich zdaniem „pisanie własnych wniosków grantowych przez byłych pracowników doprowadza do rozdrobnienia tematycznej grupy”. Jest to ocena regulacji jedynie z wąskiej perspektywy kierowników, która nie bierze pod uwagę negatywnych skutków takiej polityki dla młodych ludzi. Sukcesy wychowanków, a nie tylko własna kariera, powinny sprawiać satysfakcję każdemu promotorowi. Ponadto, jeśli jednak taki projekt jest kontynuacją, czyli mieści się w ramach zainteresowania kierownika laboratorium, to czy rzeczywiście jest to rozdrobnienie, czy raczej twórcze rozszerzenie tematyki, które otwiera nowe możliwości badawcze?

Automat zamiast autonomii

Autorzy listu otwartego piszą: „chcielibyśmy, żeby NCN, zamiast wymuszać pożądane zachowania wśród kadry naukowej zakazami, zagwarantowało większą autonomię kierownikom projektów w kształtowaniu polityki kadrowej”. Kierownicy grantów NCN mają kluczową rolę i pełną autonomię w sprawach zatrudnienia, ale nie może być ona rozszerzona o możliwość zatrudniania własnych wychowanków, ponieważ jest to wówczas automat, a nie autonomia. Każde zatrudnienie w grantach NCN musi być wynikiem otwartego i rzetelnego konkursu, w którym wszyscy aplikujący mają jednakowe szanse, również ci, którzy są spoza zespołu czy danej instytucji. Jak zatem krytycy regulacji NCN przeprowadzą taki konkurs w ramach żądanej dodatkowej autonomii, jeśli a priori chcą zatrudniać swoich wychowanków? Czy taki pseudokonkurs nie jest jednym z głównych powodów, dla których „na zamieszczone oferty pracy w projektach NCN zgłaszają się co najwyżej pojedyncze osoby”? Krytycy się domagają, aby pomóc „młodym pracownikom w podejmowaniu decyzji o dalszym rozwoju kariery naukowej”, czyli w istocie zezwolić im na pozostanie w dotychczasowym zespole. A przecież młodzi ludzie mają inne możliwości, np. „centra naukowe dużych koncernów farmaceutycznych [które] z powodzeniem drenują potencjalnych kandydatów z rynku pracy”.

Pozostanie w miejscu, w którym uzyskało się doktorat, może być dla młodego człowieka wyborem racjonalnym z uwagi na gwarancję przedłużenia zatrudnienia, w przeciwieństwie do starania się o stanowisko postdoka w innej placówce, w której również preferuje się zatrudnianie własnych wychowanków. Gdyby jednak w Polsce wszystkie pozycje postdoka były zajmowane zgodnie z zasadami grantów NCN, taki młody człowiek znalazłby inne miejsce pracy, nawet nie wyjeżdżając za granicę. Należy jednak podkreślić, że w najmocniejszych naukowo krajach to właśnie kilkuletni pobyt na zagranicznym stażu podoktorskim jest kluczowy dla dalszej kariery akademickiej. Osoba z wszechstronnym warształem badawczym i zagranicznym etapem kariery ma większy potencjał również dla firm, a zatem i większe szanse na zatrudnienie. Nie powinno się więc szukać wymówek, że teraz w Polsce jest inaczej niż w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. W tamtych latach ogromna większość obecnych kierowników zespołów badawczych, którzy teraz krytykują regulacje NCN, sama była beneficjentem długoterminowych staży podoktorskich za granicą.

Jeśli nie wyjaśnia się doktorantowi, co jest optymalne dla jego kariery, to może być on nieświadomy tego, co traci, pozostając w dotychczasowym ośrodku badawczym. Naszym obowiązkiem jest informować ich o tym i już na pierwszym roku szkoły doktorskiej wyjaśniać doktorantom, jakie są etapy kariery, co jest ważne dla ich rozwoju i że staż podoktorski powinien odbyć się w innej placówce, najlepiej nie w Polsce. To jest odpowiednie dbanie o młodych ludzi, w przeciwieństwie do utrzymywania ich w swoim zespole do realizacji własnych grantów. Jest to również myślenie obywatelskie o nauce w Polsce, gdyż to, jak wychowani i wyedukowani będą nasi następcy, wpłynie na jej jakość w przyszłości. Tylko tacy młodzi ludzie, którzy po doktoracie nauczyli się nowych metod, rozwinięli dodatkowe zainteresowania, określili tematy przyszłych samodzielnych badań, stworzą w Polsce nowe grupy badawcze mogące konkurować z najlepszymi w Europie, w tym zdobywać granty ERC.

Tymczasem krytycy uważają, że „wprowadzone w regulaminie zmiany oznaczają destabilizację grup badawczych” oraz że „wprowadzone tak restrykcyjne ograniczenia utrudnią skompletowanie wartościowych i kompetentnych zespołów badawczych, a tym samym przyczynią się do zmniejszenia konkurencyjności polskiej nauki”. Jednak, jeśli doktorant przedłuży zatrudnienie, to nie jest to kompletowanie zespołu, a jedynie jego utrzymywanie w tym samym składzie, czyli sta-



Fot. Stefan Ciechan

bilizacja, która – i tu można się zgodzić z krytykami – rzeczywiście „powoduje mniejszą konkurencyjność nauki w Polsce”. W jednej z wersji listu otwartego znalazło się też takie stwierdzenie: „Ponadto, obowiązujący zapis może prowokować nieetyczne zachowania prowadzące do zatrudnienia wybranych kandydatów mimo niespełnienia warunków”. Moim zdaniem należy zachowywać się etycznie niezależnie od regulacji, zaś nieetyczne i niezgodne z zasadami NCN jest założenie z góry, że w otwartym konkursie na stanowisko postdoka zatrudni się własnego doktoranta. Regulacja NCN powoduje, iż potencjalni kandydaci nie będą rezygnować z aplikowania z powodu obawy o „ustawianie” konkursu pod określoną osobę. Nie ograniczy się też aplikującym z zagranicy starania o takie stanowisko. Tym samym ugruntuje się przekaz o rzetelności konkursów na stanowisko postdoka w grantach NCN, zwiększy się liczba aplikujących na to stanowisko, co z kolei umożliwi zatrudnianie najlepszych i uniemożliwi „chów wsobny”.

Autorzy listu otwartego napisali, iż „doskonałość naukowa jest naszym priorytetem. Chcielibyśmy móc wykorzystać w pełni nasz potencjał do prowadzenia badań na najwyższym światowym poziomie, uzyskiwać wyniki, które opublikujemy w prestiżowych czasopismach. Aby to osiągnąć, nasze projekty muszą realizować zespoły wieloosobowe i multidyscyplinarne, złożone z doświadczonych, często wyspecjalizowanych w określonych technikach badawczych ekspertów”. Zatrudnianie własnych doktorantów nie służy tworzeniu multidyscyplinarnych zespołów, a wręcz przeciwnie, powoduje tworzenie metodycznie homogennych grup. Przyjście do zespołu na stanowisko postdoka z innej instytucji naukowej jest lepszym, stosowanym na całym świecie i sprawdzonym rozwiązaniem. Nowi ludzie w zespole z nowymi pomysłami, wiedzą i umiejętnościami to ogromny bodziec do rozwoju zespołu i badań przez niego prowadzonych. To jest właśnie przepis na doskonałość naukową, a nie przytrzymywanie tych samych pracowników w zespole tylko dlatego, że znają już określone techniki przydatne do badań kierowanych przez byłego promotora. Ekspertów w danej dziedzinie można znaleźć w otwartych konkursach i będą oni aplikować o taką pozycję, jeśli będą mieli świadomość, że konkurs jest rzetelny. Nowy pracownik po doktoracie uzyskanym w innej placówce może się szybko nauczyć nowych technik, a przy okazji wniesie nową metodologię poznaną w trakcie realizacji doktoratu u innego promotora. Tak funkcjonuje nauka w najmocniejszych naukowo krajach i nie powinno się szukać wymówek, że w Polsce jest inaczej ze względu na nieokreśloną polską specyfikę.

„Trzeba też podkreślić, że pełna realizacja projektu naukowego rzadko ogranicza się do trzy- czy czteroletniego okresu”. To prawda, ale to kierownik deklaruje, ile lat potrzebuje na realizację danego projektu i na ten cel otrzymuje fundusze. W sytuacjach szczególnych, co jest częstą praktyką w przypadku grantów NCN, istnieje możliwość przedłużenia projektu, ale bez dodatkowych środków finansowych. Nie może jednak być tak, że zatrudnia się byłego doktoranta z nowego grantu NCN, aby dokończyć wcześniejszy projekt, a w ten sposób można również rozumieć powyższe stwierdzenie krytyków regulacji NCN.

„Choć rozumiemy intencje NCN i wspieramy ideę mobilności, to w naszej ocenie proponowana zmiana nie przyniesie pożądanego efektów, a jej negatywne konsekwencje odczują wszyscy pracownicy naukowcy. Uważamy, że prawdziwą mobilność wnosi jedynie konkurencyjność zespołów prowadzących badania na najwyższym poziomie naukowym”. Wprowadzona regulacja nie uniemożliwia zatrudnienia byłego doktoranta na stanowisku postdoka w macierzystej placówce. Można tego dokonać, zatrudniając postdoka z funduszy statutowych, funduszy w dyspozycji rektorów uczelni czy grantów z innych źródeł byłego opiekuna pracy doktorskiej (o ile inna instytucja

grantodawcza na to pozwala). Granty NCN nie mogą być jedynym źródłem finansowania postdoków w Polsce.

„Dodatkowo, mobilność powinny wspierać rozwiązania systemowe, usuwające realne przeszkody dla swobodnego przemieszczania się między różnymi ośrodkami naukowymi, np. ułatwiony dostęp do lokalnej infrastruktury (do mieszkań, żłobków, przedszkoli czy szkół)”. To oczywiste, ale NCN nie zajmuje się infrastrukturą lokalną, natomiast mogą i robią to szefowie jednostek naukowych.

NCN stara się stwarzać optymalne warunki uprawiania nauki w Polsce, wspierając młodych naukowców w osiąganiu możliwie wczesnej samodzielności. Służą temu m.in. różne granty tylko dla osób na wczesnych etapach kariery. Rocznie NCN przeznaczają około 33% funduszy na granty kierowane przez młodych badaczy. Kontynuacja zatrudnienia w tej samej placówce, a często w tej samej grupie badawczej pod kierunkiem tego samego profesora-mentora, ogranicza rozwój talentów, gdyż postęp naukowy tych młodych ludzi wyhamowuje, podczas gdy w innych krajach uczą się oni nowych rzeczy w nowych zespołach.

A w Nenckim...

W latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia wprowadziliśmy podobną regulację w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Chodziło o to, aby doktoranci musieli przez kilka lat pracować w innych instytucjach przed ewentualnym ponownym zatrudnieniem w Instytucie Nenckiego. Doktoranci wyjeżdżali głównie za granicę, ale w przypadkach szczególnych realizowali staże podoktorskie w innych placówkach w Warszawie. Obecnie Instytut Nenckiego jest jedną z najlepszych placówek biologii molekularnej w Polsce, co pokazuje, że taka polityka mu nie zaszkodziła. Wręcz przeciwnie, niektórzy z tych staży wrócili i wygrali konkursy na stanowiska kierowników pracowni. Teraz mają własne zespoły naukowe, co wzmocniło i odmłodziło kadrę naukową w tym instytucie.

Regulacja ograniczająca zatrudnianie własnych doktorantów na stanowiskach postdoka jest jednym ze sposobów realizacji właściwej polityki naukowej. Takie zasady obowiązują w wielu wiodących instytucjach naukowych na świecie i wieloletnie doświadczenie w tym zakresie potwierdza pozytywny ich wpływ na rozwój nauki. Jak się jednak okazało w trakcie wyżej wspomnianej dyskusji z członkami Komitetu Biologii Molekularnej Komórki PAN, można w obecnych zasadach konkursowych NCN wskazać elementy, które warto poprawić i jestem zwolennikiem niektórych tych poprawek. Zwrócono np. uwagę, iż „Naukowiec ze stopniem doktora przyznany przez dużą uczelnię nie znajdzie zatrudnienia jako postdok w projekcie NCN na całej uczelni, w żadnym z jej instytutów, na żadnym wydziale. Osoby broniące swego doktoratu przed radą naukową danej jednostki są wykluczone z dalszej pracy, natomiast bez ograniczeń mogą być pracownikami ośrodka, gdzie wykonały swój doktorat. Co z kierownikami projektów, którzy mają więcej niż jedną afiliację? Jeśli wystąpią z wnioskiem o finansowanie z jednej jednostki, legalnie zatrudnią swojego doktoranta z drugiej jednostki”. Te kwestie wskazują, że regulacja NCN powinna być bardziej precyzyjna i można ją poprawić, ale nie oznacza to, aby z niej zrezygnować. Wycofanie się doprowadziłoby do utrwalenia złych zwyczajów konkursowych ze szkodą dla młodych naukowców oraz dla rozwoju nauki w Polsce.

Przedstawione poglądy wyrażają osobiste opinie autora i niekoniecznie reprezentują opinie instytucji, z którymi jest związany.

Prof. dr hab. Jacek Kuznicki, neurobiolog, Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie

Prof. Michał Zasada, rektor SGGW, opowiada o kształceniu praktycznym, specyficje uczelni rolniczych i ich coraz bardziej uniwersalnym – uniwersyteckim – charakterze.

SGGW po tischnerowsku

To, że mówimy o sobie jako uniwersytecie prowadzącym badania na najwyższym poziomie, poszukującym prawdy, nie zaprzecza temu, że mamy też dostarczać społeczeństwu specjalistów w branżach, związanych z przyrodą, rolnictwem, lasem, wodą, ale nie tylko.

W programie wyborczym nazwał pan swoją uczelnię uniwersytetem.

Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, niejako wbrew nazwie, rzeczywiście jest uniwersytetem. Jeżeli zdefiniujemy uniwersytet wąsko, jako uczelnię interdyscyplinarną, z szerokim zakresem badań i kształcenia, to w takim sensie SGGW jest niewątpliwie uniwersytetem. Prowadzimy badania w wielu obszarach, które wychodzą poza kształcenie rolnicze, leśne, a nawet przyrodnicze. Kształcimy studentów w całym szeregu kierunków, które przekraczają typowe obszary zainteresowania rolników, a są obecne w klasycznych uniwersytetach. Właściwie nie dotykamy tylko filologii, teologii i prawa. Od strony ideowej uniwersytet to miejsce poszukiwania prawdy i budowania wspólnoty uczących się i uczonych. W tym znaczeniu także jesteśmy uniwersytetem. Nie znajdziemy tu różnic między nami a Uniwersytetem Warszawskim czy Jagiellońskim.

A co ze specyficzną misją SGGW? Przecież macie jednak kształcić specjalistów dla rolnictwa i jego otoczenia, związanych z pracą na wsi i dla wsi. Czy to się zmieniło?

To się nie zmieniło, a może nawet w ostatnich latach wzmocniło. W ustawie jest mowa o związaniu kształcenia z dyscyplinami naukowymi. Podstawą stała się nauka, co nie zmienia faktu, że ona powinna czemuś służyć. A ma służyć także właśnie szeroko rozumianemu rolnictwu i jego otoczeniu, to ma być nie tylko, nieco może górno-rolotne, poszukiwanie prawdy, ale mówiąc pod tischnerowsku – „nauka ucynkowa”. Nasze badania i kształcenie służą praktyce, bezpośrednio ludziom. Nie da się skutecznie wspomagać gospodarki w oderwaniu od najnowszych wyników badań, od analizy współczesnych problemów. Nie da się tego dobrze zrobić bez najwyższej klasy fachowców, czyli z jednej strony naszych naukowców, a z drugiej – ludzi z naszego profesjonalnego otoczenia, czyli leśników, rolników, ogrodników, meliorantów. To, że mówimy o sobie jako uniwersytecie prowadzącym badania na najwyższym poziomie, poszukującym prawdy, nie zaprzecza temu, że mamy też dostarczać społeczeństwu użytecznych specjalistów w kilku branżach, które związane są z przyrodą, rolnictwem, lasem, wodą, ale nie tylko.

Dlatego pozostaliście przy tradycyjnej nazwie?

Nie zmieniliśmy jej, ale jednocześnie zmieniliśmy. Pozostaliśmy przy tradycyjnej polskiej nazwie, wychodząc z założenia, że nasza tradycja, historia, marka uczelni są dla nas ważne. Uniwersytet Warszawski też nosił kiedyś nazwę Szkoły Głównej, a zatem jest to piękna tradycja. Natomiast zmieniliśmy nazwę anglojęzyczną. Na świecie znają nas jako Warsaw University of Life Sciences. To wynika z faktu, że nasze badania dotyczą tego, co na świecie nazywa się naukami o życiu. W tej chwili nauki rolnicze na poziomie uniwersyteckim są często z nimi utożsamiane. Najważniejsze, aby nazwa, którą się posługujemy, odpowiadała temu, co robimy. Oczywiście pozostanie przy naszej starej nazwie wymaga pewnej specjalnej komunikacji, aby ona nie wprowadzała w błąd, szczególnie młodzieży. To kwestia zrozumienia czym jest wieś dzisiaj, czym jest gospodarstwo rolne, czym jest hodowla lasu. To już nie tylko wytwarzane domowym sposobem narzędzia i najprostsze techniki uprawy, ale także wysokie technologie rolnicze, bezpieczeństwo żywności, która dociera na masową skalę w najdalsze zakątki świata.

No właśnie, co dziś jest gospodarstwem wiejskim?

To dobre pytanie. Poszliśmy w kierunku wielkopowierzchniowych, wysokowydajnych pod względem produkcyjnym gospodarstw. Czy jednak takie rolnictwo, które bez wątpienia przyczynia się do tego, że na świecie właściwie nie ma głodu, że produkujemy dość żywności, spełnia wszystkie nasze oczekiwania? Na przykład środowiskowe? Dziś ten aspekt gospodarowania ziemią, lasem i wodą jest coraz ważniejszy.

Macie weterynarię, która teraz skierowana jest nie tylko do rolników.

Świat się zmienia, a my dotrzymujemy kroku tym przemianom. Kiedyś kształciliśmy głównie specjalistów dla dużych gospodarstw państwowych: agronomów, zootechników, którzy wówczas byli specjalistami od uprawy i hodowli w PGR-ach, weterynarzy, którzy mieli dbać o zwierzęta hodowlane. Dziś weterynarze mają więcej pracy z małymi zwierzętami towarzyszącymi niż ze zwierzętami hodowlanymi, użytkowymi, choć i takich cały czas kształcimy. Na zootechnice powstał kierunek studiów hodowla i ochrona zwierząt towarzyszących i dzikich,

bo młodzi ludzie chcą się tym zajmować. Technologia żywności od produkcji masowej, która kiedyś była priorytetem, zwróciła się ku aspektom prozdrowotnym, ważna jest produkcja żywności organicznej. Te dziedziny, które zmieniły się najmniej, nie są tak popularne.

Co z tradycyjną agronomią? Nie jest potrzebna?

Jest potrzebna, istnieje, ale nie jest tak popularna, jak dawniej. Gdy na wsi mieszkało 40% ludności, trzeba było więcej fachowców w tej branży. Zmieniło się też wiejskie otoczenie. Wiele firm żywnościowych czy drzewnych ma własne działy badawczo-rozwojowe. Rzadziej korzystają bezpośrednio z naszych kompetencji. Firmy technologiczne, które dostarczają rozwiązania dla rolnictwa, mają swoje działy rozwojowe. Duże międzynarodowe koncerny często nie są zainteresowane rzeczową współpracą, czasami jest to dla nich forma promocji – pokazują, że współpracują z nauką. W przemyśle drzewnym w Polsce jest kilkanaście dużych zakładów, które należą do zagranicznych koncernów i z zagranicy, gdzie mają centra i działy rozwojowe, skąd czerpią rozwiązania. Zdarza się coraz częściej, że lokalne gałęzie korporacji mają trochę swobody i próbują rozwiązywać swoje problemy w krajowych warunkach, także we współpracy z naszymi uczelniami czy instytucjami. Oczywiście staramy się z nimi współpracować. Duże firmy, które produkują żywność, zaczynają dostrzegać problemy związane ze zmianami klimatu, np. w związku z suszą rosną koszty produkcji. Rolnicy zaczynają coraz częściej myśleć o nawadnianiu. To, co w tej dziedzinie istnieje w Polsce, jest drogą i niewydajną. Zatem poszukują rozwiązań, inteligentnych, bardziej ekonomicznych. A my się tym już jakiś czas zajmujemy – smart agriculture, czyli rolnictwem precyzyjnym, które bierze pod uwagę aktualne warunki glebowe, stadium rozwojowe rośliny, porę dnia, temperaturę, a urządzenia tego rodzaju nie wymagają bezpośredniej ludzkiej obsługi. Wraz ze zmianą struktury gospodarstw rolnych czy ogrodniczych i ich obecnym uzbrojeniem technicznym zapotrzebowanie na tradycyjne kierunki studiów radykalnie spadło. Nowoczesne rolnictwo potrzebuje wysoko wykwalifikowanych fachowców, ale już nie w tej liczbie, co kiedyś. Jeśli niegdyś rolnictwo i leśnictwo były filarami SGGW, to dzisiaj nastąpiło znaczne zróżnicowanie kierunków kształcenia – podążamy za zapotrzebowaniem rynkowym. Najpopularniejsze w SGGW są dziś ekonomia i finanse czy dietetyka. Przedstawiłem już sytuację w weterynarii i zootechnice, podobnie zmieniamy się w innych dziedzinach. W rolnictwie idziemy w kierunku tworzenia nowych odmian zbóż, warzyw i owoców. Wprowadzamy na rynek produkty wcześniej nieobecne, np. aktinidię.

Ile w tym jest nauki, a ile prostej techniki rolnej czy ogrodniczej?

To jest coś pomiędzy. Sama technika to dziś za mało. Raczej mówimy o czymś bardziej złożonym – o technologii i doświadczalnictwie, bardzo ważnych w obszarach, którymi się zajmujemy.

Czy to oznacza, że rozwiązania dla rolnictwa wciąż powstają w terenie, a nie tylko w laboratoriach?

Tak, ale to się zmienia i wkrótce możemy być świadkami sytuacji, gdy decydująca będzie właśnie praca laboratorium. Jeżeli znamy genom gatunku, to możemy nim manipulować. W SGGW opracowaliśmy np. genom ogórka. Czy uda się nam wykorzystać tę wiedzę praktycznie, to dobre pytanie.

Mówiliśmy o rolnictwie i ogrodnictwie. A co z hodowlą zwierząt?

Ta dziedzina także się zmieniła. Zootechnika, utrzymując część dotyczącą hodowli zwierząt gospodarskich, rozwija też

inne gałęzie. Obejmuje swoim zakresem zagadnienia biologii i fizjologii zwierząt, odżywiania, rozmnażania, czy wreszcie coraz ważniejsze współcześnie kwestie bezpieczeństwa sanitarnego i zapewnienia dobrostanu zwierząt. Ludzie zajmujący się zootechniką to często biolodzy, zoolodzy, którzy prowadzą badania nad rybami, płazami, gadami, ptakami... Szeroko znany jest np. program reintrodukcji i ochrony żubra.

Jest jeszcze otoczenie społeczno-ekonomiczne wsi, zwłaszcza gdy mówimy o gospodarstwach towarowych, które potrzebują licznych usług.

Zawsze istniała u nas ekonomia, dziś funkcjonująca jako odrębny instytut, którego pracownicy zajmują się bardzo różnorodnymi badaniami: finansami, bankowością, łańcuchami dostaw, ubezpieczeniami, spółdzielczością, ale także różnymi zagadnieniami tradycyjnie związanymi z wsią. Istnieje też od dziesięcioleci socjologia i pedagogika. Przecież rektorem SGGW był przed wojną premier Władysław Grabski – socjolog, którego imię nosi nasza Biblioteka Główna. Zawsze byliśmy czymś więcej niż tylko zwykłą akademią rolniczą.

Co jest dla was ważniejsze: praktyczne rozwiązania dla gospodarki wiejskiej lub leśnej czy punkty za publikacje naukowe?

Nie ma tutaj sprzeczności ani konfliktu. Ponieważ świat się szybko zmienia, trzeba go wciąż poznawać i rozumieć. Nie ma lepszej metody niż jego eksploracja przez badania naukowe. To jest jeden filar, na którym opiera się nasza misja. Ale dla równowagi jest i drugi, czyli współpraca z praktykami, z fachowcami, których potrzebujemy do kształcenia praktycznego, które prowadzimy po to, żeby nasi absolwenci nie tylko znali świat, ale umieli się w nim rozsądnie poruszać.

Czy dla tych praktyków macie wypracowaną specjalną ścieżkę kariery?

Pracujemy nad tym. Musimy im taką ofertę kariery przedstawić, bo potrzebujemy do dydaktyki inżynierów, fachowców, którzy działają w gospodarce. Nasi studenci muszą poznać wszystko, co może się im zdarzyć w praktyce zawodowej. Na weterynarii podstawą kształcenia jest klinika. Studenci tego kierunku, niezależnie od swoich zainteresowań i planów życiowych, muszą umieć podejść i do małego kotka, i do konia, np. by odebrać poród od klaczy.

W latach 90. mówiło się, że gospodarstwa, zakłady doświadczalne służyły uczelniom rolniczym do łatania dziur w budżecie.

Nie do końca. Dopiero od kilku lat nie przynoszą strat.

Ale wcześniej można je było sprzedawać na działki. Przecież z tego powstał kampus ursynowski.

Rzeczywiście, za pieniądze ze sprzedaży gruntów można budować, ale nie można finansować nimi codziennego funkcjonowania. Jednocześnie ziemię można sprzedać tylko raz, a utrzymanie infrastruktury trzeba sfinansować z bieżących wpływów, więc nie jest to takie proste, wymaga głębokiego namysłu i odpowiedzialnego planowania. Mam szczęście, że moi poprzednicy byli odważni i roztropni, dzięki czemu dziś możemy się szczycić najpiękniejszym kampusem w Polsce i doskonale wyposażonymi laboratoriami.

A co z melioracją? To wy odpowiadacie za osuszenie kraju?

Niekoniecznie. Służyliśmy swoją wiedzą wtedy, gdy kraj był meliorowany, ale nie mieliśmy wpływu na realizację tego przedsięwzięcia i jego skalę. Wielokrotnie ostrzegaliśmy o możliwych negatywnych skutkach. Dziś pomagamy w odwracaniu negatywnych skutków nadmiernych melioracji. Na bazie tradycyj-



Zdjęcie: SGGW

Profesor dr hab. inż. **Michał J. Zasada** (ur. w 1969 r.) zna las, prowadzi bowiem badania w zakresie dendrometrii, modelowania wzrostu drzew i drzewostanów oraz współczesnych metod pomiaru lasu. Zajmuje się też implementacją systemów informatycznych w planowaniu gospodarki leśnej. W ostatnich dziesięciu latach brał udział w 8 projektach badawczych, w tym zleconych przez gospodarkę i międzynarodowych; w trzech pełnił funkcję kierownika.

Był postdokim i adjunct assistant professor na University of Georgia w USA. Pracuje w Zakładzie Dendrometrii i Produkcyjności Lasu przy Katedrze Urządzenia, Dendrometrii i Ekonomiki Leśnictwa w Instytucie Nauk Leśnych SGGW w Warszawie. W swojej macierzystej uczelni był prodziekanem Wydziału Leśnego ds. dydaktyki, potem ds. nauki. Był dziekanem tego wydziału oraz prorektorem SGGW ds. współpracy międzynarodowej. W kadencji 2020–2024 pełni funkcję rektora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Jest członkiem Komitetu Nauk Leśnych i Technologii DREWNA PAN, zasiada w zarządzie CASEE – The ICA Regional Network for Central and South Eastern Europe, był audytorem finansowym Europejskiego Instytutu Leśnego oraz członkiem Rady Naukowej Instytutu Badawczego Leśnictwa w Sękocinie Starym. Należy do Polskiego Towarzystwa Leśnego.

nych „meliorantów” powstało zarówno budownictwo wodne i klasyczne, jak i prężnie rozwijająca się inżynieria środowiska. Doświadczenie w pracy z wodą przydaje się w różnych sytuacjach. Gdy przy budowie metra pojawiły się problemy związane z zalewaniem drążonych tuneli, wykonawcy korzystali z pomocy specjalistów z SGGW i ich zagranicznych partnerów. Nasi naukowcy są ekspertami, którzy potrafią znajdować rozwiązania praktycznych problemów w krytycznych sytuacjach.

W Polsce jest kilka uniwersytetów przyrodniczych. Co was łączy?

Na pewno wspólna historia, skoncentrowanie na części praktycznej, kierunku, których raczej nigdy nie będzie na uniwersytetach klasycznych, jak rolnictwo, weterynaria czy leśnictwo. Podczas reformy wspólnie występowaliśmy o utrzymanie tych klasycznych dyscyplin naukowych. Jest ich mniej niż dawniej, m.in. rolnictwo i ogrodnictwo zostały połączone, ale nie rozplynęły się. We współczesnym świecie wygrywamy tylko wtedy, kiedy nie dzielimy się, ale łączymy ludzi i zagadnienia, próbujemy współpracować. Żeby rzetelnie prowadzić badania, trzeba mieć pewną masę krytyczną, a zatem służy nam koncentracja powiększająca środowisko danej dziedziny czy dyscypliny. Wszelkie współprace, działania na pograniczach są inspirowane, twórcze i korzystne dla wiedzy, dla rozumienia świata. Jeśli jest nas w dyscyplinie tak mało, że jestem w sta-

nie wymienić wszystkich, którzy mogą mnie recenzować, to jest to zła sytuacja. Zatem należy konsolidację dyscyplin traktować w kategoriach szans, a nie zagrożeń. To pozwala wychodzić poza swoją skorupę.

Pamiętam zdziwienie wynikami ankiet zbieranych wśród studentów uczelni rolniczych, gdy okazało się, że większość chce pracować w mieście, w biurze. Czy wiecie, dokąd trafiają wasi absolwenci? Czy staracie się utrzymywać z nimi kontakty?

Prowadzimy badania losów absolwentów, ale to dopiero początki. Jestem skażony leśnictwem, więc posłużę się przykładem z tego zakresu. W mojej specjalności jest to działanie w obie strony. My jesteśmy ciekawi, co się dzieje z naszymi absolwentami, a oni, gdy już zdobędą doświadczenie i pozycję zawodową, kiedy pojawią się trudne problemy w ich codziennej pracy, w sposób naturalny zwracają się do swoich dawnych nauczycieli z prośbą o pomoc w znalezieniu rozwiązania. Z drugiej strony poszukujemy miejsc na praktyki dla studentów czy obiektów do badań. Wtedy nam pomagają nasi wychowankowie, którzy też kiedyś bywali na praktykach, a dziś zajmują kierownicze stanowiska w działach gospodarki, które zasilamy kadrami. Potrzebujemy ludzi, którzy nam odpowiedzą, jak mamy kształcić, jakie nowe formy i treści powinny się znaleźć w programach – i tu przychodzą nam z pomocą nasi absolwenci.

Korzystamy z wiedzy praktyków, często właśnie absolwentów, jako doradców w różnych radach przy uczelni, czy wprost w kształceniu jako wykładowców. Zatem relacje z absolwentami są wielorakie i zwrotne.

Czy uczelniane gospodarstwa doświadczalne są dziś wzorcowe pod względem jakości i wydajności produkcji? Po co wam te gospodarstwa?

Zakłady doświadczalne, bo tak się one u nas nazywają, są niezbędne uczelniom rolniczym tak do badań, jak i kształcenia. To są nasze laboratoria, nasze poletka doświadczalne, choć nie jedyne, nasze „terenowe sale wykładowe”, miejsca odbywania praktyk przez studentów. Badania kosztują. Żeby zakładać doświadczalne, trzeba mieć miejsce, środki, ludzi, czas. To nam dają nasze gospodarstwa, które jednak bez normalnej produkcji rolnej – uprawy, hodowli – nie byłyby się w stanie utrzymać. A prowadzenie gospodarstwa przez podmiot państwowy jest trudne: musimy ściśle przestrzegać wszystkich przepisów, np. ośmiogodzinnego dnia pracy, regulacji płacowych, urlopowych. Jesteśmy na rynku rolnym mniej konkurencyjni, ale mimo to udaje nam się „wyjść na swoje”, a w wielu wypadkach mamy zyski. Np. niedaleko Warszawy hodujemy kilkaset krów i dostarczamy do zakładów przetwórczych 10 ton mleka dziennie, zdobywając jednocześnie nagrody za najlepszą wydajność. Kwoty zysków zakładów doświadczalnych nie porażają, ale pozwalają na prowadzenie działań badawczych czy realizację praktyk studenckich.

Te zakłady działają w terenach silnie zurbanizowanych, ziemia jest tu droga. Czy nie można i nie warto tego sprzedać?

Po pierwsze, te pola i cała związana z nimi infrastruktura, także stawy hodowlane, które mamy w pobliżu, są nam potrzebne do badań i dydaktyki. Po drugie sprzedaż wymaga zgód Prokuratury Generalnej i z powodów nie tylko formalnych nie jest łatwa. Po trzecie, pieniądze ze sprzedaży mogą być przeznaczone na cele inwestycyjne, a zatem nie możemy ich wykorzystywać w sposób całkowicie dowolny. Sprzedaż majątku odbija się też na bilansie uczelni.

Ale można konsolidować te rozproszone działki i wyprowadzać gospodarstwa poza miasto.

Tak się dzieje, ale jest to trudne i czasochłonne. Lokalne uwarunkowania często uniemożliwiają zbycie nieruchomości, także tych, które trudno sensownie użytkować. Często podejmowane decyzje są trudne także ze społecznego punktu widzenia.

Ile zakładów doświadczalnych potrzebuje SGGW?

Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Na pewno nie można patrzeć na zakłady doświadczalne przez pryzmat hektarów i produkcji, ale potrzeb nauki i dydaktyki. Musimy zatem mieć gospodarstwa, w których możemy prowadzić badania nad uprawami różnych roślin i hodowlą różnych zwierząt. Musimy mieć wszystkie podstawowe działy produkcji rolnej, aby móc pokazać je studentom. Oczywiście to, co nam potrzebne do tych celów, musi mieć sensowny areal, który pozwoli na przynajmniej częściowe sfinansowanie prowadzonej w naszych zakładach działalności.

W naszych zakładach doświadczalnych poza polami uprawnymi mamy m.in. stawy, gdzie oprócz hodowli karpia prowadzimy badania nad ochroną ryb. Mamy stada zachowawcze tradycyjnych ras owiec: wrzosówki i żelaznieńskiej. Hodujemy je w zakładach, które prowadzą produkcję warzyw, a to pozwala na przeznaczenie części produkcji na karmienie zwierząt. Mówiąc krótko: w naszych gospodarstwach nie chodzi

głównie o produkcję, ale o stworzenie możliwości prowadzenia badań i kształcenia.

Gdy idę aleją przez piękny, stary park w kierunku pałacu, obecnego rektoratu, mam wrażenie swego rodzaju luksusu, zanurzenia w tradycji.

Nasz stary, historyczny kampus jest rzeczywiście piękny, choć de facto zabytkowy jest tylko park i pałac. Pozostałe budynki są nowsze. Gdy większość zajęć prowadzona była na ulicy Rakowieckiej, w pałacu rektorskim znajdowały się mieszkania i sale wykładowe. Ale przeznaczenie tego miejsca na siedzibę władz uczelni to był dobry pomysł. To miejsce jest dla nas ważne. Majątek został подарowany na cele edukacyjne w latach dwudziestych dwudziestego wieku przez Edwarda hrabiego Raczyńskiego, którego pomnik stoi przed rektoratem. Od ponad 60 lat jest to integralna część uczelni. Traktujemy to jako element naszej tożsamości. SGGW kojarzy się z Ursynowem.

Jakie zadania widzi przed uczelnią leśnik, że zdecydował się kandydować na rektora?

Jestem związany z uczelnią od lat, jestem „patriotą SGGW”. Ponieważ los postawił mnie w takim miejscu, spróbuję spełnić swoje marzenie o uczelni. Jesteśmy najlepszym w Polsce uniwersytetem przyrodniczym i rolniczym. Chciałbym, żeby to nie budziło niczyjej wątpliwości. Uczelnia jest budowana przez ludzi, którzy zasługują na dobre warunki materialne i komfort współdziałania w przyjaznej i inspirującej atmosferze. Chcę przekonać ludzi SGGW, że pracując w uczelni, pracują dla siebie. Aby wydajnie pracować, muszą utożsamiać się ze swoją uczelnią. Praca musi dawać satysfakcję w dwóch wymiarach: psychologicznym i finansowym. To pierwsze wynika z osobistego sukcesu i zakotwiczenia w grupie, czyli w środowisku uczelni. Ale musi temu towarzyszyć sukces materialny. Dlatego rozbudowujemy systemy motywacyjne, dające wsparcie szczególnie tym, którzy uczelni dają najwięcej. Chodzi o to, aby człowiek, który ma pomysł, uzyskał przy jego realizacji wszelką pomoc w zakresie procedur, formalności czy administracji. Mamy również własny fundusz stypendialny, który pozwala naukowcom, pracownikom i doktorantom wyjeżdżać do najlepszych ośrodków światowych. Zdajemy sobie także sprawę, że przygotowanie i złożenie wniosku na grant badawczy to dla naukowca wysiłek i inwestycja w postaci czasu, a szansa sukcesu jest statystycznie na poziomie kilkunastu procent. Oferujemy zatem system wsparcia, w którym osoby czy zespoły, które przygotowały ciekawy program badawczy, napisały projekt, a mimo dobrej oceny wniosku nie dostały grantu, mogą liczyć na to, że środki na poprawę i ulepszenie wniosku oraz rozpoczęcie badań dostaną z uczelni. To zwiększa szansę na zdobycie grantu w kolejnym podejściu.

Jak dużą część budżetu SGGW stanowią zewnętrzne środki na badania?

Budżet uczelni to ok. 400-500 milionów złotych, z czego z subwencji MNiSW pochodzi połowa. Reszta to inne przychody, w tym środki na badania, zlecenia z gospodarki czy przychody z gospodarowania majątkiem, które są dla nas szczególnie cenne, bo mogą być przeznaczone na dowolne cele, w tym na nasze własne systemy wsparcia. Cieszę się, że dzięki wysiłkom poprzedników sytuacja finansowa SGGW systematycznie się poprawia.

Zna pan książkę *Optymny świat jeszcze raz*?

Oczywiście. Znakomita lektura, która pokazuje, jak interdyscyplinarność studiów leśnych może pomóc odnaleźć się w wielu nietypowych sytuacjach na całym świecie.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Ocena osiągnięć naukowych

Dla niektórych kandydatów do uzyskania stopnia doktora habilitowanego „zbawczym” rozwiązaniem okazały się zapisy mówiące o tym, że uprawnienia do jego nadawania ma już nie Centralna Komisja, lecz rady jednostki organizacyjnej spełniających określone wymagania kadrowe i naukowe. Czy przyczyniło się to w istotnym stopniu do podniesienia poziomu habilitacji lub przynajmniej ograniczenia uznaniowości? Wątpię.

Między sposobami oceniania osiągnięć naukowych oraz poziomem prowadzonych badań występuje współzależność. W tych dziedzinach i dyscyplinach, w których to pierwsze wykazuje istotne niedoskonałości, brakuje doskonałości również tym drugim. Zdaje sobie z tego sprawę środowisko naukowe. Świadczą o tym m.in. uwagi krytyczne pod adresem obowiązujących w naszym kraju regulacji prawnych dotyczących oceniania tych osiągnięć oraz stosowanych w nim praktyk. Od czasu do czasu podejmuje się jakieś kroki zaradcze. Sporo jednak jeszcze w tym zakresie pozostaje do zrobienia.

Grzechy główne

Lista grzechów głównych występujących w ocenianiu osiągnięć naukowych jest być może nawet dłuższa niż grzechów katechetycznych. Tych ostatnich jest siedem, a pierwszych można wskazać znacznie więcej. Do tego dochodzą różnego rodzaju „grzeszki”. Niektóre są przynajmniej pod pewnymi względami zbieżne z tymi z wykazu katechetycznego – tytułem przykładu można przywołać pychę, zazdrość czy lenistwo. Nie chciałbym jednak popadać w moralizatorstwo. Powiem kilka słów jedynie o trzech grzechach głównych. Zaliczam do nich uznaniowość, jednowymiarowość i terminowość.

Na pierwszym miejscu stawiam uznaniowość nie tylko dlatego, że jest ona stosunkowo najbardziej rozpowszechniona w ocenianiu osiągnięć naukowych, ale także dlatego, że niejednokrotnie przybiera najbardziej zróżnicowane formy wyrazu. W przejawach patologicznych określana jest ona jako ocenianie „po uważaniu”, które charakteryzuje arbitralność i subiektywność ocen. Mogą one wprawdzie dobrze wyrażać stan ducha ocenających, a nawet stan ich niewiedzy, jednak mają raczej niewiele wspólnego z faktyczną wartością ocenianych osiągnięć. Oceniający „po uważaniu” występują w różnych dziedzinach i dyscyplinach nauki. Rzecz jasna w jednych częściach, a w innych rzadziej. Szczególnie dogodne warunki do funkcjonowania znajdują oni tam, gdzie kryteria ocen są słabo określone, a te, które zostały jako tako sprecyzowane, są interpretowane na tyle swobodnie, że pozostawia to spore pole do

wyrażania osobistych upodobań, preferencji i zwyczajnych niechęci. Jestem przekonany, że środowisko akademickie dobrze się orientuje, o które dziedziny i dyscypliny chodzi.

Drugim grzechem głównym jest jednowymiarowość ocen. Mówili i pisali o niej filozofowie, którzy dostrzegali w niej zagrożenia dla życia społecznego; a przecież życie akademickie jest jego istotną częścią. Jednym z nich był Herbert Marcuse, autor dzieła *Człowiek jednowymiarowy*. W jego podtytuł mówi się o „badaniach nad ideologią rozwiniętego społeczeństwa przemysłowego”. Natomiast w poszczególnych częściach wskazuje się m.in. na takie następstwa społecznej jednowymiarowości jak wzrastająca alienacja i represyjność wobec jednostki oraz pojawienie się „jednowymiarowego języka rytualno-autorytatywnego, będącego przedłużeniem jednowymiarowego myślenia i zachowania człowieka”, a także na kreowanie człowieka-Narcyza, który „absolutyzuje subiektywność”. Rzecz jasna nie z każdą generalizacją można i trzeba się zgodzić. Jednak przynajmniej niektóre dobrze oddają zarówno podteksty, jak i konteksty takich sposobów oceniania w nauce, w których stosowana jest tylko jedna miara. Niejednokrotnie jest to miara tego, co ocenający sami osiągnęli w nauce, oraz tego, w jaki sposób doszli do swoich osiągnięć. Jeśli są to osiągnięcia na miarę światową, a dojście do nich wymagało nie tylko autentycznego talentu, lecz także wielu lat wyłożonej pracy, to stosowanie jej w stosunku do tych, którym brakuje zarówno tego pierwszego, jak i tej drugiej, może być pewnym wstrząsem. Samej nauce może ona jednak (ale nie musi) dobrze się przysłużyć. Takich utalentowanych i pracowitych uczonych w żadnym kraju nie ma bardzo wielu. Więcej jest takich, którzy wprawdzie stosują w ocenianiu osiągnięć naukowych w ich przekonaniu „światowe” miary (takie np. jak indeks Hirscha), ale zarówno „światowość” tych miar, jak i sposoby ich stosowania budzą poważne wątpliwości przynajmniej części środowiska akademickiego. Spotykałem się w swoim życiu akademickim wystarczająco często z taką „jednowymiarowością” w ich stosowaniu, aby przyłączyć się do tej grupy przeciwników.



Foto: Sławomir Makal

Trzecim grzechem głównym w ocenianiu osiągnięć naukowych jest terminowość. Może ona wyglądać na mało szkodliwy „grzeszek”. Z całą pewnością nie była i nie jest jednak tak odbierana przez osoby, które miesiącami, a czasami nawet jeszcze dłużej oczekują na zakończenie procedury awansowej (znam przypadki, że trwała ona kilku lat), a na każdym jej eta-

pie mogli się pojawiać oceniający, którzy z sobie tylko znanych względów nie byli skłonni do pozytywnej oceny. Istnieje możliwość odwołania się od negatywnej oceny, jednak w każdym przypadku wydłuża to procedurę. Podobnie zresztą jest wówczas, gdy opiniodawca odmawia podjęcia się oceny wniosku o nadanie stopnia lub tytułu naukowego lub następuje zmiana

regulacji prawnych związanych z procedurami awansowymi. Tego ostatniego doświadczyła m.in. liczna grupa kandydatów do stopnia doktora habilitowanego i tytułu profesora, która wystąpiła z wnioskami kilka tygodni przed zamknięciem możliwości procedowania po „staremu”, tj. przed 30 kwietnia 2019 roku. Niektórzy z nich do dzisiaj oczekują na zakończenie procedury awansowej. Do wydłużenia tego okresu przyczyniła się zresztą nie tylko swoista panika przed nowymi regulacjami i tłok w biurze Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, lecz także w niektórych przypadkach dosyć swobodne traktowanie przez opiniodawców ustawowych terminów na sporządzenie recenzji (przypomnę, że jest to sześć tygodni). Można by zapytać, czy są im znane te terminy, a jeśli tak, to czy uważają, że one ich nie obowiązują? Żadnej z osób oczekujących na rozstrzygnięcie zawodowego losu nie radziłbym jednak stawiania opieszalym opiniodawcom takich pytań. Mogłoby to bowiem skutkować albo negatywną opinią, albo rezygnacją z jej sporządzenia i trudno powiedzieć, co byłoby gorsze. Tak czy inaczej nieznajomość regulacji prawnych nie powinna ani niczego usprawiedliwiać, ani też stanowić okoliczności łagodzącej dla tych opiniodawców.

Regulacje prawne

Problem jednak również w tym, że nawet niezła znajomość tych regulacji oraz gotowość do trzymania się ich zaleceń nie rozwiązuje wszystkich problemów związanych z ocenianiem osiągnięć naukowych. Nie będę się wypowiadał na temat regulacji prawnych, które obowiązywały w czasach „słusznie minionych” (umowną grubą kreskę wyznacza tutaj rok 1989), ani nawet tych, które pojawiły się na fali odnowy życia społecznego w naszym kraju, w tym w środowisku akademickim, w końcu minionego stulecia. Chciałbym natomiast przywołać dwie regulacje z ostatnich kilkunastu lat. Pierwszą jest ustawa z 14 marca 2003 roku o stopniach naukowych i tytule naukowym. Wprawdzie później niejeden jej zapis został zmieniony lub doprecyzowany, jednak stosunkowo niewielkiej modyfikacji uległy zapisy mówiące o tym, że rozprawa doktorska „powinna stanowić oryginalne rozwiązanie problemu naukowego lub artystycznego”, rozprawa habilitacyjna „powinna stanowić znaczny wkład autora w rozwój określonej dyscypliny naukowej lub artystycznej”, natomiast tytuł profesora „może być nadany osobie, która uzyskała stopień doktora habilitowanego i ma osiągnięcia naukowe lub artystyczne znacznie przekraczające wymagania stawiane w przewodzie habilitacyjnym”. Takie określenia wymogów wprost zachęcały do popełniania pierwszego z wymienionych przez mnie grzechów głównych, tj. do uznaniowości, tym bardziej że nie szły za nimi wyjaśnienia, co należy rozumieć pod pojęciami: „oryginalne rozwiązanie problemu naukowego”, „znaczący wkład autora w rozwój dyscypliny” oraz ich „znaczne przekraczanie” przez kandydatów do tytułu profesora. Stosowanie tej regulacji w praktyce awansowej w następnych kilku latach wyraźnie pokazało, że było one rozumiane bardzo różnie przez opiniodawców.

Dla niektórych kandydatów do uzyskania stopnia doktora habilitowanego „zbawczym” rozwiązaniem okazały się zapisy tej regulacji, mówiące o tym, że uprawnienia do jego nadawania ma już nie Centralna Komisja (postrzegana czasami jako swoisty „sąd kapturowy”), lecz rady jednostki organizacyjnej spełniających określone wymagania kadrowe i naukowe. Czy przyczyniło się to w istotnym stopniu do podniesienia poziomu habilitacji lub przynajmniej ograniczenia uznaniowości? Wątpię. Nie tylko dlatego, że jednostki z owymi uprawnieniami nagle zaczęły się mnożyć niczym przysłowiowe „grzyby po deszczu” (tak jakby w naszym kraju nagle przybyło znaczących

uczonych), lecz także dlatego, że w niejednym przypadku składały się one zarówno ze specjalistów, którzy mogli (jeśli tylko chcieli) obiektywnie oceniać i doceniać dorobek naukowy habilitanta, jak i takich, którzy byli wprawdzie specjalistami, ale od zupełnie czegoś innego, co im jednak nie odbierało prawa ani do przepytywania habilitanta na kolokwium habilitacyjnym, ani też do głosowania nad wnioskiem o nadanie mu stopnia. Jako dwukadencyjny dziekan dużego wydziału (w jego skład wchodziły tak różne dyscypliny jak filozofia, kulturoznawstwo, psychologia i socjologia) mógłbym sporo powiedzieć na temat przebiegu tych kolokwium, którym z urzędu przewodziłem. Tylko komu to jest dzisiaj potrzebne?

Drugą regulacją prawną, którą chciałbym przywołać, jest *Prawo o szkolnictwie wyższym* z 20 lipca 2018 roku. Szczegółową analizę znajdujących się w nim zapisów dotyczących nadawania stopnia doktora, doktora habilitowanego oraz tytułu profesora przeprowadził i przedstawił (w nr 2/2020 kwartalnika PAN „Nauka”) Krzysztof Słezak. Zdaniem tego autora, oznaczają one nie tylko „uchylenie dotychczasowych przepisów” w tej kwestii, lecz także wprowadzenie „istotnych zmian merytorycznych związanych z przesłankami nadawania stopnia doktora, doktora habilitowanego oraz tytułu profesora”.

W uzasadnieniu opinii wskazuje on m.in. na wprowadzenie takich zmian w nadawaniu stopnia doktora jak możliwość nadania go osobie, która nie uzyskała dyplomu magistra, ale wykazuje się „najwyższą jakością osiągnięć naukowych” oraz posiada wiedzę, umiejętności oraz kompetencje umożliwiające m.in.: „rewizję istniejących paradygmatów”, „wykorzystywanie wiedzy z różnych dziedzin nauki lub sztuki”, „inicjowanie debat”, „planowanie i realizowanie indywidualnych i zespołowych przedsięwzięć badawczych” itd. Nie wyliczam tych „dalej”, bowiem już w tym momencie można powiedzieć, że stanowią one wyraz oczekiwania na geniusza. Dodam tylko, że w świetle tych zapisów nadal się wymaga, aby rozprawa doktorska stanowiła „oryginalne rozwiązanie problemu naukowego albo oryginalne rozwiązanie artystyczne”.

Z kolei od osób ubiegających się o stopień doktora habilitowanego oczekuje się m.in., że ich dorobek naukowy będzie „świadczą o znacznym wkładzie w rozwój określonej dziedziny”. Autor przyznaje, że ten wymóg „jest niewątpliwie przesłanką nieostrą, której ustalenie pozostawia się recenzentom”.

Natomiast analiza zapisów dotyczących wymagań stawianych osobom ubiegającym się o tytuł profesora skłania go do stwierdzenia, że „stały się one bardziej uznaniowe”. Podzielał opinię co do ich uznaniowego charakteru. Mam jednak wątpliwości, czy są one bardziej, czy też mniej uznaniowe niż wynikające z zapisów ustawy z 2003 roku. Nie chciałbym jednak stawiać znaku równości między otwarciem furtki dla uznaniowości, które miało miejsce w uchylonej ustawie, oraz tym, które pojawia się w regulacjach z 2018 roku. Te ostatnie bowiem wprowadzają jednak pewne ograniczenia uznaniowości (takie chociażby jak publikowanie w znaczących wydawnictwach czy wymóg udziału w międzynarodowym życiu naukowym). Czas pokaże, czy są one w stanie przyczynić się w istotnym stopniu do wyeliminowania tego i innych grzechów głównych w ocenie osiągnięć naukowych.

Jeśli miałbym w podsumowaniu określić swoją wiarę w lepsze jutro, to powiedziałbym, że raczej nie łączę jej z mocą sprawczą nowych regulacji prawnych. Większe nadzieje wiąże z siłą sprawczą przykładu uczonych, którzy w ocenianiu osiągnięć naukowych kierują się zasadą przyzwoitości (nie brakuje ich również w naszym kraju). Nie mam jednak wątpliwości, że nie da się jej ani zadekretować, ani też na tyle skutecznie upowszechnić, aby wskazane w tych rozważaniach ułomności oceniania w krótkim czasie przeszły do historii.

Paweł Modrzyński, Małgorzata Zajdel, Małgorzata Michalcewicz-Kaniowska

Uwarunkowania i potencjał zdalnego nauczania

Autorzy niniejszego artykułu mają nadzieję, że przedstawiona analiza będzie inspiracją do dalszego badania uwarunkowań i potencjału zdalnego nauczania w kształceniu studentów.

Globalna pandemia choroby COVID-19 wywołanej koronawirusem SARS-CoV-2 jak żadne inne zdarzenie w ostatnich dekadach odcisnęła istotne piętno na poszczególnych sektorach gospodarki, wpływając negatywnie na kondycję całych regionów, państw i międzynarodowy biznes. Wprowadzenie restrykcji i ograniczeń w codziennym życiu wpłynęło nie tylko na wykonywanie obowiązków zawodowych, ale przede wszystkim na relacje społeczne. Po raz pierwszy w historii, niezależnie od sektorów gospodarki i jej podmiotowości (sektor prywatny i publiczny), praca zdalna stała się powszechnym faktem, dzięki któremu wiele przedsiębiorstw, urzędów i jednostek organizacyjnych mogło realizować w pełnym lub ograniczonym zakresie swoje zadania i cele. Również w obszarze kształcenia studentów po raz pierwszy powszechnie i na masową skalę proces dydaktyczny był realizowany w formie zdalnej przy wykorzystaniu wielu zróżnicowanych narzędzi i platform komunikacji i kształcenia.

Dotychczasowe opracowania niewiele uwagi poświęcały weryfikacji efektów uczenia się studentów. Pogłębienie tego tematu będzie niewątpliwie wymagało dodatkowego czasu i przeprowadzenia wielu szczegółowych badań w tym zakresie. Autorzy niniejszego artykułu mają nadzieję, że przedstawiona analiza będzie inspiracją do dalszego badania uwarunkowań i potencjału zdalnego nauczania w kształceniu studentów. Wstępne badania potencjału zdalnego nauczania pokazują, że wśród pozytywnych aspektów trudnej sytuacji społeczno-gospodarczej spowodowanej pandemią niewątpliwie można odnaleźć możliwość zweryfikowania rozwiązań organizacyjnych, które w normalnej sytuacji nigdy na taką skalę i w takim zakresie nie byłyby możliwe do wdrożenia. A takim właśnie przykładem jest prowadzenie w skali globalnej zdalnego kształcenia studentów na tysiącach uczelni w wielu krajach na świecie.

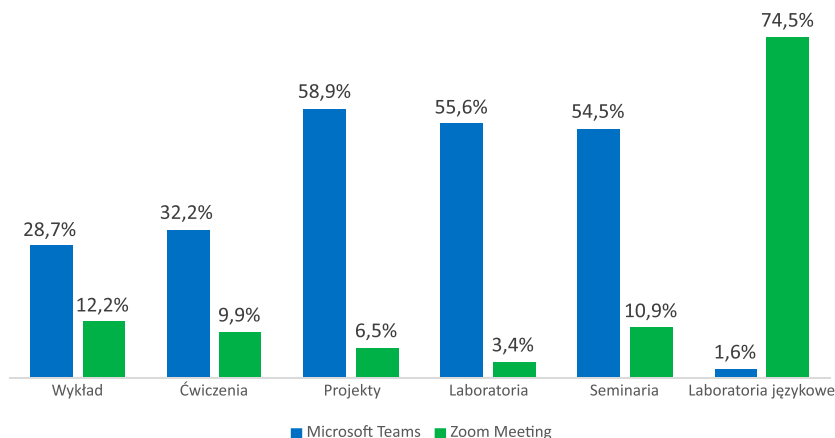
W niniejszym artykule przedstawione zostały wyniki badań uwarunkowań i potencjału zdalnego kształcenia studentów i pracowników Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. J.J. Śniadeckich w Bydgoszczy (UTP) przeprowadzonych elektronicznie za pomocą ankiet z wykorzystaniem narzędzi Google w okresie 6-15 maja 2020 r. Badanie zostało zrealizowane przez zespół badawczy Wydziału Zarządzania UTP

w składzie: dr Paweł Modrzyński – kierownik zespołu oraz: dr inż. Małgorzata Michalcewicz-Kaniowska – prodziekan ds. kształcenia i spraw studenckich, dr inż. Małgorzata Zajdel – pełnomocnik rektora ds. doskonalenia jakości kształcenia. Wykonane badania wpisują się bezpośrednio m.in. w aktualny obszar inicjatyw podejmowanych przez ustawowe podmioty i organizacje obszaru szkolnictwa wyższego. Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Parlament Studentów RP i Niezależne Zrzeszenie Studentów wskazują na konieczność podjęcia kompleksowych działań z myślą o systemowych przygotowaniach do przynajmniej częściowego prowadzenia zajęć dydaktycznych z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość również w nadchodzącym roku akademickim.

W badaniu wzięło udział ogółem 1.088 studentów, w tym 562 kobiety (51,7%) i 526 mężczyzn (48,3%). Badana grupa stanowiła ogółem 19,3% ogólnej liczby studentów UTP.

Dostęp do Internetu

Niewątpliwie ocena warunków lokalowo-technicznych determinowała ocenę (zwłaszcza studentów) dotyczącą potencjału metod i technik kształcenia na odległość. W badaniu ocena warunków technicznych zajęć zdalnych obejmowała takie elementy jak: warunki lokalowe, urządzenia techniczne, szybkość oraz stabilność łącza internetowego, a także umiejętność obsługi posiadanego sprzętu i jego oprogramowania. Studenci bardzo podobnie i dość wysoko ocenili warunki lokalowe, posiadany sprzęt techniczny oraz swoje umiejętności jego obsługi (średnia ocena od 4,16 do 4,29). W badaniu przyjęto skalę ocen od 1 do 5, gdzie 1 oznacza niedostateczny, a 5 – bardzo dobry). Nieznacznie niżej oceniony został dostęp do Internetu, zarówno jego szybkość, jak i stabilność połączenia (średnia ocena od 3,36 do 3,50). Na podstawie wyników badań można zauważyć brak istotnych różnic w ocenie warunków techniczno-lokalowych w podziale na: płeć, wiek, rok studiów czy wydział, na którym studiuje student. Interesujące różnice uwidaczniają się przy ocenie warunków lokalowo-technicznych, w których realizowane były zajęcia zdalne, w przypadku gdy kryterium oceny jest miejsce zamieszkania studenta. Największe dysproporcje w ocenie występują pomiędzy studentami



Wykres 1. Podstawowe oprogramowanie wykorzystywane do nauczania zdalnego studentów

mieszkającymi na wsi oraz w największych miastach (powyżej 200 tys. mieszkańców).

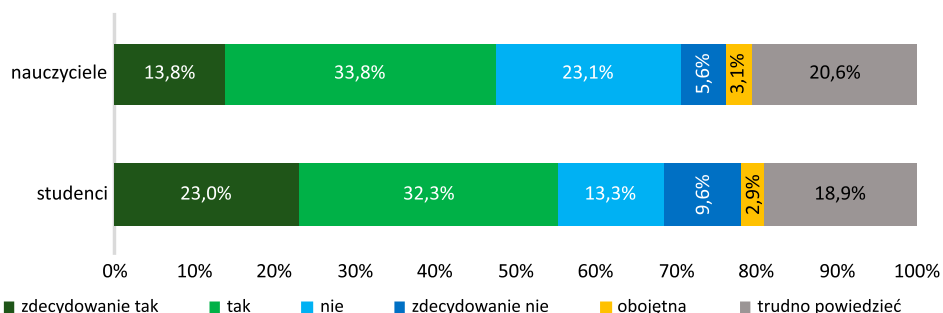
Jest rzeczą interesującą, że o ile studenci mieszkający na wsi nieznacznie wyżej oceniają warunki lokalowe, to istotnie niżej oceniają posiadane w domach łącze internetowe. Ocena studentów dotycząca łącza internetowego charakteryzowała się również największym wskaźnikiem zmienności (ponad 39%, odchylenie standardowe na poziomie 1,23), co wskazuje na duże zróżnicowanie terenów wiejskich pod względem dostępu do infrastruktury informatycznej. Warto podkreślić, że kluczowymi elementami mającymi wpływ na efektywność kształcenia zdalnego są czynniki, na które uczelnia nie ma wpływu. Należą do nich: dostęp do Internetu, jego szybkość oraz stabilność połączenia. Podstawową przeszkodą, szczególnie dla osób zamieszkujących obszary wiejskie, okazały się: problemy z transmisją dźwięku, obrazu, „zawieszanie się” i spowalnianie wideokonferencji, konieczność posiadania sprawnego i nowoczesnego sprzętu komputerowego. Zapewnienie szybkiego i stabilnego dostępu do Internetu na wielu obszarach wiejskich jest wciąż istotnym problemem, którego często ani gmina, ani operatorzy firm telekomunikacyjnych nie są w stanie szybko rozwiązać. Kluczem do rozwiązania tego problemu byłaby spójna i kompleksowa polityka państwa w zakresie dofinansowania np. mobilnego dostępu do Internetu dla studentów.

Kilkanaście programów i platform

Istotnym wyzwaniem, z którym również musieli się zmierzyć studenci, było korzystanie w różnego rodzaju oprogramowania i platform, za pomocą których prowadzone było zdalne nauczanie. Prowadzący zajęcia dydaktyczne, w zależności od ich formy (wykład, ćwiczenia i inne), wykorzystywali łącznie kilkanaście dostępnych programów i platform. Do najpopularniejszych należały: MS Teams oraz Zoom Meeting, stanowiące

podstawowe oprogramowanie do prowadzenia zajęć zdalnych. Dodatkowo w procesie kształcenia wykorzystywane były inne popularne programy, takie jak: Dysk Google, Discord, Moodle czy nawet portale społecznościowe (Facebook, łącznie z komunikatorem Messenger). W odpowiedzi na pytania otwarte ankiety studenci wskazywali na potrzebę ustandaryzowania i ujednolicenia stosowanego i wykorzystywanego oprogramowania w procesie zdalnego nauczania. Niewątpliwie wykorzystanie ograniczonej liczby programów w procesie kształcenia jest wskazane (możliwość wdrożenia jednolitego systemu szkoleń studentów i pracowników, umieszczenie materiałów dydaktycznych w jednym miejscu, powszechny dostęp do licencji przez wszystkich użytkowników itd.). Platformy wideokonferencyjne: MS Teams oraz Zoom Meeting były powszechnie wykorzystywane przy prowadzeniu wykładów i ćwiczeń (MS Teams 28,7% wykłady i 32,2% ćwiczenia oraz Zoom Meeting 12,2% wykłady i 9,9% ćwiczenia). Z kolei platforma MS Teams była niekwestionowanym liderem w przypadku prowadzenia laboratoriów oraz realizacji projektów (odpowiednio: 55,6% oraz 58,9%). Natomiast zajęcia językowe prowadzone były przede wszystkim na platformie Zoom Meeting (74,5%). Seminaria dyplomowe odbywały się przy użyciu MS Teams (54,5%) oraz Zoom Meeting (10,9%). Z powyższych badań wynika, że pozostałe wskazane oprogramowanie miało charakter uzupełniający (por. Wykres 1).

Ocena potencjalnych determinantów zdalnego nauczania została poprzedzona pytaniem ogólnym dotyczącym perspektywy zdalnego nauczania w kontekście poszukiwania rozwiązań alternatywnych do nauczania tradycyjnego. Trudno bowiem byłoby oceniać determinanty zdalnego nauczania w sytuacji, gdyby studenci nie traktowali wykorzystywanych platform do zdalnego nauczania jako ciekawej opcji. Tym bardziej że w obliczu pandemii i czasowego ograniczenia możliwości prowadze-



Wykres 2. Ocena zdalnego nauczania jako innej możliwości obok tradycyjnie prowadzonych zajęć dydaktycznych przez studentów i nauczycieli akademickich



Źródło: opracowanie własne na podstawie przeprowadzonych badań.

Wykres 3. Determinanty zdalnego nauczania w ocenie studentów

nia w standardowej formie działalności wszystkich podmiotów, w tym również uczelni, nauczanie zdalne przestało być jedną z dostępnych opcji, a stało się jedynym możliwym rozwiązaniem, dzięki któremu proces dydaktyczny mógł być realizowany w planowanym harmonogramie czasowym i merytorycznym. Oczywiście w przypadku części zajęć typowo praktycznych na niektórych wydziałach i kierunkach nawet ta forma realizacji procesu kształcenia była i jest niemożliwa do wdrożenia.

Rezultaty badań wskazują, że popularność wśród młodych ludzi, w tym studentów, wykorzystania nowoczesnych technologii i mediów społecznościowych w życiu codziennym przekłada się na akceptowanie nowych form komunikacji również w procesie kształcenia. Ponad połowa studentów uważa, że nauczanie zdalne jest dobrą odmianą dla tradycyjnie prowadzonych zajęć dydaktycznych. Tylko co piąty student nie zgadza się z tą opinią. Warto zwrócić uwagę, że w tej grupie prawie 21% mężczyzn oraz ponad 17% kobiet nie wyrobiło sobie dotychczas

zdania na ten temat. Dla grupy zaledwie 3% studentów forma prowadzenia zajęć jest obojętna. W grupie nauczycieli akademickich również blisko połowa (47,5%) ocenia pozytywnie tę formę kształcenia, a przeciwnego zdania jest 28,7% badanych. Podobnie jak ma to miejsce w przypadku studentów, również wśród nauczycieli znajduje się spora grupa niezdeterminowanych (por. Wyk. 2).

Opierając się na wynikach badań, można wskazać jakie czynniki wpływają na ocenę efektywności i potencjału zdalnego kształcenia w opinii studentów i kadry akademickiej oraz czy badane grupy podobnie parametryzują powyższe elementy. Katalog potencjalnych determinantów zdalnego nauczania jest bardzo szeroki i obejmuje czynniki związane z komfortem studiowania w domu, dostępnością całej „domowej” infrastruktury, ograniczeniem czasu i kosztów związanych z koniecznością dojazdu na wydział, ale również i takie elementy, które w odczuciu zespołu badawczego miały charakter negatywny.

Do tej grupy potencjalnie należą: spędzanie dużej ilości czasu z komputerem, brak bezpośrednich kontaktów z innymi studentami i wykładowcami czy problemy zdrowotne (por. Wyk. 3).

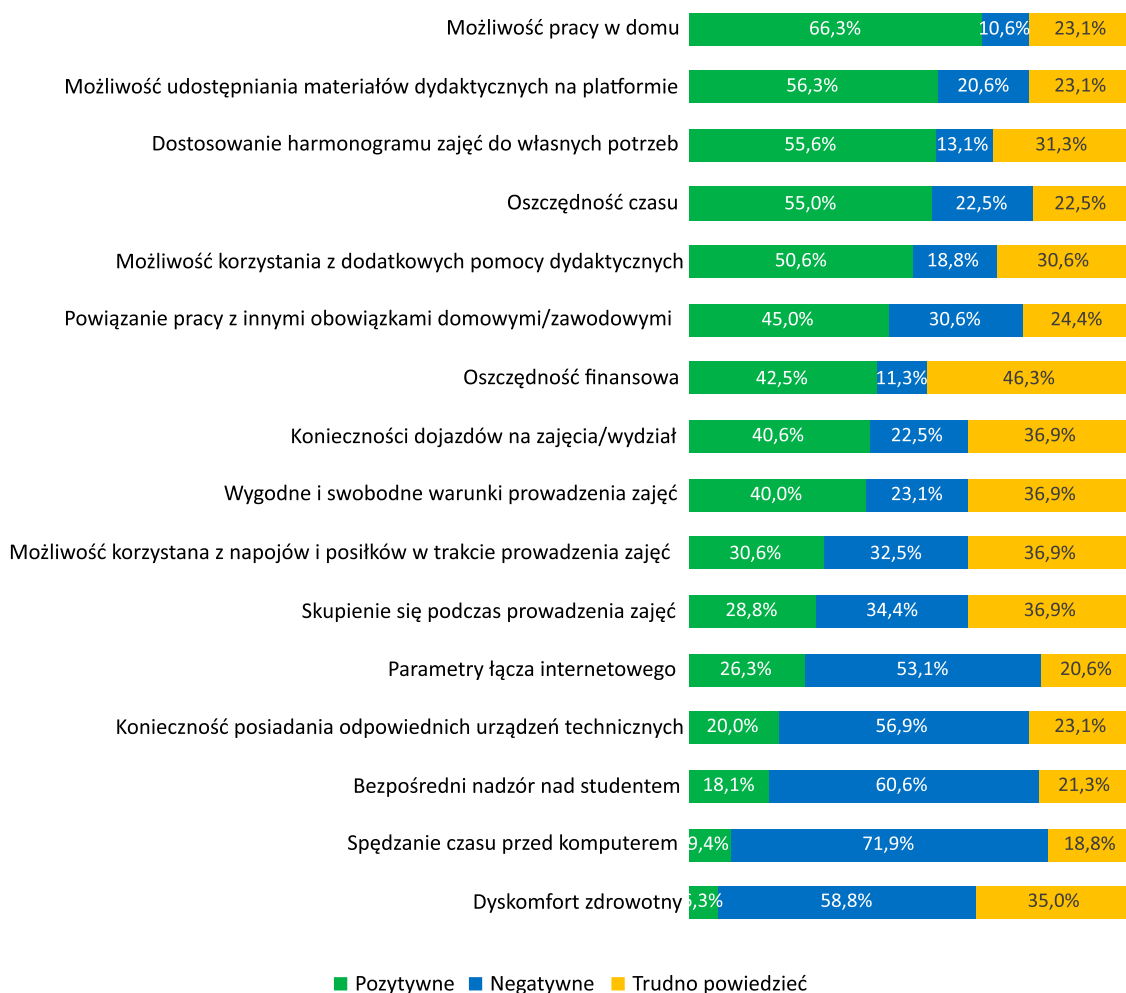
Same zalety, ale...

Kadra dydaktyczna, podobnie jak studenci, wskazała i oceniła (pozytywnie lub negatywnie) wiele czynników potencjalnie determinujących zdalne kształcenie. Komfort pracy w domu, oszczędność czasu, wygodne warunki w czasie prowadzenia zajęć dydaktycznych, możliwość wykorzystania dodatkowych pomocy dydaktycznych, ustalenie indywidualnego harmonogramu zajęć, a także możliwość powiązania pracy dydaktycznej z innymi obowiązkami zawodowymi lub domowymi to główne i pozytywne determinanty procesu zdalnego kształcenia. W opinii nauczycieli akademickich zdecydowanie negatywnym czynnikiem zdalnego nauczania jest konieczność spędzania czasu przed komputerem, co wiąże się z innymi negatywnymi następstwami lub ograniczeniami, takimi jak na przykład: konieczność posiadania dobrego sprzętu komputerowego i szybkiego łącza internetowego czy problemy zdrowotne będące następstwem zbyt długiej pracy przy komputerze. Brak bezpośredniego nadzoru nauczyciela nad studentem w przypadku zajęć realizowanych w formie zdalnej to – zdaniem nauczycieli – istotny, negatywny czynnik tej formy kształcenia (por. Wyk 4). Dla studentów czynnik ten nie był aż tak jednostronnie określony i trzeba byłoby powiązać uzyskaną ocenę z charakterem prowadzonych zajęć (np. wykłady czy ćwiczenia).

Na przyszłość

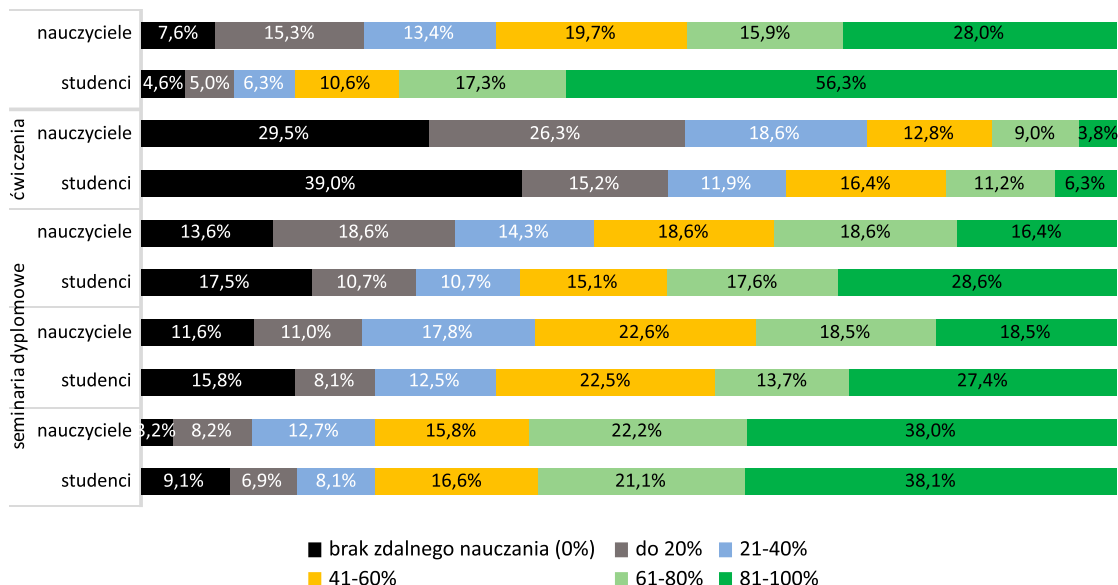
Istotnym czynnikiem warunkującym zbadanie potencjalnych możliwości zdalnego nauczania oraz poznanie jego oceny wśród studentów jest uzyskanie ich opinii na temat wykorzystania tej formy nauczania w przyszłości. Ten obszar badania determinuje w wariancie zero-jedynkowym ideę zdalnego nauczania. Przedstawione determinanty zdalnego nauczania, niezwykle istotne dla studentów, takie jak: oszczędność czasu, wygoda, dostęp do posiłków w trakcie zajęć, dostęp online do materiałów dydaktycznych, wpłynęły na bardzo wysoką ogólną ocenę akceptacji tej formy kształcenia również w przyszłości. Aż 84% studentów dopuszcza prowadzenie procesu dydaktycznego w formie zdalnej w całości, w ograniczonym zakresie lub ograniczonym do konkretnych zajęć dydaktycznych (np. wykładów). Blisko co czwarty ankietowany student wskazuje, że zajęcia prowadzone na platformie mogłyby być realizowane w przypadku każdej formy kształcenia. Tylko niespełna 12% studentów wyklucza dalszą możliwość prowadzenia zajęć w formie zdalnej. Ponadto warto zwrócić uwagę, że odsetek studentów, którzy nie mają zdania w badanym obszarze, jest niewielki i wyniósł niespełna 4%.

Podobną opinię wyraziła kadra akademicka: prawie 80% pracowników dopuszcza możliwość prowadzenia w przyszłości zajęć dydaktycznych w formie zdalnej. Akceptacja tej formy prowadzenia zajęć dydaktycznych w przypadku każdego ich typu (wykłady, ćwiczenia itp.) wskazało 16% badanych, co jest o blisko 10 punktów procentowych niższym wynikiem



Wykres. 4. Determinanty zdalnego nauczania w ocenie nauczycieli akademickich

Źródło: opracowanie własne na podstawie przeprowadzonych badań.



Źródło: opracowanie własne na podstawie przeprowadzonych badań.

Wykres. 5. Preferowany udział zajęć dydaktycznych realizowanych w formie zdalnej w opinii nauczycieli akademickich i studentów

niż w przypadku oceny studentów. Warto zwrócić uwagę, że w ocenie kadry naukowo-dydaktycznej najistotniejszym czynnikiem jest wiek respondenta. Osoby w wieku powyżej 61 lat najniżej oceniły możliwości wykorzystania tej formy kształcenia. Najmłodsza grupa respondentów (do 30 lat) oceniła najwyżej zdalne nauczanie – prawie 90% pozytywnych wskazań.

Skoro studenci istotnie dostrzegają możliwość wykorzystania zdalnego nauczania w obecnej formie realizowanych zajęć, warto się przyjrzeć, w jakich obszarach można włączyć tę formę nauczania w przyszłości. Największy potencjał w zakresie wykorzystania zdalnego nauczania w realizowanym procesie dydaktycznym dotyczy: wykładów (aż 56,3% studentów dopuszcza prowadzenie wykładów wyłącznie, a 84,2% dopuszcza ponad połowę zajęć realizowanych w formie zdalnej), konsultacji i dyżurów (ponad 38% studentów dopuszcza prowadzenie tej formy zajęć wyłącznie, a 59,2% dopuszcza ponad połowę zajęć realizowanych w formie zdalnej), seminariów dyplomowych (ponad 27% studentów dopuszcza prowadzenie tej formy zajęć wyłącznie, a 41,1% dopuszcza ponad połowę zajęć realizowanych w formie zdalnej) oraz laboratoriów językowych (prawie 29% studentów dopuszcza prowadzenie tej formy zajęć wyłącznie, a ponad 46% dopuszcza ponad połowę zajęć realizowanych w formie zdalnej). W opinii studentów ćwiczenia oraz laboratoria powinny być realizowane w tradycyjnej, dotychczasowej formie: 39% studentów wyklucza nauczanie zdalne w tej formie zajęć.

Kadra akademicka dużo ostrożniej podchodzi do nauczania zdalnego. Niespełna 30% kadry dopuszcza możliwość prowadzenia wykładów wyłącznie w całości w formie zdalnej. To samo dotyczy seminariów dyplomowych czy laboratoriów językowych (ok. 16-19%). Duża zgodność w ocenie studentów i kadry akademickiej występuje w ocenie skali prowadzenia zdalnego konsultacji i dyżurów – tutaj oceny się pokrywają. Co również interesujące, kadra akademicka w mniejszym stopniu nie dopuszcza zdalnego nauczania w całości. Dla przykładu blisko 40% studentów nie widzi możliwości zdalnego prowadzenia ćwiczeń, a odpowiednio udział tej oceny w grupie nauczycieli akademickich wynosi niespełna 30%. Korelacja ocen studentów oraz nauczycieli akademickich powinna zostać wykorzystania do zbudowania w przyszłości preferowanego harmonogramu zajęć dydaktycznych, w których w tradycyjnie prowadzone zajęcia włączone są również zajęcia zdalne (por. Wyk. 5).

Rekomendacje

Przeprowadzone badania pozwalają na sformułowanie rekomendacji dotyczących możliwości wykorzystania technik i narzędzi zdalnego nauczania w celu uatrakcyjnienia, zwiększenia dostępności i w konsekwencji podniesienia jakości kształcenia studentów, które mogą zostać wykorzystane przez inne uczelnie. Doświadczenia z zakresu zdalnego kształcenia w okresie pandemii jednoznacznie wskazują, że zasadne jest ograniczanie liczby wykorzystywanych narzędzi i wdrażanie jednolitej w skali uczelni platformy zdalnego nauczania, na której zamieszczane będą materiały dydaktyczne. W celu podniesienia atrakcyjności zajęć dydaktycznych, szczególnie na studiach niestacjonarnych, wskazane jest włączenie wybranych zajęć dydaktycznych w formie zdalnej do programu studiów. Nie można pominąć także kwestii udziału ekspertów, praktyków czy kadry z uczelni zagranicznych, która zdaniem studentów wzbogaciłaby zajęcia w formie zdalnej. Nie ulega wątpliwości, że zdalne nauczanie powinno być wykorzystane przez uczelnie w prowadzeniu kursów, szkoleń oraz studiów podyplomowych.

Okres pandemii pozwolił na niespotykaną dotąd skalę wdrożyć zdalne nauczanie do kanonu działalności uczelni, nie tylko w Polsce. Badania i rozważania podjęte w niniejszym artykule nie wyczerpują jednak całokształtu problematyki związanej z kształceniem zdalnym. Warto zatem analizować zdobyte doświadczenia i zalety tych narzędzi dydaktycznych, włączając je do procesu tradycyjnych form kształcenia studentów. Warto w tym miejscu również podkreślić, że wszyscy mamy świadomość, iż żadna forma zdalnego nauczania nie zastąpi bezpośredniego kontaktu studenta z nauczycielem, ale nie oznacza to, że w kolejnych latach akademickich nie należy wykorzystać zdobytych teraz doświadczeń. Lepsze dostosowanie harmonogramu zajęć, wykorzystanie nauczycieli czy specjalistów z zewnątrz do prowadzenia nawet pojedynczych wykładów, przygotowanie przyszłych absolwentów do pracy zdalnej, to tylko nieliczne zalety zdalnego nauczania, które bez wątpienia powinny zostać wykorzystane w organizacji procesu kształcenia na uczelniach.

Dr Paweł Modrzyński, dr inż. Małgorzata Zajdel, dr Małgorzata Michalciewicz-Kaniowska, Wydział Zarządzania Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy

Człowiek Turinga

Gdy co jakiś czas porządkuję system zarządzania manuskryptami używany w moim miejscu pracy, odkrywam teksty nadesłane kilka lat temu, których nigdy nie opublikowano, a autorzy nie szukali żadnego kontaktu z redakcją, ale też nie wycofali artykułu.

Koncepcja testu Turinga jest znana także osobom niezwiązanym w żaden sposób z badaniami nad technologiami IT, psychologią czy teorią komunikacji, choćby dzięki literaturze i kinu science fiction, gdzie często ważnym dla fabuły problemem jest rozróżnienie, czy mamy do czynienia z człowiekiem, czy myślącą maszyną (z tego powodu instytucja tropiąca nielegalnie operujące w cyberprzestrzeni sztuczne inteligencje w powieści *Neuromancer* Williama Gibona to Policja Turinga). Ośmielam się tu zaproponować inne pojęcie: złudzenie Turinga, moim zdaniem trafne szczególnie w realiach dystansu społecznego podczas pandemii. Złudzenie Turinga może wystąpić w sytuacji, gdy zawodowo lub prywatnie kontaktujemy się z innymi ludźmi głównie za pośrednictwem internetu, i to (ważne zastrzeżenie) z użyciem komunikacji tekstowej, a nie wizji i fonii. W rezultacie możemy zatracić świadomość, że po drugiej stronie jest żywy człowiek, a nie odpisujący nam bot. Zaczynamy zachowywać się jak wiecznie przepracowany urzędnik, nawet nie próbujemy pomóc temu drugiemu, jest on dla nas tylko numerem, pozycją w excelowej tabelce. Równie dobrze po drugiej stronie mogłaby być maszyna, nie byłoby żadnej różnicy.

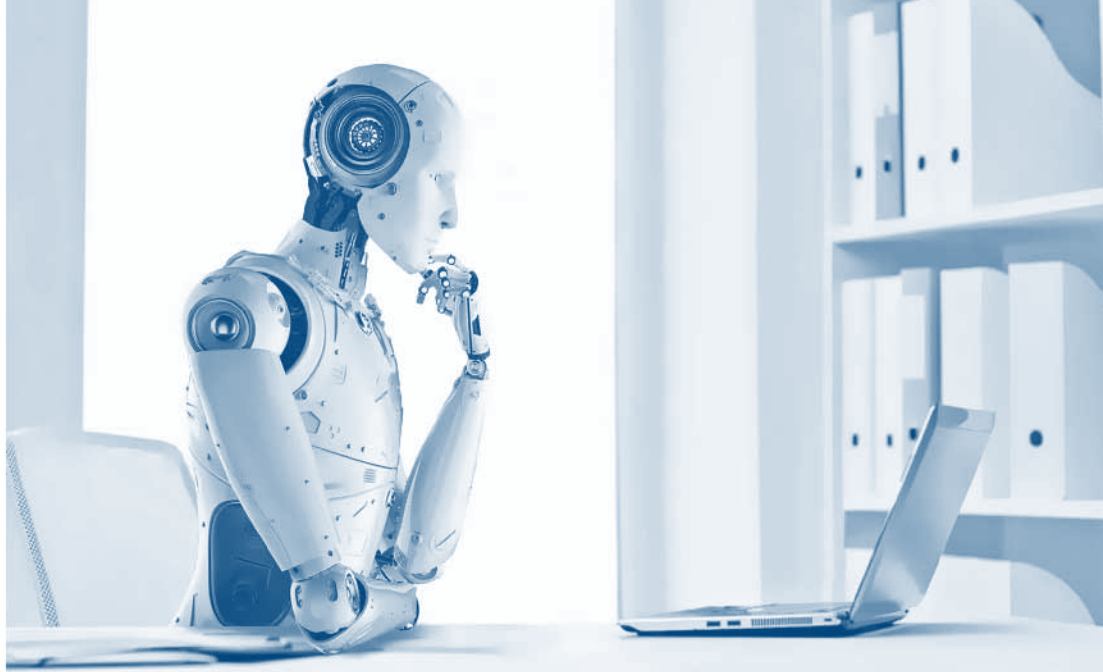
W pracy redaktora zatrudnionego w czasopiśmie naukowym ryzyko wystąpienia złudzenia Turinga wynika z dwóch faktów. Po pierwsze, artykuły nadsyłają autorzy z całego świata, więc z większością redaktorzy nigdy nie stykają się osobiście. Pozostali to badacze z uczelni, do której należy samo wydawnictwo – ci faktycznie przychodzą czasem osobiście, żeby wyjaśnić wątpliwości narosłe wokół warstwy językowej tekstu lub spytać, co jest przyczyną opóźnienia w publikacji. Po drugie do zarządzania napływającymi artykułami w większości czasopism naukowych używane są współcześnie mniej lub bardziej wyrafinowane systemy informatyczne, w których autor zakłada konto, a następnie rejestruje tekst. Takie systemy mają umożliwiać śledzenie statusu artykułu zarówno redaktorom, jak i autorom oraz zabezpieczać anonimowość recenzji (recenzenci przesyłają recenzje także za ich pośrednictwem, dzięki czemu prawdopodobieństwo przypadkowego ujawnienia autorowi tożsamości recenzenta jest niewielkie i wymaga skrajnej nieuwagi po stronie redaktora). Niestety wywołują one często efekt znany z kontaktów z biurami obsługi klienta wielu prywatnych firm oraz instytucji państwowych: ktoś lub coś „nie wyświetla się w systemie” lub „świeci się na czerwono” i tym samym powstaje nierozwiązalny problem, a petent/klient/

autor ma wrażenie, że w tym układzie to ludzie stanowią białkowy interfejs systemu (a może wręcz Systemu?).

Dwa są życia modele

Powyższe wrażenie ma dwa komponenty. Z jednej strony pogłębia się odczucie depersonalizacji kontaktu, nieuniknione przy stosowaniu poczty elektronicznej. Z drugiej – autor może dojść do wniosku, że rozwiązanie problemu tak naprawdę nikogo poza nim nie obchodzi; chowający się za systemem redaktor też jest tylko kolejnym użytkownikiem. Skoro system na coś nie pozwala, to najwyraźniej tak ma być i to ty, autorze, musisz rozwiązać problem. Dlatego profesjonalny redaktor szuka rozwiązania do skutku, zmiennych nie ma tu aż tak dużo, aby nie dało się ustalić, co się dzieje. Wówczas zaczyna się korespondencja z autorem lub autorami i zza e-maili zaczyna wyglądać osoba, z różnymi tego konsekwencjami. Po kilku latach pracy w międzynarodowym czasopiśmie naukowym redaktor jest w stanie wyróżnić kilka możliwych podejść publikujących badaczy do komunikacji z redakcją. To rzecz jasna tylko uproszczone modele, nigdy niewystępujące w stanie czystym. Nie dokonuję też w żaden sposób ich wartościowania, nie ośmieliłbym się na podstawie kilku e-maili oceniać, jakim kto jest człowiekiem. Znajomość tych swego rodzaju „strategii komunikacyjnych” pomaga jednak w porozumieniu z badaczami o różnym podejściu i odmiennych przyzwyczajeniach.

„Dwa są życia modele / dwa życia sposoby / Jeden – życie spokojne / drugi – życie w pośpiechu” – śpiewał Grzegorz Turnau w piosence *Życia modele*. To najprostsza różnica między autorami: jednym się spieszy, inni pozwalają, by życie omywało ich jak spokojna rzeka. Pośpiech nie wynika rzecz jasna z cech charakteru, raczej z faktu, że gonią terminy sprawozdań, rozliczeń grantów czy składania wniosków o awans naukowy. Stąd zdarzają się badacze, którzy wraz ze złożeniem manuskryptu od razu pytają, kiedy zostanie opublikowany (podczas gdy nie został jeszcze zrecenzowany) lub podkreślają, że np. za cztery miesiące muszą złożyć sprawozdanie, w którym chcieliby ten tekst ująć jako opublikowany. Inni początkowo milcząco zakładają, że od nadesłania artykułu do publikacji minie maksimum pół roku i zaczynają się niepokoić, gdy mijają cztery miesiące, a data ukazania się materiału wciąż nie jest znana. Dla tych ostatnich autorów kluczowy jest aktywny numer DOI, a podstawowym zadaniem redaktora jest wskazanie, że nadanie aktywnego numeru DOI następuje dopiero w momencie publikacji



Rys. Sławomir Makal

PERMANENTNA DEPERSONIZACJA KONTAKTU W KOMUNIKACJI Z AUTORAMI

(może to być publikacja ahead of print, czyli przed ukazaniem się całego numeru czasopisma zawierającego dany artykuł, ale musi to być publikacja). Niektórzy badacze potrafią średnio raz w tygodniu dopytywać, kiedy otrzymają proofa (złożony artykuł do kontroli), podczas gdy artykuł jest dopiero recenzowany.

Autor widmo

Autorzy, którym się nie spieszy, najczęściej nie zadają sami z siebie żadnych pytań, a gdy redakcja prosi o poprawki lub ustosunkowanie się do wprowadzonych zmian, tekst wraca np. po trzech miesiącach (podczas gdy wyznaczony termin wynosi... trzy dni). W odniesieniu do niektórych autorów nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdyby ich artykuł utknął na jakimś etapie procesu recenzyjnego i nigdy nie został opublikowany, nie dotarłoby do mnie nawet słowo skargi. Gdy co jakiś czas porządkuję system zarządzania manuskryptami używany w moim miejscu pracy, odkrywam teksty nadesłane kilka lat temu, których nigdy nie opublikowano, a autorzy nie szukali żadnego kontaktu z redakcją, ale też nie wycofali artykułu. Pojęcie „autor widmo” nabiera tu nowego znaczenia: to już nie autor nieujawniony, ale znikający we mgle. Niestety, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że taki autor powróci i nieoczekiwanie po dwóch, trzech latach zacznie naciskać na rychłą publikację. Rekordzista powrócił po prawie sześciu latach.

Żadne z tych podejść nie ułatwia współpracy z redakcją, dlatego tym bardziej redaktorzy umieją docenić autorów, którzy robią co mogą, aby po ich stronie cały proces oceny manuskryptu i przygotowania go do publikacji przebiegał sprawnie. Bywa, że usiłują wziąć na siebie także te elementy procesu redakcyjnego, które należą do obowiązków redaktora. Oczekiwanie, że badacz – specjalista w ważnej i skomplikowanej dziedzinie – będzie jeszcze znawcą zagadnień edytorskich, jest wręcz niestosowne. Tymczasem nieraz stykam się z autorami, którzy sprawiają wrażenie przeżywających autentyczne poczucie winy wobec redaktora z powodu nieidealnego przygotowania manuskryptu. Zetknięcie się z takim poziomem etyki pracy i szacunku dla pracy drugiego człowieka zawsze jest budujące, a jeśli autor dopiero zaczyna karierę naukową, ważne jest, by pierwsze doświadczenia z redakcjami na zasadzie prawa pierwszych połączeń pokazały mu, że stresujące może być ewentualnie oczekiwanie na werdykt recenzentów, natomiast kontakty z redakcją – nie.

Przejawem dbania o bezszmerową współpracę nie jest jednak postawa, którą na własny użytek określam mianem „autora

OK”. Istnieją dwa podstawowe rodzaje pytań: rozstrzygnięcia (tak lub nie) i dopełnienia (odpowiedź wymaga podania informacji niezawartej w pytaniu). „Autorzy OK” każde pytanie, sugestię lub propozycję ze strony redaktora traktują jako pytanie rozstrzygnięcia. Gdy w przesłanym im złożonym artykule znajdują się oznaczone niejasne sformułowania bądź prośby o wybór spośród kilku możliwości przeformułowania zdania, odpowiedzią jest „OK”. OK tak czy OK nie? Cieszy mnie pozytywny, afirmatywny stosunek do ludzi i świata u bliźnich, ale nie wszystkie decyzje można scedować na redakcję. To autor jest specjalistą w danej dziedzinie i to on może autorytatywnie określić, czy przeformułowanie ze względu na poprawność językową nie pociągnęło za sobą przeinaczenia w warstwie merytorycznej. Redaktorowi nie wolno brać na siebie takiej odpowiedzialności – z rezultatów opublikowanych badań będą korzystać inni naukowcy; ponadto opublikowanie artykułu zawierającego błędy wpływa zarówno na renomę czasopisma, jak i na pozycję badacza w środowisku naukowym.

Zakładać dobrą wolę

W świetle omówionych wyżej problemów mogłoby się wydawać, że praca redaktora w czasopiśmie naukowym to kaskada frustracji. I tak by było, gdybym przy problemach w komunikacji z autorami zakładał ich złą wolę. Żłudzenie Turinga sprzyja takiemu myśleniu – przecież nawet maszynom, gdy złożliwość rzeczy martwych utrudnia życie, potrafimy zarzucać, że robią nam to specjalnie. Jeśli jednak postawię się w sytuacji autora, zwłaszcza z odległego kraju (na tyle, na ile potrafię ją sobie wyobrazić), zdam sobie sprawę, że większość zakłóceń komunikacji i irytujących postaw wynika z nieporozumień lub odmiennych przyzwyczajzeń, a czasem także z presji niezależnych od autora okoliczności – o nagłym terminie mógł się dowiedzieć dopiero na kilka miesięcy przed jego upływem, gdyż czynniki oficjalne na jego uczelni lub w jego kraju podjęły nagłą decyzję o zmianie reguł gry (i jest równie zaskoczony, jak my jesteśmy zdziwieni jego oczekiwaniami szybkiej publikacji). Sformułowanie „po drugiej stronie też jest człowiek” brzmi jak wzniosły komunał, ale nie ma z niego wynikać, że nagle zacznę pytywać autorów o ich sprawy osobiste, tylko że będę konsekwentnie zakładał dobrą wolę i nie zniechęcał się tym, że od czasu do czasu faktycznie trafi się ktoś roszczeniowy lub wręcz arogancki. Last but not least – autorzy też są najczęściej wyrozumiali wobec moich błędów.

Prawdziwe wyzwanie

Dotrzeć się do grona dziesięciu najlepszych polskich uczelni znacząco otrzymała nagrodę w konkursie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza”. Uniwersytet Wrocławski znalazł się w prestiżowej stawce, osiągnął cel, który był marzeniem wielu. O drodze do sukcesu, planach i wyzwaniach stojących przez uczelnią ze stolicy Dolnego Śląska przeczytać można w „Przeglądzie Uniwersyteckim” (nr 5/2019).



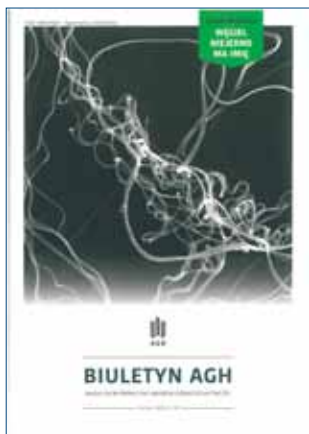
Podzielone na poszczególne etapy zadanie rozpoczęło się od przygotowania przez specjalnie do tego powołany zespół spełniającej wszelkie wymogi formalne aplikacji. Istotny

krok stanowiło wyznaczenie Priorytetowych Obszarów Badawczych, czyli płaszczyzn, na których naukowcy z UW osiągnęli najwyższą jakość projektów i które mają stać się wizytówką uczelni. Po przyjęciu ściśle określonych kryteriów wyłoniono sześć interdyscyplinarnych obszarów obejmujących takie domeny, jak: materiały funkcjonalne, operowanie na wielkich danych, zdrowie, relacje człowieka z naturą i kulturą, z miastem i środowiskiem, czy wreszcie wielokulturowość. Odpowiednio opisane i merytorycznie uzasadnione zagadnienia zostały pozytywnie zrecenzowane przez zespół specjalistów z zagranicy, co finalnie sprawiło, że Uniwersytet Wrocławski mógł się cieszyć z przynależności do grona uczelni, które w latach 2020-2026 otrzymywać będą ministerialną subwencję zwiększoną o 10% w stosunku do środków uzyskanych w 2019 r. Dodatkowe finanse pozwolą wprowadzić zmiany w obszarach związanych m.in. z podnoszeniem kompetencji nauczycieli akademickich czy wspieraniem badań i dydaktyki.

Porozmawiajmy o węglu

Węgiel nie ma ostatnio na świecie zbyt dobrej prasy. Wszystko z powodu obserwowanych niekorzystnych dla Ziemi zmian klimatycznych, do których, jak wiadomo, jego kamienna odmiana przyczynia się w znacznym stopniu.

Ale węgiel to nie samo zło, przekonuje „Biuletyn AGH” (nr 147/2020). W poświęconym mu cyklu, otrzymujemy cał-



kiem sporą dawkę wielu opartych na faktach, prawdziwych informacji o „czarnym złocie”. Węgiel bowiem niejedno ma imię. To zarówno skała osadowa pochodzenia roślinnego, jak i cenny surowiec wykorzystywany na skalę przemysłową, a także czwarty, najczęściej występujący na naszej planecie pierwiastek chemiczny, charakteryzujący się unikatowymi właściwościami. Powszechnie

znane jego odmiany alotropowe to grafit oraz kochany przez wszystkich miłośników biżuterii diament. Nanomateriały węglowe znajdują zastosowanie w elektronice, gdzie stanowią istotne elementy składowe nanourządzeń. Tego rodzaju materiały nie tylko cechuje innowacyjność, stanowią także doskonałą „odповідź na wzrastające potrzeby technologiczne społeczeństwa”. Wiele dowodów wskazuje na to, że nanostruktury węglowe mogą być wykorzystywane jako jeden ze składników ogniw słonecznych, których celem jest produkcja zielonej energii, a to z pewnością zmienia obraz węgla jako czolowego destruktora niszczącego środowisko.

Kluczowa, jak wynika z tekstu, dla przyszłej kondycji Ziemi będzie jednak walka z gazami cieplarnianymi. Jedną z obiecujących i perspektywicznych metod, nad rozwojem której pracują obecnie naukowcy, ma być zintegrowane wychwytywanie dwutlenku węgla i następująca potem sekwestracja.

Medycyna przyszłości

Dążenie do utrzymania lub poprawy dobrostanu pacjentów jest z pewnością celem osób dbających o ludzkie zdrowie. Innowacyjne koncepcje, nad którymi pracują naukowcy, w znacznym stopniu przyczyniają się do poprawy skuteczności całego procesu leczenia. W implantologii na przykład, gdzie notuje się odrzucalność wszczepów na poziomie od 5 do 10%, ważne stało się opracowanie takiego rodzaju materiału, którego właściwości przeciwdziałałyby problemowi eliminowania przez organizm implantu, traktowanego w tym przypadku jako ciało obce. O gotowym rozwiązaniu informuje pismo Collegium



Medicum im. Ludwiga Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu „Wiadomości Akademickie” (nr 77/2020).

Z rozmowy z uczonymi, którzy opracowali technologię modyfikowania powierzchni implantów przy użyciu nanocząstek srebra, dowiedzieć się można o szczegółach tego wyjątkowego przedsięwzięcia. Dzięki skoordynowanym działaniom

medyków, chemików, mikrobiologów, biochemików i immunologów udało się stworzyć technologię umożliwiającą zarówno lepszą i szybszą integrację wszczepionego elementu z kością, jak i przeciwdziałającą ewentualnej infekcji bakteryjnej. Zaletami opracowanego rozwiązania jest ponadto biozgodność oraz brak negatywnego wpływu na ludzki organizm, który rozpoznaje nową powłokę jako własną. Innowacyjna nanotechnologia może znaleźć zastosowanie nie tylko w implantologii. Wykorzystać ją będzie można także w kardiologii, kardiochirurgii czy chirurgii naczyniowej.

Od strony medycznej wszystko zdaje się wyglądać bardzo obiecująco. Problemem są, jak można się domyślić, pieniądze. Inwestor dysponujący konkretnymi środkami, który będzie gotowy wyłożyć określoną sumę na mającą wymierny potencjał rozwojowy i leczniczy technologię, potrzebny jest od zaraz.

Aneta Zawadzka

Marek Wroński

Wstrzymana profesura

Przed wyborami rektorskimi Rada Uczelni Uniwersytetu Gdańskiego nie podjęła żadnych kroków w celu poinformowania środowiska uniwersyteckiego o zarzutach naruszenia praw autorskich w publikacjach rektora kandydującego na kolejną kadencję.

Nierzetelność zdarza się na wszystkich poziomach nauki, także wśród ministrów i kierownictw uczelni. Historia nauki zna wiele takich przypadków. W tym cyklu kilkakrotnie opisywano mniejsze lub większe „naukowe wpadki” urzędujących rektorów, stojących zwykle na czele niewielkich, zarówno prywatnych, jak i państwowych uczelni. Wyjątkiem była sprawa habilitacji prof. Ryszarda Andrzejaka, ówczesnego rektora wrocławskiej Akademii Medycznej. Nawiąsem mówiąc, po wyroku NSA, który uchylił uchwały RW z powodów proceduralnych, znów wróciła ona do Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, skierowana tam przez Centralną Komisję w celu ponownego rozpoznania.

Jednak po raz pierwszy zdarza mi się opisywać przypadek podejrzenia o naruszanie praw autorskich przez rektora dużej i znanej uczelni.

Wybory w cieniu epidemii

27 kwietnia 2020 r. odbyły się zdalne wybory rektora Uniwersytetu Gdańskiego. Wygrał je urzędujący rektor, dr hab. Jerzy Gwizdała, profesor uczelni na Wydziale Zarządzania. Otrzymał on poparcie 59 z 68 głosujących elektorów i 1 września 2020 r. objął stanowisko rektora na drugą kadencję. Ten 63-letni ekonomista w latach 1991-1998 (za kadencji rektorów Zbigniewa Grzonki i Marcina Plińskiego) był dyrektorem administracyjnym UG. Doktoryzował się w 1992 r. z ekonomiki transportu i od 1994 r. był adiunktem na Wydziale Zarządzania. Równoległe od 2001 r. przez siedem lat kierował Centrum Bankowości Korporacyjnej Kredyt Banku, aby w 2008 r. zostać kanclerzem UG. Pracował również jako nauczyciel akademicki w Wyższej Szkole Zarządzania w Słupsku oraz w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku. Habilitował się w 2011 r. na podstawie monografii *Ryzyko kredytowe w działalności banku komercyjnego*, a następnie objął na UG stanowisko kierownika Katedry Finansów i Ryzyka Finansowego. Jako kanclerz UG wygrał wybory rektorskie w 2016 r., pokonując prof. Grzegorza Węgrzynę.

Postępowanie profesorskie

Na początku lipca 2018 r. dziekan Wydziału Zarządzania UG, prof. Mirosław Szreder, przedstawił protokół z posiedzenia wydziałowego zespołu ds. postępowania profesorskiego, który zarekomendował wszczęcie postępowania o nadanie Jerzemu Gwizdale tytułu naukowego profesora. Dyskusji nie podjęto i podczas tajnego głosowania tylko jedna osoba wstrzymała się od głosu, a 34 były „za”. Ciekawe, że prof. Jerzy Gierusz, kie-

rownik Katedry Rachunkowości, poprosił o wyłączenie z postępowania na podstawie art. 24 kpa, powołując się na członkostwo w CK.

Moim zdaniem cała rada wydziału powinna zostać wyłączona z postępowania profesorskiego rektora, który jako pracownik wydziału jest poniekąd jej członkiem, a jako rektor – przełożonym pracowników. Przeprowadzając swoje postępowanie awansowe na uczelni, którą kieruje, rektor ma wyraźny konflikt interesów. Taki „tryb awansowy” rektora, prorektora czy dziekana na własnej uczelni powinien być ustawowo zabroniony.

Po kilku miesiącach powołano recenzentów, którymi zostali: prof. Janina Harasim z Katedry Bankowości i Rynków Finansowych UE w Katowicach, prof. Andrzej Gospodarowicz, em. prof. UE we Wrocławiu, prof. Monika Marcinkowska z Instytutu Finansów UŁ, prof. Małgorzata Zaleska z Instytutu Bankowości SGH oraz prof. Jan Krzysztof Solarz z Katedry Bankowości i Ubezpieczeń Społecznej Akademii Nauk w Warszawie.

Jako główne osiągnięcie naukowe kandydat na profesora przedstawił wydrukowaną w 2018 r. przez Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego książkę *Instrumenty ograniczenia ryzyka w instytucjach finansowych*. Pozycja składa się z 14 publikacji wcześniej wydrukowanych w czasopiśmie krajowych, takich jak „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego” (4), różne czasopisma wydawane przez UG (4) oraz w wydawnictwach UW, UE Wrocław, UE Katowice i WSB w Gdańsku.

Jak napisała w recenzji prof. Janina Harasim, wszystkie artykuły „mają charakter opisowy i nie zawierają wyników badań empirycznych. (...) Zasadnicza część ich zawartości zawiera dobrze znane treści i nie ma charakteru nowatorskiego. (...) Ocenę materiałów źródłowych, na których zostały oparte rozważania zawarte w poszczególnych artykułach utrudnia fakt, że nie podano w nich bibliografii załącznikowej dla każdego z nich, a jedynie na końcu zbioru zamieszczono bibliografię łączną. Zabieg ten należy ocenić krytycznie i uznać za nieprawidłowy. Na pozostałe osiągnięcia naukowe składają się 34 artykuły oraz 19 rozdziałów, w których nie zauważono prezentowania wyników badań empirycznych. Większość z nich ma charakter opisowy, a w przypadku niektórych bibliografia załącznikowa jest dość nieliczna, nie zawsze przy tym wykorzystywane źródła mają charakter naukowy. Za relatywnie niskie należy uznać wskaźniki dotyczące cytawalności publikacji Kandydata. (...) Spora część publikacji i zadne z realizowanych zadań badawczych nie wykazuje związku z podstawo-

wym nurtem badawczym. (...) Brak jest informacji o pracach naukowych bądź stażach naukowych realizowanych w instytucjach naukowych, zarówno krajowych jak i zagranicznych, co nie pozwala na pozytywną ocenę tego rodzaju aktywności”. Mimo tak surowej oceny naukowej kandydata na końcu prof. Harasim napisała: „pozytywy mają nieznaczną przewagę nad słabościami, więc moje ostateczne stanowisko jest pozytywne”.

Dруга recenzentka, prof. Monika Marcinkowska, zauważyła, że po habilitacji J. Gwizdała miał średnio po osiem publikacji rocznie, zaś w 2015 aż czternaście w jednym roku. Uważa, że ich punktacja ministerialna jest relatywnie niska, zaś żadna praca nie ukazała się w czasopiśmie z Impact Factor. Ich cytowalność też jest skromna. Jednak ogólna ocena cyklu publikacji (monografii) jest jej zdaniem dość wysoka, dlatego recenzja była pozytywna. Przy okazji recenzentka wyliczyła, że po habilitacji kandydat brał udział w 128 konferencjach, sympozjach, seminariach, debatach itp., co oznacza, że uczestniczył średnio w trzech wydarzeniach naukowych w okresie ośmiu tygodni. Jednak zabrakło w dokumentacji awansowej spisu tytułów referatów i wystąpień kandydata i na dodatek nie przekraczał on granicy, gdyż wydarzenia naukowe odbywały się w kraju, większość w Trójmieście.

Negatywną recenzję napisał natomiast prof. Jan K. Solarz, który zakwestionował „cykl artykułów ujętych w monografię” ze względu na brak syntezy badań wykluczający uznanie takiej pozycji za naukową monografię. Uznał, że dorobek kandydata bardziej wpisuje się w nauki o zarządzaniu niż w nauki o finansach. Dość krytycznie ocenił dziesięć artykułów z książki, wskazując w nich różne braki. Zauważył, że cztery prace „z cyklu profesorskiego” opublikowano przed habilitacją, tzn. przed 26 października 2011 r., kiedy to RW podjęła uchwałę o nadaniu stopnia. Oceniał, że osiągnięcia naukowe kandydata do profesury są słabe i nie przekraczają wymagań stawianych habilitacjom, kandydat nie odbył również żadnych staży naukowych i nie posiada publikacji zagranicznych. Recenzent uznał także, że kierowanie zespołami grantowymi prawdopodobnie wynikało z zajmowanego stanowiska kanclerza i dotyczyło przedsięwzięć dydaktycznych.

Pozostali recenzenci, prof. A. Gospodarowicz i prof. M. Zaleska, ocenili publikacje i wszystkie pozostałe wymagania ustawowe wobec kandydata jako spełnione z nadatkiem i rekomendowali nadanie profesury.

Po uzyskaniu recenzji członkowie Rady Wydziału Zarządzania UG poparli wniosek profesorski swojego rektora 22 głosami „za” przy dwóch przeciwnych. Następnie dokumentacja trafiła do Centralnej Komisji, która – zgodnie z ustawą – powołała kolejnego recenzenta w celu oceny prawidłowości postępowania oraz rzetelności i obiektywności dotychczasowych recenzji. Opiniodawcą Sekcji Nauk Ekonomicznych został jej członek, prof. Jerzy Węclawski z UMCS w Lublinie. Pozytywnie ocenił on dorobek J.

Gwizdały, uznając jego osiągnięcia naukowe za „znacznie przekraczające” ustawowe wymagania. Na posiedzeniu Sekcji NE CK 9 kwietnia wniosek zyskał dziesięć głosów „za”, dwie osoby były mu przeciwnie, a cztery wstrzymały się od głosu. Prezydium CK 29 kwietnia 2019 r. potwierdziło te pozytywne opinie i jednoznacznie poparło wniosek o przedstawienie dr. hab. J.P. Gwizdały Prezydentowi RP do tytułu profesora nauk ekonomicznych.

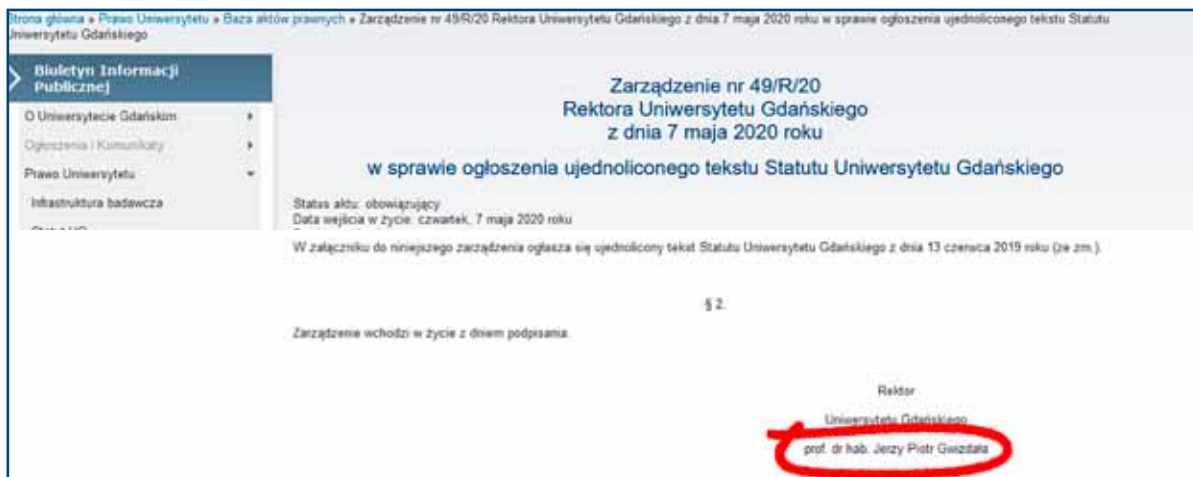
W połowie maja 2019 r. dokumentacja zakończonego postępowania profesorskiego została przesłana do Pałacu Prezydenckiego w celu podpisania i wręczenia nominacji. Wkrótce potem na uniwersytecie zmieniono pieczętki Rektora, na których z podpisu Jerzego Gwizdały – „prof. UG” zniknęły ostatnie dwie litery. Widać to jeszcze np. w zarządzeniu nr 49/R/20 rektora UG z 7 maja 2020 r. w sprawie ogłoszenia ujednoliconego tekstu statutu uczelni, gdzie przed nazwiskiem rektora występuje sformułowanie „prof. dr hab.” (na ilustracji poniżej).

W większości przypadków nominacje profesorskie są podpisywane przez Prezydenta RP w ciągu trzech, czterech miesięcy od otrzymania dokumentacji z Biura CK (która jest wysyłana do 30 dni od daty decyzji Prezydium CK). Tym razem jednak minęło sześć miesięcy, a Kancelaria Prezydenta nie przesyłała zaproszenia na uroczystość nadania tytułu profesora.

Zarzut nierzetelności naukowej

Tymczasem już po pozytywnej decyzji Centralnej Komisji do Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy wpłynął list naukowca, w którym pośrednio zarzucono, iż dorobek kandydata jest słaby, zaś połowa z czternastu artykułów tworzących monografię profesorską odpowiada treści podrozdziałów pracy habilitacyjnej Jerzego Gwizdały. Co więcej, w jednym z artykułów „profesorskich” pt. *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem banku*, wydrukowanym w „Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Szczecińskiego – Finanse, Rynki Finansowe, Ubezpieczenia” (red. nac. prof. Waldemar Gos) nr 38, 2011, str. 659-679, można znaleźć znaczne zapożyczenia typu *copy and paste* z pracy dr Katarzyny Ewy Kuziak (wówczas adiunkta na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, obecnie dr hab. nauk ekonomicznych, profesora nadzwyczajnego w Katedrze Inwestycji Finansowych i Zarządzania Ryzykiem Wydziału Ekonomii i Finansów UEWr) pt. *Koncepcja wartości zagrożonej VaR (Value at Risk)*, opublikowanej w 2003 r. na stronie firmy StatSoft Polska.

Kancelaria Prezydenta na ogół nie lekceważy takiej korespondencji i w przypadkach zakończonego postępowania profesorskiego zwraca dokumenty do Biura CK. Tak też się stało. Pismem z 18 grudnia 2019 r. Prezydent RP Andrzej Duda, wobec powzięcia podejrzenia o możliwości naruszenia prawa autorskiego przez kandydata do tytułu profesora, poprosił przewo-





Rys. Sławomir Makal

niczącego CK, prof. Kazimierza Furtaka, aby wystąpił do Komisji ds. Etyki w Nauce PAN, której przewodniczy prof. dr hab. Andrzej Górski, o opinię, czy w dorobku rektora Uniwersytetu Gdańskiego jest plagiat. W odpowiedzi z 25 lutego 2020 r. prof. Górski napisał, że w opinii komisji zachodzi możliwość naruszenia praw autorskich i pokrewnych, gdyż treść obydwu artykułów jest bardzo zbliżona, zaś kandydat nie odwołał się do wcześniejszej publikacji (tj. nie umieścił jej w bibliografii – MW).

Z tego powodu dwa dni później Prezydium CK podjęło postanowienie o wszczęciu postępowania w sprawie nieważności postępowania o nadanie Jerzemu Gwizdałemu tytułu profesora. Prof. Grzegorz Węgrzyn, członek prezydium i przewodniczący Sekcji Nauk Biologicznych, Rolniczych, Leśnych i Weterynaryjnych, na podstawie art. 24 § 1 kpa został wyłączony z głosowania, bowiem jest pracownikiem jednostki organizacyjnej (Uniwersytetu Gdańskiego), której sprawa dotyczy.

Ze względu na pandemię formalne powiadomienie rektora Gwizdały o wszczęciu procedury unieważnienia postępowania

profesorskiego nastąpiło dopiero w końcu maja br. Kolejnego rzeczoznawcę-superrecenzenta CK powołała zaś w końcu czerwca br.

Reakcja kaskadowa

Tekst, który dr hab. Jerzy Gwizdała przejął z pracy dr hab. Katarzyny Kuziak, doktorantki i współpracownicy prof. Krzysztofa Jajugi, najpierw pojawił się w jego monografii habilitacyjnej z 2011 r. *Ryzyko kredytowe w działalności banku komercyjnego*. Jako podrozdział zatytułowany *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem*, znajduje się on na stronach 273-282 habilitacji. Prof. Jajuga był recenzentem tego postępowania habilitacyjnego, obok prof. Macieja Stanisława Wiatra z SGH, prof. Ryszarda Wierzby z Wydziału Zarządzania UG oraz prof. Stanisława Owsiaaka z UE w Krakowie.

Kiedy zacząłem się przyglądać kolejnym publikacjom J. Gwizdały, dostępnym w całości w internecie, zauważyłem, że nieuprawnionych i niedozwolonych zapożyczeń z tekstów

Jerzy Gwizdała:

W artykule podjęto temat systemowego ryzyka płynności w polskim sektorze finansowym. Omawiane zagadnienia są ważne z kilku powodów. Po pierwsze, kryzys finansowy unoczniał zagrożenie wynikające z ryzyka systemowego w sektorze finansowym dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki. Problemy wynikające z ryzyka systemowego wpłynęły na rozprzestrzenianie się kryzysu oraz jego gwałtowny przebieg. Pogłębienie badań w tym obszarze może być pożyteczne ze społecznego punktu widzenia. Po drugie, ryzyko płynności było dotąd często ryzykiem niedocenianym oraz nie uwzględnianym w ramach całościowego systemu zarządzania ryzykiem. Po trzecie, niewielka dotąd ilość opracowań w polskiej literaturze ekonomicznej przyczyniła się do przeprowadzenia kolejnych badań dotyczących problematyki ryzyka systemowego oraz kwestii płynnościowych w ramach tego ryzyka

Bartosz Kochański:

W rozprawie podjęto temat systemowego ryzyka płynności w polskim systemie bankowym. Temat dysertacji jest ważny z kilku powodów. Po pierwsze, kryzys finansowy unoczniał zagrożenie wynikające z ryzyka systemowego w sektorze bankowym dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki. Problemy wynikające z ryzyka systemowego wpłynęły na rozprzestrzenianie się kryzysu oraz jego gwałtowny przebieg. Pogłębienie badań w tym obszarze może więc być pożyteczne ze społecznego punktu widzenia. Po drugie, ryzyko płynności było dotąd często ryzykiem niedocenianym, czasem w ogóle nieuwzględnianym w ramach teorii całościowego systemu zarządzania ryzykiem w banku. Po trzecie, niewielka dotąd ilość opracowań w języku polskim dotyczących ryzyka systemowego i brak opracowań dotyczących kwestii płynnościowych w ramach tego ryzyka zachęca do zajęcia się tym obszarem badawczym.

innych autorów jest więcej. Z różnych prac i publikacji przejęto kilku-, niekiedy kilkunastozdaniowe fragmenty i bez podania źródła czy cudzysłowu „wklejono” do własnej pracy. I tak np. w publikacji *Wpływ systemowego ryzyka płynności na stabilność polskiej gospodarki*, wydrukowanej w czasopiśmie „Problemy Zarządzania” (2015, 13/3 (2), str. 19-29), przejęto w taki sposób w kilku fragmentach ok. półtorej strony tekstu z obszernego (33 strony) streszczenia pracy doktorskiej Błażeja Kochańskiego, obecnego adiunkta w Zakładzie Statystyki Katedry Nauk Ekonomicznych Politechniki Gdańskiej. Przejęcia dotyczyły celu badań i ich treści. (W tabeli powyżej przykładowy fragment zapożyczenia.) Promotorem tego doktoratu pt. *Systemowe ryzyko płynności w polskim systemie bankowym: determinanty i trendy*, obronionego 20 listopada 2014 r., była dr hab. Anna Rzezczycka z Katedry Finansów PG, zaś recenzentami prof. Małgorzata Zaleska z UŁ i dr hab. Jerzy Gwizdała z UG. Ciekawe, że „skażona” naruszeniem praw autorskich doktoranta publikacja rektora Gwizdały została przetłumaczona na język angielski i pod tytułem *The influence of Systemic Liquidity Risk on Polish Economic Stability* wydrukowana na stronach 33-44 monografii profesorskiej.

W kolejnym artykule pt. *Rola sterowania ryzykiem kredytowym w zarządzaniu portfelami kredytowymi w polskim sektorze bankowym*, opublikowanym w „Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Szczecińskiego – Finanse, Rynki Finansowe, Ubezpieczenia” (nr 65, 2014, str. 647-657), znajduje się kilkanaście zdań (na str. 8-9) zapożyczonych z pracy (str. 93-94) prof. Małgorzaty Iwanicz-Drozdowskiej z SGH *Ewolucja regulacji w zakresie adekwatności kapitałowej banków*, („Bezpieczny Bank”, 2004, 1(22), 89-100). Artykuł z „Zeszytów Naukowych USZ” widnieje w monografii profesorskiej na str. 65-66, od słów: „Za zgodą władz nadzorczych banki mogą stosować...” do słów: „Ro-ekspozycja na ryzyko operacyjne”. Ten sam przejęty tekst znajduje się też na stronie 341 monografii habilitacyjnej.

Brak miejsca nie pozwala na przedstawienie kolejnych przykładów podobnych praktyk. Już jednak te opisane pozwalają podejrzewać, że kandydat do tytułu profesorskiego wielokrotnie naruszał prawa autorskie innych osób. Nasuwa się pytanie, czy w tej sytuacji – gdy z końcem 2019 r. okazało się, że nominacja profesorska „utknęła” w Kancelarii Prezydenta RP z powodu zarzutów nierzetelności naukowej – nie powinien zrezygnować z ubiegania się o kolejną kadencję rektorską?

W chwili, gdy będą państwo czytać ten artykuł, CK powinna już dysponować formalną opinią na temat zarzutu naruszenia przez J. Gwizdałę praw autorskich innych osób we wska-

zanim na początku tego tekstu artykule *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem banku*. Stare przepisy – ustawa o stopniach i tytułach naukowych, na podstawie której toczyło się postępowanie profesorskie J. Gwizdały – przewidują, że przy unieważnianiu postępowania profesorskiego decydujące zdanie ma Komisja ds. Etyki w Nauce PAN (art. 28 pkt. 3a i 3b). Jej opinia została przedstawiona, dlatego rozpoczęła się procedura administracyjna, która nakłada na CK konieczność zasięgnięcia opinii specjalnie powołanego superrecenzenta-rzeczoznawcy. Po jej otrzymaniu prezydium komisji zajmie się tym dokumentem na najbliższym posiedzeniu, a my o wynikach poinformujemy.

Podobny przepis prowadzący do unieważnienia postępowania profesorskiego istnieje w ustawie 2.0 (art. 230 pkt. 3 i pkt 4). Zabrakło jednak przepisu o odbieraniu przez prezydenta wręczonej już nominacji, gdy się okaże, że „posiadacz” tytułu naukowego ma w dorobku plagiaty czy inne oszustwa naukowe.

Milczenie środowiska

Jestem zdziwiony, że osoby, które z racji pełnionych funkcji wiedziały o umotywowanych zarzutach w stosunku do dorobku rektora UG od końca grudnia 2019 r., milczały i nie zabrały publicznie głosu. Nieoficjalnie wiem, że o zarzucie plagiatu i krokach Kancelarii Prezydenta i Centralnej Komisji była powiadomiona nieformalnie także Rada Uczelni Uniwersytetu Gdańskiego i jej przewodniczący, znany gdański adwokat doktor praw Marek Głuchowski. Przed wyborami rektorskimi Rada nie podjęła jednak żadnych działań w celu poinformowania środowiska uniwersyteckiego o problemach z postępowaniem profesorskim urzędującego rektora i kandydata na to stanowisko.

Rektor Gwizdała odmówił redakcji FA skomentowania faktu wycofania jego profesury z Kancelarii Prezydenta z powodu zarzutu naruszenia praw autorskich innych osób. Napisał, że do czasu prawomocnego rozstrzygnięcia sprawy przez Prezydium Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów nie będzie jej komentować.

Na drugim końcu Polski, w nowosądeckiej PWSZ, jest podobna sytuacja, z tą różnicą, iż wobec rektora Mariusza Cygnara minister nauki i szkolnictwa wyższego wszczął dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające. I tam rektor również kandydował na drugą kadencję, mimo poważnych zarzutów co do rzetelności jego monografii habilitacyjnej. Został jednogłośnie wybrany, nie mając konkurenta.

Marekwro@gmail.com

Mariusz Karwowski

Modelarze rzeczywistości

Służą do prognozowania warunków meteorologicznych, pomagają w projektowaniu leków, przewidują preferencje wyborcze, ale w ostatnim półroczu sięgano po nie najczęściej w związku z koronawirusem.

W najbardziej optymistycznym scenariuszu, z kwietnia, fala zachorowań miała wygasać w lipcu. W innym mowa jest o milionie zainfekowanych, ale przy szybkim odchodzeniu od środków bezpieczeństwa liczba ta rośnie nawet sześciokrotnie. Kolejny wariant nie pozostawia złudzeń: sytuacja ustabilizuje się najwcześniej za dwa lata, czyli po pojawieniu się szczepionki. To nie wróżenie z fusów ani patrzenie w szklaną kulę, lecz wnioski wynikające z wybranych modeli matematycznych wskazujących kierunek rozwoju pandemii, zarówno w kontekście globalnym, jak i lokalnym. W minionych miesiącach powstało ich bez liku. Nasze Ministerstwo Zdrowia korzysta z czterech. Model MOCOS z Politechniki Wrocławskiej skupia się na tym, jak wirus przenosi się w sieciach społecznych, np. między gospodarstwami domowymi. Naukowcy z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego pokazują w swoich (SEIR i SEIR-stochastic), jak ściśle z wygaszaniem epidemii sprzężona jest liczba testów wykonywanych każdego dnia. Z kolei w Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW sprawdzono jeszcze inny aspekt – czy i w jakiej formie lockdown jest skuteczny oraz jak kwarantanna w określonych miejscach w kraju wpływa na rozwój epidemii.

– Trzeba pamiętać, że model nie jest rzeczywistością. To konstrukcja myślowa oparta na paradygmacie matematycznym, który jest opisem pewnych cech rzeczywistości. Chodzi o to, żeby za jego pomocą opisać najistotniejsze cechy jakiegoś zjawiska, fenomenu, czegoś, co się zdarza w świecie realnym – tłumaczy dr Marek Michalewicz, dyrektor ICM.

Wirtualne społeczeństwo

We współczesnym modelowaniu wyróżnia się dwa odrębne nurty i akurat w przypadku epidemii oba wyraźnie zaznaczyły swoją obecność. Jedna grupa to modele generatywne, które za pomocą wzorów i dokonywanych na ich podstawie wyliczeń pomagają zrozumieć ukryte mechanizmy rzeczywistości, jej własności, po to, aby przewidzieć dany efekt, pozostając w kręgu zainteresowania naukowców. Ale są też modele, które abstrahują od rzeczywistości, nie dotyczą jej, opierają się jedynie na zbiorach danych i nie wnikając w ich naturę, opisują zależności między nimi. Wykorzystywane są m.in. w rozwiązaniach z zakresu sztucznej inteligencji czy uczenia maszynowego.

– Nasz zespół pracuje na tym pierwszym rodzaju modeli. Polega to na tym, że kierując się najlepszą wiedzą, intuicją, przy użyciu matematyki i dynamiki układów złożonych, postulujemy pewne rzeczy: to zachodzi w ten sposób, a to w inny. Ponieważ

tych założeń jest bardzo dużo, siłą rzeczy nie wszystkie mogą być empirycznie sprawdzone. W takim modelu epidemiologicznym nie opisujemy wirusa, tylko społeczeństwo – tłumaczy dr Franciszek Rakowski, kierownik prac nad modelem ICM.

Jego rdzeniem jest wierne odzwierciedlenie struktury kontaktów społecznych w Polsce. Opisuje zatem wirtualne społeczeństwo, statystycznie równoważne temu realnemu. Też obejmuje około 38 mln obywateli, różnych pod względem płci, wieku, połączonych w tzw. konteksty, czyli gospodarstwa domowe, szkoły, zakłady pracy... Każdy człowiek jest w nim pojedynczą cząsteczką, bytem obliczeniowym, który się przemieszcza, spotyka z innymi i w ten sposób potencjalnie reprodukuje wirusa. To tzw. model agentowy. Bardzo duży, uwzględniający wiele aspektów geoprzestrzennych, nie jest łatwo go skonstruować. Pomysł metodologiczny na model jest podstawą działania. Matematycy, informatycy, obliczeniowcy muszą podchodzić do tego ze świadomością, że aby odzwierciedlić dany aspekt rzeczywistości, trzeba mieć konkretne dane. Jeśli ich brak, model nie powstanie.

W ICM wprowadzono trzy rodzaje danych, które dotyczą: struktury socjodemograficznej kraju, przebiegu choroby oraz przebiegu epidemii, a więc rejestrowane przypadki, przebywający na kwarantannie itd. To ogromne ilości informacji, pochodzących m.in. z Głównego Urzędu Statystycznego czy serwisu LandScan. Do ich przetworzenia niezbędny jest cały sztab ludzi, ale przede wszystkim duże moce obliczeniowe. W ICM wykorzystują do tego superkomputer Cray XC40 o mocy ponad 1 petafropa.

– Twierdzenie, że im więcej danych, tym lepszy model, jest nieuprawnione. Można zassać całą masę takich, które nie mają żadnego znaczenia i nic nie zmieniają. Za to powiedzenie, że im więcej właściwie wyselekcjonowanych danych, tym model lepszy, jest już jak najbardziej na miejscu. I w tym właśnie przejawia się cały kunszt modelarza, żeby ocenił, których danych i w jaki sposób użyć – wyjaśnia dr Rakowski, przywołując przykład modelu zachowania ludzi, w którym uwzględnienie koloru włosów czy oczu nie jest absolutnie konieczne. Za każdym razem decyzja o tym, które aspekty włączyć, a które pominąć, pozostaje w gestii modelarza.

Koronawirus jak grypa

Główną zaletą modelu epidemicznego przygotowanego przez ICM jest możliwość przewidzenia skutków hipotetycznych działań administracyjnych. Modelując w miarę dokładnie strukturę społeczną, da się bowiem nie tylko zobaczyć,



w jaki sposób wirus transmitowany jest w konkretnej populacji, ale i zasymulować, jaki wpływ na rozwój epidemii będzie miało otwarcie bądź zamknięcie szkół, granic czy określonych regionów. Co ciekawe, model przebiegu COVID-19 oparty jest na innym, stworzonym w ICM już przeszło dekadę temu na potrzeby epidemii grypy. Próbowano wówczas badać, jak zachowują się nowe szczepy wirusa wywołującego tę chorobę. Teraz postanowiono wrócić do tamtego rozwiązania, bo mimo różnic – czas inkubacji koronawirusa to czternaście dni, jedna osoba może zarazić przeciętnie pięć następnych – mechanizm rozprzestrzeniania się obu chorób jest taki sam: przenoszone są drogą kropelkową. Sięgnięto także po jeszcze jeden model – podróży, które obywatele odbywają po Polsce. W takim wykorzystywaniu jednych modeli do tworzenia czy uzupełniania innych nie ma niczego zaskakującego. W przypadku zjawisk rozwijających się w czasie to wręcz konieczność, by utrzymać skuteczność modelu.

– Im bardziej badamy epidemię, tym więcej rzeczy jest do opisania i włączenia do modelu. W nauce raczej nie ma zastosowania teoria mówiąca, by traktować ją jak mapę pokrywającą dane terytorium i jeśli je dobrze opiszesz, to dzieło można uznać za skończone. To raczej nadmuchiwany cały czas balon: eksploracja pola badawczego przynosi ciągle nowe tematy – tłumaczy dr Rakowski i dodaje, że jeśli wirus zacznie mutować, a w populacji będzie odporność tylko wobec pewnych jego szczepów, to wtedy będzie trzeba wprowadzić model mutacji i model odległości antygenowej, które podpowiedzą, jaka jest podatność na zachorowanie w zależności od różnicy pomiędzy szczepami dwóch organizmów.

Zdaniem naukowców z UW korzystanie z kilku modeli rozwoju epidemii jest ze wszech miar słuszne. Mimo współpracy między ośrodkami, świadomie nie zdecydowano się na uwspólnianie wyników tych prac. Gdyby bowiem w którymś zespole pojawił się błąd, obarczony nim mógł być wówczas cały model. A tego chciano uniknąć. W końcu określenie „modelowa rze-

czywistość”, opisujące idealny stan rzeczy, dla badaczy zajmujących się tą materią ma zgoła odmienne znaczenie.

– Zdajemy sobie sprawę, że żaden z tych modeli nie jest absolutną wyrocznią i dobrze, że wszystkie nie zbiegają się do jednego. Jeśli mamy cztery modele wiodące i będą one dawały podobne przewidywania, to będzie to bardziej wiarygodne niż gdyby było jedno wnioskowane z supermodelu – ocenia dr Rakowski.

A własności predykcyjne to kluczowa cecha modeli matematycznych, bez której ich wartość jest znikoma. Ba, korzystanie z nich może skończyć się w... więzieniu. Kilka lat temu głośno było o indyjskich meteorologach obwinianych za to, że nie przewidzieli nadejścia cyklonu, który okazał się zabójczy dla kilkudziesięciu osób. Po trzęsieniu ziemi we Włoszech na cenzurowanym byli sejsmolodzy, którzy też przecież, obok urządzeń monitorujących drgania, korzystają z modeli matematycznych.

Przypadek – tak, zabobon – nie

W drugą stronę też to działa. W Australii opracowano swego czasu związek chemiczny, który okazał się efektywny w leczeniu grypy. Sprawdzono to właśnie za pomocą modelu, który posłużył do odkrycia mechanizmu zapobiegania w przedstaniu się wirusa do organizmu. Modelować można także morfogenę roślin. Metoda zwana systemem Lindenmayera umożliwia przewidzenie kształtu, jaki roślina przyjmie w dorosłej formie. Taki model pokazuje, jak dorodne będzie drzewo za kilkadziesiąt lat, jak na jego wzrost wpłynie inne, które zasłoni światło, albo ograniczony dopływ czynników odżywczych do korzenia.

– Potęgą modelowania i nauk obliczeniowych bierze się stąd, że symulujemy zjawiska w dowolnej skali: od rozmiaru Wszechświata do poziomu molekularnego, a nawet składowych cząstek elementarnych. Wszystko można przełożyć na liczby, a jeśli wyniki się potwierdzą i są wartościowe, może to zapewnić sławę, a czasem nawet i bogactwo – śmieje się dyr. Michalewicz.

Modele mogą być konstruowane na podstawie obserwowanych i powtarzalnych następstw przyczynowo-skutkowych,

wyrażanych poprzez prawa fizyczne lub matematyczne formuły wiążące ze sobą różne składowe procesy albo korelacje wyekstrahowane z Big Data (na tym oparta jest sztuczna inteligencja, ale i np. w medycynie czy epidemiologii naukowcy często posługują się takim podejściem). W życiu dochodzą do tego jeszcze koincydencje, czyli różnego rodzaju przypadki, które z naukowego punktu widzenia są niczym innym, jak wyjątkiem od reguły. W społecznej świadomości ich znaczenie bywa jednak wyolbrzymiane.

– Kiedy przechodzę pod drabiną i nagle złamię nogę, to mimo że oba te zdarzenia nie mają ze sobą związku, ludzie i tak łączą jedno z drugim. To jest podstawa zabobonu, w którym przypadki marginalne urastają do prawideł – przekonuje dyrektor ICM.

W kierowanej przez niego jednostce nie ma mowy ani o wróżeniu z fusów, ani o zagładaniu do szklanej kuli. Wszystkie opiera się na twardych danych, a samo modelowanie daje tyle możliwości, jak żadna inna metoda poznawcza. No, może oprócz eksperymentu, ale ten z kolei nie zawsze da się zastosować. Jak zobaczyć powstawanie wszechświata? Albo zmiany

klimatyczne za sto lat? W laboratorium tego zrobić się nie da. Można jedynie modelować. Oczywiście pewna doza krytycyzmu jest wskazana, ale nie odrzucenie a priori.

– W historii nauki pierwszym stosowanym podejściem była analiza, która rozbiera rzeczy na czynniki pierwsze. Z czasem zaczęliśmy się przesuwać w drugą stronę i robić syntezę modeli. Teraz doszliśmy do modeli wieloskalowych. Komputery dają nam fantastyczne możliwości, czemu z nich nie korzystać – zachwyca się dyr. Michalewicz.

W ICM o potencjale tkwiącym w algorytmach wiedzą nie od dziś. Ich chlubą jest wprowadzony pod koniec ubiegłego wieku i utrzymywany operacyjnie do dziś numeryczny model prognozy pogody, obejmujący m.in. temperaturę, opady, ciśnienie, siłę wiatru i zachmurzenie. Wiele osób nie wyobraża sobie wyjścia z domu bez zajrzenia do serwisu meteo.pl. Ale i pandemię SARS-CoV-2 też przewidzieli. Już w 2018 roku zespół dr Anety Afelt alarmował na łamach „Frontiers in Microbiology” o tym, że w Azji Południowo-Wschodniej może rozwinąć się zagrażający człowiekowi nowy typ koronawirusa pochodzenia odzwierzęcego.

Henryk Grabowski

Czym jest nauka?

Jednoznaczna odpowiedź na pytanie, czym jest nauka, nie jest możliwa, ponieważ jest to pojęcie wieloznaczne. Można je rozumieć jako to wszystko, co stanowi przedmiot akademickiego kształcenia lub jako całokształt zgromadzonej wiedzy naukowej, ewentualnie jako ogół czynności związanych z tworzeniem wiedzy naukowej. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z nauką w rozumieniu instytucjonalnym, w drugim – w sensie przedmiotowym, w trzecim – z nauką w znaczeniu czynnościowym. Niektórzy również utożsamiają naukę z procesem przyswajania wiedzy, kiedy np. mówią, że nie mogą pójść do kina, bo mają dużo nauki. Jest to jednak wyraźnie trywialne rozumienie tego pojęcia.

W najbardziej lapidarnym ujęciu celem nauki w sensie czynnościowym jest szukanie odpowiedzi na pytanie, co od czego zależy. Uzyskana w ten sposób wiedza naukowa nie musi być bardziej przydatna praktycznie od wiedzy obiegowej. Z obserwacji potocznej wynika, że gdy nisko latają jaskółki, to będzie padało. Z badań naukowych wiadomo, że wilgotne powietrze przed deszczem zwiększa ciężar skrzydeł owadów, które przez to latają bliżej ziemi, co zmusza polujące na nie jaskółki do obniżenia lotów. Zarówno znawca mądrości ludowej jak uczonej postąpią jednakowo słusznie, jeżeli – widząc nisko latające jaskółki – zabiorą z domu parasol.

Imperatywem postawy naukowej jest sceptycyzm, który oznacza, że nie ma niepodważalnej wiedzy naukowej. Żadna liczba przesłanek prawdziwych nie gwarantuje bezwzględ-

nej prawdziwości wniosków. Wystarczy jeden przypadek odmienny, aby całe twierdzenie ogólne legło w gruzach. Wiedza potoczna nie wymaga żadnych uzasadnień. Wystarczy, że się w nią wierzy.

Klasycznym przykładem retoryki ujawniającej preferencję dla wiedzy obiegowej może być oświadczenie jednego z najbardziej prominentnych polityków, że nigdy nie szczepił się przeciwko grypie, bo nie. Wolno powiedzieć: jego zdrowie, jego prawo. Pod warunkiem, że nie pretenduje on do roli wzorca osobowego dla innych. Jest to bowiem publiczne propagowanie obskurantyzmu, które powinno być ustawowo zabronione, tak jak np. propagowanie pornografii dziecięcej.



for. Stefan Cichan

Podjęta ciągłość

Z perspektywy dwustu lat los Zakładu Ossolińskich nie wydaje się doświadczeniem historycznym zamkniętym, pozostając ciągle aktualnym wzorem podejmowania i realizowania idei spoza doraźnego horyzontu i wymiaru. W początkach XIX stulecia był to także wyjątkowy wzór niezwykle szczodrego mecenatu, jaki dzisiaj może i powinno sprawować przede wszystkim państwo.

Nie mamy w historii zbyt wielu dzieł, które trwają od początków w jednej z minionych epok do dzisiaj. Trwają, spełniając te same od początku zadania, modyfikowane jedynie zmianami cywilizacyjnymi, nie koniunkturą polityczną ani modą.

Takim dziełem jest Ossolineum, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, skarbnica książek i druków, muzeum zabytków oraz wydawnictwo, przez dwieście lat to samo, mimo okresów przymusowego zamknięcia, koniecznego kamuflażu w warunkach ideologicznej opresji i, co trzeba podkreślić, mimo niechcianej wędrówki z miasta na kresach wschodnich, Lwowa, do położonego nad zachodnią rzeką graniczną Wrocławia.

W 2019 roku prestiżową nagrodę Jerzmanowskich, przyznawaną z upoważnienia fundatorów przez Polską Akademię Umiejętności, otrzymał dyrektor Ossolineum dr Adolf Juzwenko, co daje asumpt do przypomnienia dziejów zakładu i szerszego kręgu związanych z nim elit kulturalnych.

Z Wiednia do Lwowa

Cała historia Ossolineum pokazuje ważne cechy postaw społecznych dużej części warstwy ziemiańskiej – w epoce zaborów – i przeważającej części inteligencji w międzywojniu oraz w PRL. Ostatni etap tej historii jest powrotem do zerwanej (szczęściem nieostatecznie) tradycji, podjęciem ciągłości. Wspomniane cechy to, mówiąc najkrócej: światły patriotyzm, dostrzeganie i rozumienie wspólnych potrzeb, odpowiedzialność wynikająca z tego, czym się góruje w społeczeństwie, i umiejętność służenia rodakom skutecznie.

„Myśl, iż mam żyć w pamięci moich współziomków, bliższego już zachodu starca, otuchą przyszłości chęci zagrzewa i siły pokrzepia. Pragnąłem jedynie zrobić przysługę mej ojczyźnie, rozciągnąć jej użyteczność do najdalszych pokoleń. Jeżeli nadając temu dziełu istnienie, nadałem i trwałość, celu mych zamiarów dopiąłem. Mogę rzec z Horacym: *Exegi monumentum aere perennis* (wybudowałem pomnik trwalszy niż ze spiżu)”. To słowa Józefa Maksymiliana Ossolińskiego pisane we Wiedniu, prawdopodobnie wtedy, gdy los jego życiowego przedsięwzięcia był już pewny, a wielu późniejszych zagrożeń nie można było przewidzieć. Jak nie można było przewidzieć wytrwałego, jak się okazywało skutecznego ich przezwyciężania, gdy się urzeczywistniały.

Z perspektywy dwustu lat los Zakładu Ossolińskich nie wydaje się doświadczeniem historycznym zamkniętym, pozo-

stając ciągle aktualnym wzorem podejmowania i realizowania idei spoza doraźnego horyzontu i wymiaru. W początkach XIX stulecia był to także wyjątkowy wzór niezwykle szczodrego mecenatu, jaki dzisiaj może i powinno sprawować przede wszystkim państwo. Dzieje Ossolineum są także rezerwuarem przykładów różnorodnych postaw i uwarunkowanych nimi działań obywatelskich, które nie przestają być aktualne w zmienionych warunkach ustrojowych, a także przy nowych możliwościach technicznych.

Za metrykę urodzenia Ossolineum uważają historycy 4 czerwca 1817 roku, kiedy to cesarz Franciszek I zatwierdził dokument ustanowienia biblioteki autorstwa fundatora. Warto przytoczyć próbkę, bowiem historia pokazała jak przenikliwym wizjonerem był Ossoliński, żyjący przed wielkimi wojnami, które przeorały porządek polityczny, prawny i terytorialny Europy. „Stanowię: 1. Wszystkie moje księgi drukowane, rękopisma, zbiory rycin, map, medali, obrazów, posągów, słowem wszystko, co do umiejętności i sztuki ściąga się, po moim zgonie w mojej własności znajdzie się, na założenie publicznej biblioteki w mieście stołecznym Galicji, Lwowie, przekazuję i przeznaczam (...). 3. Na tejsze Biblioteki utrzymanie i uposażenie dochód roczny 6 000 zł reńskich przeznaczam, który częścią z dóbr moich dziedzicznych (...) płaconym mieć chcę”.

We wrześniu tego samego roku pisał do matematyka i filozofa, Jędrzeja Śniadeckiego: „Fundowałem publiczną bibliotekę we Lwowie; zapisałem na nią wszystkie moje dobra w Galicji w ten sposób, że urząd kuratora biblioteki będzie sprawowany przez osoby z rodziny ode mnie wymienionych (...). Kurator ten będzie miał, pod dozorem Stanów, najwyższą zwierzchność i zawiadowanie dobrami, płacąc rocznie z nich na dochód biblioteki 24 tysiące złotych, mające być co 50 lat ewaluowane. Połączyłem publiczną z prywatną własność dla tym mocniejszego zagruntowania mego ustanowienia, ażeby od żadnej strony nie mogło być naruszone. Kupiłem na tę bibliotekę okazały kościół karmelitanek we Lwowie. Cesarz potwierdził instytut w swej zupełności oraz w protekcję przyjął”.

Równie jasno i konkretnie zapisał Ossoliński warunki zarządzania księgozbiorem, obowiązki i uprawnienia kuratora literackiego czuwającego nad całością spraw Biblioteki, przywileje czytelników, które umożliwiały korzystanie z księgozbioru także w domu (przy oczywistych ograniczeniach), co

było ważne w okresach zaostrzeń cenzury i wzmożonej kontroli austriackich urzędników.

W roku 1823 nastąpiło znaczne powiększenie zasobów Biblioteki, ale także, co w różnych momentach historycznych okazywało się ważniejsze, umocnienie jej trwałości. Ossoliński zawarł umowę z księciem Henrykiem Lubomirskim, właścicielem Ordynacji Przeworskiej, działaczem politycznym i mecenasem sztuki, zapewniającą dziedziczenie funkcji kuratorów przez jego potomków. Biblioteka im. Ossolińskich posiadała odtąd, obok zbiorów fundatora, kolekcje Lubomirskich, składające się z ksiąg, obrazów, medali, starożytności... W umowie zapisano, iż mają one „po wieczne czasy” nosić miano Muzeum Lubomirskich. Miało to znaczenie w najnowszej historii Ossolineum i już teraz warto powiedzieć, że naprzeciw wrocławskiej siedziby Zakładu Narodowego stanie w nieodległej, jak się zdaje, przyszłości specjalnie wybudowane Muzeum Lubomirskich.

Ossolińczycy

Po śmierci Józefa Maksymiliana Ossolińskiego w roku 1826 jego zbiory ofiarowane ojczyźnie (miasto Lwów było siedzibą, nie właścicielem, co ma znaczenie w pertraktacjach z Ukraińcami), przewieziono z Wiednia do Lwowa. Pierwszym dyrektorem zakładu został Franciszek Siarczyński, któremu przypadły zadania głównie organizacyjne i pilnowanie prac budowlano-adaptacyjnych. Zaczął jeszcze przed ich końcem wydawać czasopismo naukowe, co stanowi intelektualną metrykę urodzenia Ossolineum, zarazem początek konsolidowania się, galicyjskiej najpierw, elity wokół nowego ośrodka kultury. Od tego początku był on, zgodnie z wolą fundatora, naznaczony myślą patriotyczną, co trafnie odczytywała zaborcza cenzura, ingerując często i bezwzględnie.

Wybuch powstania listopadowego w Królestwie Polskim poddał próbom więzi ideowe łączące pracowników zakładu, z których wychodzili jako silna już wspólnota. W połowie 1831 roku dyrektorem został Konstanty Slotwiński, osobiście zaangażowany w działalność narodowyzwoleńczą, któremu udało

się rok później otworzyć czytelną zakładu i drukarnię z litografią, co umożliwiło intensywny rozwój wydawnictwa. Rychło jednak nadeszły represje. W marcu 1834 roku dyrektor pisał ze Lwowa do Henryka Lubomirskiego: „Dzień dzisiejszy miał dla mnie wielkie nieprzyjemności, ale szczęśliwie minęły. Rząd łaskawy i sprawiedliwy kazał zamknąć drukarnię instytucyjową, przez Najjaśniejszego Pana pozwoloną – dlaczego? Bo zawiadowca (Ząbkowski) nie jest obywatelem austriackim. Co większa, bez wyroku, bez uprzedniego uwiadomienia nasłano komisarza policji z dwoma rewizorami i kazano zapieczętować prasy. Oparłem się tej dowolności, protestując najsolemniej w imieniu Zakładu, opieką Najjaśniejszego Pana zaszczyconego, bo wiem, że łatwiej zapieczętować niżeli odpieczętować, a tak drukarnia przez kilka miesięcy niewypowiedzianą szkodę ponieść by musiała. Przyjąłem więc na siebie całą odpowiedzialność i tym sposobem wstrzymałem na chwilę zapieczętowanie...”

Narodziny w dobie niewoli, przy wytkniętym jasno celu, jakim było oświecanie narodu, służba nauce, by nie odstawała od głównego światowego nurtu, danie do wypełniania tych zadań potrzebnych narzędzi – wszystko to warunkowało ukształtowanie się środowiska ludzi światłych o rozległych horyzontach, zarazem o silnych charakterach i odważnych w obronie instytucji, z którą szybko się identyfikowali.

Wydarzenia epoki rozbiorowej przynosiły Ossolineum i Ossolińczykom gwałtowne nieraz odmiany losu. Oddzielenie granicą zaboru Galicji od Królestwa – kolebki powstań narodowych – nie zwiększało bezpieczeństwa, bo też oddziaływanie Zakładu Narodowego bardzo szybko wykroczyło poza tę granicę.

W lutym 1835 roku, gdy Slotwiński siedział w więzieniu za drukowanie konspiracyjnych tekstów w zakładowej drukarni, Henryk Lubomirski pisał do Wydziału Stanowego: „Cały personel, będący przy Zakładzie, użyty jest ciągiem do spisywania, tak bardzo każdej bibliotece potrzebnego, katalogu kartkowego, za pomocą którego wszystkie inne katalogi już z największą łatwością sporządzane być mogą. Kilkadziesiąt tysięcy kartek już jest spisanych. Jest to robota prawdziwie nagła i nie-



Gmach Ossolineum we Lwowie, początek XX wieku. Źródło: ossolineum.pl

zbędnie potrzebna, a gdy się ukończy, (...) postawi Książnicę naszą w rzędzie pierwszych w Europie”.

Wstrzeźliwie prorocstwo. Spełniło się na przekór przeciwnościom, jakie Ossolineum dzieliło z Polską i Polakami, a za sprawą swoich pracowników i mecenasów, którym przeciwności dziejowe sprzyjały w umacnianiu przywiązania do dzieła, jakie współtworzyli. Opresje i niedole czasu galicyjskiej rabacji w okresie Wiosny Ludów, powstania styczniowego, pierwszej wojny światowej, która we Lwowie skończyła się dopiero w roku 1919 ostatecznym zwycięstwem nad Ukraińcami – wszystko to były kolejne, coraz bardziej wspólne przeżycia coraz szerszego kręgu Ossolińczyków. Jan Parandowski, przysły pisarz, wtedy student Wydziału Filozoficznego UJK, zanotował w grudniu 1919 roku: „Zwiedzałem Ossolineum, witając się ze starymi murami po zawierusze wojennej i szukając w nich jej śladów. Nie były zbyt liczne, najmniejszy jednak przejmował trwogą, bo wszystko tu mogło się skończyć katastrofą. Gdy tak wędrowałem korytarzami książek, tymi ciasnymi przesmykami biegnącymi między rzędami półek, trafiłem na półkę, którą kula przewierciła na wylot, a nawet wgrzyzała się w najbliższą książkę. Wyjąłem książkę, a kula z niej wypadła. Był to tom *Scriptores historiae Augustae*, miejsce zaś, gdzie kula się zatrzymała, zaznaczyła ostrym odciskiem, jakby chciała je podkreślić. Było to zdanie: »Teraz, kiedy cesarz Probus pobił barbarzyńców, nie będzie już nigdy wojny«. Napisał je w roku 276 naszej ery zacyt Flavius Vopiscus”.

Wojna miała przyjść po dwudziestu latach i odmienić zasadniczo los narodowej książnicy, która w dwudziestoletniej przerwie osiągnęła pozycję najpierwszego w Polsce i znaczącego w Europie wydawnictwa książek naukowych, a także serii znakomicie naukowo opracowanych arcydzieł rodzimej klasyki, przekładów, lektur szkolnych.

W 1928 roku obchodzono uroczyste stulecie przybycia do Lwowa wiedeńskiego księgozbioru Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Ówczesny kustosz Zakładu Narodowego, Władysław Tadeusz Wisłocki, pisał w artykule jubileuszowym: „Jeśli fundacja Ossolińskiego rozrosła się do takich rozmiarów, uczyniła

i czyni tak wiele dla społeczeństwa polskiego nie tylko na polu nauki i sztuki, ale również pracy społecznej i podtrzymywania ducha narodowego, jeśli zdołała pozyskać taką sympatię w społeczeństwie, jaką się do dziś cieszy, to jest to w dużej mierze skutkiem szczęśliwego doboru ludzi, którzy – zajmując stanowiska kierownicze czy też urzędnicze w Ossolineum – poświęcali mu całą swoją energię, wiedzę i przede wszystkim... serce”.

Zakusy

Druga wojna światowa przyniosła „zawsze wiernemu” miastu dwie okupacje. Zarówno hitlerowskie Niemcy, jak Związek Sowiecki stawały Ossolineum przed groźbą zawłaszczenia zbiorów, a działania wojenne narażały je na zniszczenie. Ani jednego, ani drugiego nie udało się całkiem uniknąć. Sowietci formalnie przekształcili Zakład Narodowy im. Ossolińskich w bibliotekę ukraińskiej, a de facto moskiewskiej akademii nauk.

Ossolińczycy przeszli tę próbę heroicznie, pracując bez wytchnienia nad zabezpieczeniem zbiorów przed zniszczeniem po bombardowaniach i nad ratowaniem przed represjami pracowników, ale i autorów książek naukowych, chowając głęboko te, które były ideologicznie wrogię marksizmowi, wycofując karty katalogowe książek antyniemieckich (dokładniej: antyfaszystowskich) autorstwa żyjących uczonych.

Kiedy Lwów, decyzją zwycięskich mocarstw, przypadł sowieckiej Rosji, los Ossolineum okazał się nie mniej złowrogi niż podczas wojny. Po dysputach wśród intelektualistów planujących rozwój kultury polskiej w nowych, nie do końca przewidzianych warunkach, argumentowano za przeniesieniem części (zwróconej nam przez Ukraińców) zbiorów Zakładu Narodowego do Wrocławia, gdzie znalazło się wielu profesorów lwowskich i powstawał polski uniwersytet.

Stopniowo zacieśniał się ideologiczny gorset, w jaki władze skrepowały instytucje kulturalne, podporządkowując je centralnemu zarządzaniu. W lipcu 1953 roku Ossolineum włączono do Polskiej Akademii Nauk, instytucji państwowej utworzonej na gruzach samorządnych organizacji uczonych – PAU



Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. Źródło: polska.org.pl

i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, dzieląc na dwie części: Bibliotekę PAN i Wydawnictwo PAN. Dane mi było poznać obie. W czytelni biblioteki spędzałam każde niemal popołudnie przez cztery lata studiów, które w przypadku polonistyki polegały na czytaniu lektur i opracowań. W wydawnictwie dostałam pierwszą w życiu pracę – najpierw w korekcie, później w dziale reklamy (nie przypominaj dzisiejszych odpowiedników).

W bibliotece – od szatni po katalog – czuło się trudne do wyrażenia „lwowskie dostojęństwo”, klimat najwyższej intelektualnej miary. Potwierdzali to koledzy przybyli na studia z różnych miejsc, nie tylko lwowianie i niekoniecznie słuchacze lwowskich profesorów, zajmujących w czytelni stałe miejsca.

W maju 1951 roku wisiał w gazetce ściennej artykuł (podpisany nazwiskiem) z takim tekstem: „Odbyło się na terenie Biblioteki uroczyste otwarcie Gabinetu marksizmu-leninizmu jako specjalnego działu Biblioteki (...). Jest to poważnym osiągnięciem z uwagi na szczególne zadanie, jakie winny dziś spełniać biblioteki w walce o zrealizowanie planu 6-letniego na odcinku kulturalnym. Jeśli biblioteki stać się winny ważnymi narzędziami budowy socjalizmu w Polsce, jeśli zadanie ich polega na aktywnym współdziałaniu w socjalistycznym wychowaniu społeczeństwa (...) tedy biblioteka Ossolineum staje dziś na wysokości zadania”. Nie sposób rozstrzygnąć, czy deklaracje tak ostentacyjne były serwitutem świadomie świadczonym narzuconej władzy, której oczekiwania w tym względzie nie wymagały subtelniejszych sformułowań, ale z perspektywy odzyskanej w 1989 roku suwerenności trzeba docenić skumulowane wysiłki Ossolińczyków, które sprawiły, że zahamowaną na ponad pół wieku ciągłość służby narodowej kulturze, pełnionej na najwyższym poziomie wiedzy i ofiarności, można było podjąć – zgodnie z wolą fundatora i środowiska, jakie zapoczątkował.

Powrót

Z doktorem Adolfem Juzwenko, dyrektorem Ossolineum od 1990 roku, rozmawiałam kilkakrotnie, także w chwilach trudnych, kiedy „przeszłości mary” przeszkadzały w powrocie zakładu do stanu, jaki wyznaczył mu dwieście lat temu Józef Maksymilian Ossoliński, a które to przeznaczenie bynajmniej się nie zdezaktualizowało.

Długo krwawiącą raną był antagonizm (mówiąc ogólnie) powodowany odmową zwrócenia nam zbioru prasy polskiej (jedyne kompletnego), który niszczał w złych warunkach we Lwowie, nie mając dla Ukraińców porównywalnej wartości.

Adolf Juzwenko – w nowych warunkach ustrojowych – postawił sobie za cel nawiązanie zerwanej ciągłości dziejowej, przywrócenie tradycji, a dokładnie nadanie narodowej skarbnicy właściwego jej statusu, jaki bardzo konkretnie opisał w swoim „Ustanowieniu” fundator, a uzupełniała je „Ustanowa” Ordynacji Przeworskiej Lubomirskich. Wedle tych dokumentów Zakład Narodowy im. Ossolińskich stanowią: Biblioteka, Muzeum Lubomirskich i Wydawnictwo. Odtwarzanie tej całości wymagało trudnych negocjacji, dalekowzrostnych przewidywań i dyplomatycznych umiejętności.

Piątego stycznia 1995 roku Sejm Rzeczypospolitej przywrócił zakładowi status fundacji dobra publicznego, co przyniosło falę darowizn, depozytów, zapisów testamentowych – świadectwo pamięci i ufności pokładanej w instytucji powierzonej, w przeważającej mierze, obywatelskiej trosce. Przypomnę, że swoje cenne archiwa zdeponowali w Ossolineum m.in. Władysław Bartoszewski i Jan Nowak-Jeziorański. Wydawnictwo stało się przedmiotem sporu między PAN i Ossolineum; wróciło w jego strukturę dopiero w 2013 roku.

Wśród nowych kuratorów znaleźli się: Władysław Bartoszewski (miałam okazję rozmawiać o tym z profesorem w wywiadzie dla „Odry”), Mieczysław Ledóchowski, Jan

Nowak-Jeziorański. Ten ostatni mówił w styczniu 1997 roku: „Trzeba popularyzować Ossolineum, tłumaczyć ludziom, jaką wartość ma ta placówka, jak powstała, jak rosła, jakie znaczenie dla kultury polskiej posiadają te zbiory i dlaczego powinny w całości znaleźć się w Polsce. Muszą być ludzie, poza samą dyrekcją Zakładu, naprawdę tej idei oddani, którzy będą chcieli i umieli wyraźnie ją artykułować w rozmowach z Ukraińcami, nie wywołując zadrażnień. Przemilczanie wcale nie pomaga dialogowi obu narodów, bo pozostawia urazy”.

Dyrektor Juzwenko prowadził (i prowadzi) dialog skutecznie; etapy tej drogi warte są osobnej opowieści, łącznie z dokładnym opisem obecnej sytuacji. Określając najkrócej, teraz jest to dialog osób życzliwych, po obu stronach, przy podejrzliwej czujności części władz ukraińskich.

Uczyniwszy Zakład Narodowy fundacją, jaką był z woli Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, późny wnuk postarał się o odnowienie i utrwalenie związków z Lubomirskimi, żeby mógł się odrodzić trzeci integralny jego człon. Sam tak to opisał: „Ponieważ ordynacja przestała istnieć w 1945 roku, istniało zagrożenie, że pojawią się roszczenia spadkobierców. Postanowiłem ich odnaleźć. Okazało się, że pozostali jedynie spadkobiercy po kądzieli: Elżbieta Rufener-Sapieha w Szwajcarii, Eustachy Sapieha w Kenii, Antoni i Andrzej Potuliccy w Stanach Zjednoczonych, Kazimierz Potulicki w Kanadzie oraz Jadwiga Sierakowska-Rej w Luksemburgu. Wszystkich ich zaprosiliśmy na Zamek Królewski w Warszawie, gdzie 17 września (2002) podpisaliśmy uroczyste postanowienie. Jego sygnatariusze, biorąc pod uwagę historię, tradycję i wcześniejsze zapisy stanowiące Ossolineum, zwrócili się do wszystkich członków rodziny o to, by wspierali działania Ossolineum na rzecz odzyskiwania zbiorów Lubomirskich, w celu odtworzenia w strukturach zakładu Muzeum. Równocześnie zadeklarowali, że nie wystąpią z żadnymi roszczeniami, ale będą wspierać Ossolineum”.

W roku 2006 otwarto we Wrocławiu Muzeum „Pana Tadeusza”, którego centralnym zabytkiem jest rękopis eposu narodowej, a całość nowoczesnej placówki pokazuje istotę polskiego romantyzmu. Sam rękopis, zdeponowany w Ossolineum we Lwowie przez właściciela, Artura Tarnowskiego, w roku 1939, przeszedł dramatyczną wojenną peregrynację, by, zakupiony w 1999 roku przez miasto Wrocław, stać się własnością Zakładu Narodowego.

* * *

Dwa wieki dziejów Ossolineum zawierają niejedną cenną naukę dla potomnych. Przypominając je w wielkim skrócie posiłkowałam się książką pt. *Skarbie*, w opracowaniu Marty Markowskiej, która też dokonała wyboru bardzo licznych cytatów, przygotowaną wspólnie przez Ośrodek KARTA i Ossolineum, wydaną przez to ostatnie w roku 2007.

W tej, tak często dramatycznej, historii szczególnie godną uwagi i naśladowania wartością jest, moim zdaniem, które tu powtórzę, powstanie i rozwój środowiska, które szybko pojęło znaczenie instytucji, jaką współtworzyło i zidentyfikowało z nią swoje życiowe cele. Naturalną tego konsekwencją stała się ofiarna służba, bez względu na trudności i zagrożenia – niezwykle owocna.

Rozwój kultury zawsze potrzebuje takich gremiów i zawsze umięją one posługiwać się autentycznymi kryteriami oceny, zarówno aktualnej sytuacji, wynikających stąd zadań, jak też ludzi, którzy zadania podejmują.

Obserwując działalność (archiwalną, wystawienniczą, odczytową), czytając wydawane książki, sądzę, że dzisiaj takim środowiskiem jest już i ciągle się staje właśnie „Karta”. W porównaniu z Ossolineum ma niedługą jeszcze historię, ale analogiczną metrykę. To wyróżnia i zobowiązuje.

Lityńscy

Do pionierskich zasług profesora należy zainicjowanie badań nad skażeniem gleb promieniotwórczym izotopem strontu, co przewidział jako potencjalne zagrożenie w epoce rosnącego stosowania pierwiastków promieniotwórczych.

W rodzinach inteligenckich, w których jedno z pokoleń gremialnie idzie do nauki, bywa nierzadko tak, że jego przedstawiciele wybierają wspólny obszar badań. Jeśli są pierwszym pokoleniem uczonych, nie ma obaw przed konkurowaniem z przodkami, a osiągnięcia będą oceniać następcy. Tradycja naukowa w rodzinie Lityńskich ma taki właśnie rodowód i ma szansę trwania nawet wtedy, gdy tylko część potomków zechce ją kontynuować i będzie to czynić w innych dziedzinach oraz specjalnościach.

Na polach i łąkach

Urodzony w 1901 roku w Dzikowie (dawne gniazdo rodowe Tarnowskich, dzisiaj w powiecie tarnobrzeskim) Tadeusz Erazm Lityński najszerszej traktował przedmiot swoich zainteresowań, tj. uprawianie roślin, a także czerpanie pożytków z tych rosnących naturalnie. Skończył krakowskie gimnazjum, po czym studia chemiczne. W roku 1926 uzyskał stopień doktora filozofii w UJ, a dziesięć lat później docenta fitochemii w tej samej uczelni. Ze światem roślin i krakowskim środowiskiem akademickim związał się na całe naukowe życie.

Drogę akademicką poprzedziło i w początkowym okresie towarzyszyło jej nauczanie chemii oraz fizyki w gimnazjach, co odnotowują jako element tradycji inteligenckiej wart naśladowania, choć zdają sobie sprawę, że to dzisiaj postulat raczej utopijny.

Tadeusz Lityński został profesorem nadzwyczajnym w roku 1946 i wtedy objął Katedrę Chemii Rolnej. W latach 1947–1951 był dziekanem Wydziału Rolniczego UJ. Z placówkami zajmującymi się stosowaniem nowych osiągnięć chemii w szeroko traktowanym rolnictwie, profesor (od 1956 r. zwyczajny) współpracował w Krakowskiej Wyższej Szkole Rolniczej, której prorektorem był w latach 1959–1962, a także w Instytucie Gleboznawstwa, Chemii Rolnej i Mikrobiologii, gdzie pełnił funkcję dyrektora w okresie 1970–1971.

Równie intensywny wątek aktywności stanowiło kształcenie. Zajęcia dla uczniów przedłużyły się w tajnym nauczaniu podczas wojny – obok, także tajnej, dydaktyki uniwersyteckiej. Zasłużył się wtedy ryzykownym ratowaniem aparatury naukowej i książek przed grabieżą przez hitlerowców.

Liczba miejsc, w których Tadeusz Lityński prowadził badania, kierował nimi i wykladał, pokazuje dążenie do pomnażania i upowszechniania wiedzy o nowoczesnych możliwościach rozwijania rolnictwa w warunkach aktualnego i przewidywanego wzrostu zapotrzebowania na jego produkty. Najważniejsze prace opublikował w czasach, kiedy w różnych specjalno-

ściach nauk biologicznych dokonywano odkryć obiecujących postęp uprawy roślin gospodarczych, a badania interdyscyplinarne dopiero się rodziły.

Wiele uwagi profesora zajęły nowe nawozy, jakich stosowanie dyktowały aktualne potrzeby. Opracował oryginalną metodę obliczania dawek nawozów wapniowych, szereg procedur agrotechnicznych ułatwiających uprawę roślin i uproszczone sposoby oznaczania wartości czynników waznych w uprawie zbóż. Do pionierskich zasług należy zainicjowanie badań nad skażeniem gleb promieniotwórczym izotopem strontu, co przewidział jako potencjalne zagrożenie w epoce rosnącego stosowania pierwiastków promieniotwórczych.

Dorobek naukowy profesora Lityńskiego stanowi ponad dwieście prac, w tym podręczniki akademickie, ale także rola redaktora naczelnego takich m.in. czasopism jak: „Acta Agraria et Silvestria”, „Zeszyty Naukowe AR w Krakowie”, „Polish Journal of Soil Sciences”, praca w towarzystwach nauk rolniczych i związanych z rolnictwem gremiach decyzyjnych. Był członkiem korespondentem PAU i PAN. Zmarł w roku 1985 w Krakowie.

Uczone zielarstwo

Żona Tadeusza Lityńskiego, Halina Jurkowska, także jest profesorem i także „od roślin”. Zajmuje się chemią lekarską, w tym chemią związaną z uprawą ziół leczniczych i tych używanych do wyrobu kosmetyków albo wprost stosowanych jako kosmetyki. Kieruje Katedrą Chemii Lekarskiej UJ. W Collegium Medicum UJ otrzymała w roku 2008 stopień doktora medycyny.

W opublikowanej wspólnie z mężem książce pt. *Żyzność gleby a odżywianie się roślin* pisała: „Zadaniem rolnictwa jest wyprodukowanie możliwie jak najwięcej dobrej jakości płodów rolnych, stanowiących pokarm dla ludzi, paszę dla zwierząt oraz surowiec dla niektórych przemysłów”. Pani profesor prowadzi badania związane z tym ostatnim zadaniem rolnictwa, poznając przydatne dla zdrowia i dobrej kondycji cechy ziół, warunki ich uprawy i przetwarzania. Katedra prof. Jurkowskiej-Lityńskiej współpracuje od szeregu lat z rosyjskim Instytutem Naukowo-Badawczym BIOLIT w Tomsku i jego firmą produkującą prozdrowotne suplementy diety, oparte w przeważającej mierze na ziołach pochodzących z Altaju. W 2019 roku produktom firmy BIOLIT przyznano Międzynarodowy Certyfikat Jakości Quality Alliance, co uwierzytelnia jej działania prowadzone na polskim rynku. A na polskim rynku są produkty firmy przeznaczone dla osób różnego wieku, do wspomagania różnych układów organizmu (trawienny, oddechowy, nerwowy...)

i te budzące duże zainteresowania, do pielęgnacji urody. Prof. Jurkowska-Lityńska uprawia i organizuje także inne działania służące zdrowemu stylowi życia: wykłady weekendowe on line, warsztaty mykologiczne w lesie, Letni Uniwersytet Zdrowia.

Wszyscy uczeni członkowie rodziny Lityńskich (jak bardzo wielu przedstawicieli każdego pokolenia inteligencji) angażują się tam, gdzie pilnie potrzeba rozwiązywania istniejących problemów i ujawniania nowych. Jest tak zwłaszcza na pograniczach epok historycznych, kiedy zmieniają się warunki cywilizacyjne, ale także wtedy, gdy w czasach stabilnych rodzą się w społeczeństwach i przybierają na sile nowe potrzeby. Tak jest z chemią lekarską, która stanowi boczny wartki nurt, wielkiego obszaru starań o zdrowie i dobrostan.

Halina Jurkowska Lityńska czyni takie starania przedmiotem badań naukowych, co weryfikuje krążące paranaukowe mniemania, „dobre rady”, wskazując rzeczywiste czynniki, od jakich zależy nasze zdrowie.

Gwarancja plonów

Starszy brat profesora, Marian Lityński, urodzony w roku 1899 w Tarnobrzegu, po krakowskim gimnazjum ukończył studia rolnicze w UJ w roku 1921, po czym objął stanowisko dyrektora Wydziału Doświadczalnego Towarzystwa Gospodarskiego Małopolski Wschodniej we Lwowie, zajmując je przez dziesięć następných lat. Równocześnie wykładał w Szkole Głównej Gospodarskiej w pobliskim Snopkowie, co jest ważnym faktem, jako że ta uczelnia słynęła z doskonałości oraz nowoczesności i jest skrupulatnie odnotowywana w biografii. Później Marian Lityński uczył w różnego stopnia szkołach rolniczych, m.in. w Zaleszczykach, Czernichowie, na warszawskim Ursynowie. W roku 1934 uzyskał doktorat z nauk rolniczych na podstawie wyników badań prowadzonych równoległe z pracą nauczycielską.

Oba zajęcia przerwała druga wojna światowa. Marian Lityński był więźniem obozów w Auschwitz, Oranienburgu i Buchenwaldzie, działał w konspiracyjnym ugrupowaniu Kadry Polski Niepodległej, będąc szefem jej sztabu.

Po wojnie zaangażował się w działalność na rzecz praktyki w zakresie rolnictwa, zarazem kontynuując pracę naukową. Pierwszą służył jako naczelnik Departamentu Oświaty w Ministerstwie Rolnictwa, badania prowadził w Katedrze Warzywnictwa oraz Oddziale Ogrodnictwa, którymi kierował na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej (taką nazwę nosiła początkowo podzielona później przez władze uczelnia) w latach 1947–1954. W roku 1954 rozpoczął tworzenie od podstaw Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie, przekonany, że pilnie potrzeba uczelni kształcących specjalistów w zakresie różnych zagadnień nowoczesnego rolnictwa i że powinny one pokrywać równomiernie obszar kraju. W roku 1962 został rektorem szczecińskiej WSR, rozpoczynając jednocześnie pracę w Katedrze Biologii Nasion i Nasiennictwa analogicznej placówki w Poznaniu, którą kierował do emerytury (1970).

Najważniejsze osiągnięcia i większość publikacji naukowych Mariana Lityńskiego dotyczy właśnie nasiennictwa i zawiera nowatorskie interpretacje związków materiału siewnego z nawożeniem, w którym nastąpiły w drugiej połowie ubiegłego wieku radykalne zmiany. Pracą pionierską są *Biologiczne podstawy nasiennictwa* (1982). Na rzecz upowszechniania i stosowania w praktyce osiągnięć badawczych działał w polskich i międzynarodowych towarzystwach oraz komitetach naukowych.

Angażując się w praktykę gospodarczą w warunkach powojennych profesor nie uniknął afiliacji politycznych. W 1945 roku został członkiem Krajowej Rady Narodowej, reprezentu-



Tadeusz Erazm Lityński

Źródło: A. Śródka, Uczeń polscy XIX–XX wieku

jąc okręg warszawski. Należał do Stronnictwa Pracy i dwukrotnie był posłem na Sejm (po raz drugi po październikowej odwilży). Zmarł w roku 1984.

Zastanawiając się nad oceną tego wątku biografii, pamiętając, że powtarzał się w szeregach inteligentów, których życie wojna przepołowiła, staram się wyważyć – na ile to możliwe *ex post* – racje, jakimi się kierowali. W przypadku rodziny Lityńskich mam pomoc w opinii kogoś znającego tę rodzinę długo i blisko, kto twierdzi, że nie było tam wahań powodowanych względami innymi jak dobro nadrzędne, że rozpoznanie, co jest ważne, żeby mu służyć, nie budziło wątpliwości, tak samo jak granica dopuszczalnych ustępstw.

Rozmowy o rodzinie Lityńskich kierowały moją uwagę na podstawowe zadania inteligencji, spełniane bez ich formułowania, choć nie instynktownie, lecz w wyniku przemyśleń i postanowień dotyczących sposobu wykonywania, nie samego podejmowania zadań. Po wielu takich rozmowach wydaje się uprawniona supozycja, że sednem etosu inteligenckiego jest właśnie podejmowanie zadań. Zupełnie tak samo od początku, tj. od połowy XIX stulecia, kiedy warstwa inteligencji zajmowała w Polsce społecznie znaczące miejsce, do dzisiaj, kiedy różnicowała się na wyspecjalizowane profesje, ale nie rozdzieliła przez to.

Rzadko słyszę formułowane *expressis verbis* zobowiązania czy postanowienia. Na pytanie o bliskie zamiary moi rozmówcy wymieniają jednak działania wykraczające poza obowiązki zawodowe, a przynajmniej wskazują, co należałoby zrobić w szerszej niż zawodowa sferze życia obywatelskiego. Jest w tym poczucie posiadanego (wciąż jeszcze) autorytetu i wynikających stąd konsekwencji. Dlatego warto poznać ludzi obdarzonych autorytetem w minionych i współczesnych pokoleniach.

Trzy drogi integracji

W XIX wieku działalność towarzystw lokowano – co podkreślał Józef Majer – w sferze życia prywatnego, nie były więc obiektem ingerencji administracji rządowej – tym różniły się od uniwersytetów. Mimo to administracja państw zaborczych utrudniała samoorganizację towarzystw naukowych.

Sposobem uwznioślenia działalności towarzystw naukowych i zbliżenia ich do nauki uprawianej na uniwersytetach była akademizacja. Geneza idei „czystości” odbiegała początkowo od formującej się w starożytnych Atenach akademickości. „Czyste” zamiłowanie do mądrości – filozofia, było skierowane na osobiste poszukiwania prawdy o rzeczywistości i stosowne przemyślenia. Upowszechnianie wiedzy i tej postawy przybrało formę Akademii Platonskiej. Przetrwiała tysiąc lat. Nawiązała do niej dopiero Aldi Neacademia – towarzystwo zgrupowane wokół weneckiego drukarza, filhellena Aldusa Manutiusa (1449-1515). Przygotowywano w tym kręgu do druku edycję tekstów antycznych, głównie autorów greckich, drogą wzajemnej konsultacji. Jak relacjonował Samuel Sorbière rozmowę z Kartezjuszem (za: Krzysztof Pomian, *Przeszłość jako przedmiot wiedzy*, 2010): „filozofuje on z zamiarem zdobycia rozgłosu czy nawet zostania przywódcą sekty (...) pragnąłbym, by filozofował on dla filozofowania, jedynie w interesie prawdy, dla swojej własnej satysfakcji i z całą obojętnością dla reputacji i dla rozgłosu, jaki zdobywa sobie w akademiach”.

Na podstawie wzoru Manutiusa uformowała się tradycja „akademii mariańskich”. Jeszcze w epoce oświecenia posługiwano się określeniem „akademia” wobec okazjonalnych spotkań różnych osobistości. Takim była zorganizowana 7 i 9 grudnia 1753 roku przez ks. Józefa Andrzeja Załuskiego Akademia Mariańska w Warszawie. W zaproszeniu opublikowanym w „Kurierze Polskim” (z 31 X 1753) zapraszano do sali Biblioteki Publicznej na spotkanie zorganizowane w „trybie włoskim”. Wyjaśniano, że Akademia to „akt publiczny krasomówstwa i rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu literatowi, czy Polakowi, czy cudzoziemcowi, prozą czy wierszem i jakimkolwiek tylko językiem czytać publicznie, swoje lukubracje” – wszystko z myślą o „chwale nieskończonej Najświętszego Boga Rodzicy Maryi Panny”. Mimo planów nie znalazła ta Akademia kontynuacji. Dopiero w 1766 roku bp Załuski opatrzył tym mianem dwa popisy publiczne, połączone z konkursem literackim w gronie uczniów trzech szkolnych kolegów warszawskich. Ta działalność znalazła ciąg dalszy w formie powszechnie znanych, świeckich szkolnych „akademii”. W towarzystwach działających pod mianem akademii tematy bliższe były różnym dziedzinom wiedzy, ale stroje i gesty oraz zachowania podporządkowane były nadal celebrze.

W sferze życia prywatnego

W statucie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego z 20 października 1848 roku wprowadzono rozróżnienie celu działania na część „akademiczną” – obejmującą „postęp wiadomości w obrębie wszelkich nauk, umiejętności i sztuk uważanych samych w sobie” oraz część utylitarną – zakładającą „wpływ na rozszerzenie i upowszechnianie oświaty w narodzie”. W statucie zatwierdzonym 13 maja 1856 roku utrzymano tylko część „akademiczną”. W dniach akademizacji, w końcu czerwca 1871 roku, Józef Majer zgłosił Komitetowi Towarzystwa projekt powołania „c.k. Instytutu Polskiego w Krakowie”, złożonego z Akademii Nauk (obejmującej wyłącznie dyscypliny przyrodniczo-matematyczne i lekarskie) oraz Towarzystwa Przyjaciół Nauk, złożonego z miłośników nauki i fundatorów. Zablockował ten projekt Karol Estreicher st. Komitet odroczył 8 lipca 1871 roku debatę do czasu nadejścia wytycznych od ministra Józefa Jirečka. Estreicher konkludował: „Utrzymanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk byłoby tylko utrzymaniem dyletantyzmu”. Optował za przebudową towarzystwa w Akademię Umiejętności. Zgodnie z jego koncepcją przekształcono towarzystwo w Akademię Umiejętności decyzją komitetu z 28 października 1871 roku.

Stanisław hr. Tarnowski, sekretarz Akademii Umiejętności, stwierdzał (*Sprawozdanie z czynności naukowych i administracyjnych w roku 1884/5*): „w pracach i poszukiwaniach swoich nauka jest sama dla siebie celem i kresem, ale w swoich zdobyciach i skutkach ona ma i powinna przydawać się, pomagać, służyć społeczeństwu”. Było ówczesnie oczywiste, że służąc społeczeństwu nie ma się służyć władzy czy lokować się wśród instytucji państwa.

Towarzystwa naukowe miały dwa źródła wsparcia finansowego: niezależne i z zasady zasobne fundacje oraz środki budżetowe, przydzielane na zasadach mecenatu przez administrację rządową i samorządową. W XIX wieku działalność towarzystw lokowano – co podkreślał Józef Majer – w sferze życia prywatnego, nie były więc obiektem ingerencji administracji rządowej – tym różniły się od uniwersytetów. Mimo to administracja państw zaborczych utrudniała samoorganizację towarzystw naukowych. W roku 1870 działały jako polskojęzyczne zaledwie dwa towarzystwa naukowe ogólne (TNK i PTPN), sześć medycznych, trzy rolnicze i leśne, jedno historyczne, dwa ekonomiczne i prawne oraz dwa humanistyczne. W epoce autonomii galicyjskiej, a także względnej liberalizacji w zaborze rosyjskim, doszło do swoistej „eksplozji” ruchu sto-

warzyniowego. W roku 1905 działało na ziemiach polskich 8 towarzystw naukowych ogólnych, 26 medycznych, 10 rolniczych i leśnych, 5 ekonomicznych i prawnych, 4 matematyczne i przyrodnicze, 5 historycznych, 13 z zakresu nauk społecznych oraz 4 techniczne. Po odzyskaniu niepodległości doliczono się w 1918 roku ogółem 140 towarzystw naukowych, w tym 13 ogólnych, 45 medycznych, 14 rolniczych i leśnych, 7 ekonomicznych i prawnych, 7 matematycznych i przyrodniczych, 12 historycznych, 29 z zakresu nauk społecznych, 13 technicznych. W roku 1927 działało 276 towarzystw naukowych, w tym aż 107 humanistycznych, filologicznych, historycznych i społecznych.

Wtłoczyć to wszystko w szablon

Alternatywną drogą umacniania towarzystw naukowych była ich integracja w formie konfederacyjnego związku. 3 października 1919 roku powstał Związek Polskich Towarzystw Naukowych we Lwowie. Była to decyzja prezesów towarzystw lwowskich: Towarzystwa dla Popierania Nauki Polskiej, Polskiego Towarzystwa Politechnicznego oraz dwunastu towarzystw specjalnych (dyscyplinowych). Wydarzenia wojenne sprawiły, że zarząd związku ukonstytuował się dopiero 18 czerwca 1920 roku. Na prezesa wybrano Stanisława Rybickiego (reprezentował Polskie Towarzystwo Politechniczne), na wiceprezesów zaś Jana Hirschlera (Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika) i Stanisława Witkowskiego (Polskie Towarzystwo Filologiczne), sekretarzem został Witold Nowicki (Lwowskie Towarzystwo Lekarskie), a „skarbnikiem i administratorem” Józef Białynia Chołodecki (Towarzystwo Miłośników Przeszłości Lwowa). Redaktorem był Wiktor Hahn (Towarzystwo Literackie imienia Adama Mickiewicza). Członkami zwykłymi zarządu zostali (po jednym) reprezentanci pozostałych towarzystw składających się na związek. Ta konfederacyjna formuła personalna świadczyła, iż związek nie wykraczał poza zadania koordynacyjne. Nie była to władza nadrzędna nad towarzystwami. W roku 1920 planowano pozyskanie własnej drukarni oraz „syndykatu autorów”, co ułatwiłoby prowadzenie „akcji wydawniczej”. W końcu tego roku związek zrzeszał już osiemnaście towarzystw lwowskich. Funkcję biura związku pełnił sekretariat Polskiego Towarzystwa Politechnicznego.

Trzecią drogę integracji usiłowały uruchomić władze państwowe. Od roku 1924 w kręgach ministerialnych pojawiła się koncepcja odrębnej regulacji prawnej w postaci ustawy o towarzystwach naukowych i instytutach (społecznych). Sekretarz generalny PAU Stanisław Wróblewski wyjaśniał w imieniu Zarządu PAU Stanisławowi Michalskiemu (pismo z 14 VI 1924): „ustawa taka nie jest potrzebna. Dziś utworzenie

Towarzystwa Naukowego nie jest rzeczą zbyt trudną, a stwierdzenie, czy miało rację odrębnego bytu, w dalszym zaś ciągu ustalenie jego roli i jego stosunku do innych instytucji naukowych należy [zależy] przede wszystkim od jego pracy. Wytwarza się w ten sposób i w tej dziedzinie wolna konkurencja, której dobre strony przeważają i ustawa musiałaby wtłoczyć to wszystko w szablon, który stanowiłby przeszkodę w działalności towarzystw żywotnych, a ułatwiłaby istnienie tym, które nie mają wewnątrz warunków życia”. Z tego stanowiska wynikała także rezerwa co do koncepcji Związku Polskich Towarzystw Naukowych.



Fot. Stefan Ciechan


 Piotr Müldner-Nieckowski
 Język w potrzebie

Epidemia epidemią, ale już dużo wcześniej co wrażliwsi odczuwali zbyt nasilone gorączki, kataru i kaszle języka polskiego, szczególnie w mediach, także w szkołach, na uniwersytetach albo przed głośnikiem, ekranem. W Internecie lub gazecie.

„A tam naprawdę nastają na prawdę”. Redaktorka tak w telewizorze powiedziała, ale dyskutant nie zrozumiał. Usłyszał bowiem dwa razy „na prawdę” lub dwa razy „naprawdę”. Do głowy mu nie przyszło, że może być raz „naprawdę” i raz „na prawdę” albo w odwrotnej kolejności, więc z politowaniem uśmiechnął się na znak, z jaką to kretynką ma do czynienia.

To samo z „także” („również”) i „tak że” („wobec tego, w związku z tym, na skutek tego”). Doktor habilitowany, ekspert polityczny (lub może nawet „Egzperd”). Zajrzałem do prac tego specjalisty wydanych w pewnym wydawnictwie uczelnianym, w którym – jak się po zbadaniu okazało – zwyczajowo prac naukowych się nie redaguje, zwłaszcza dyplomowych, gdyż „doktorant nie ma prawa popełniać błędów”. Znam to dobrze, bo kiedyś był okres panowania takiej doktryny w wydawnictwie na mojej uczelni. Na szczęście to już należy do zgniłej przeszłości i moje wydawnictwo jest teraz znakomite, doktorów habilitowanych redaguje. Natomiast wydawca tego pana doktora habilitowanego jeszcze nie. W drukach tej firmy są liczne błędy interpunkcyjne i ortograficzne, typowe leksykalne czy składniowe, ale także nawet w zakresie homonimii lub homofonii (na przykład ujednolicają tam pisownię wyrazów „instruktaż” i „instruktarz”, gdyż ani autor, ani wydawca nie wiedzą, że są to dwa słowa najzupełniej poprawne, tylko mające różne znaczenia – odpowiednio „szkolenie” i „książka z instrukcjami”).

Dostrzegam zbieżność tych zaburzeń językowych i chaosu politycznego. Charakterystyczne błędy wykwitają bowiem w mediach przeważnie przed wyborami i w czasie leczenia powyborczych ran. Ostatnio raziły (i nadal razią) błędy semantyczne, które świadczą między innymi o rozbracie niektórych polityków z logiką, a szczególnie techniką definiowania.

Dotyczy to na przykład wyrazu „problematyczny”, używanego w Senacie według nowego wzorca semantycznego (z roku 2013, wtedy poczyniłem pierwszą notatkę na ten temat), czyli w znaczeniu „stwarzający kłopot, utrudnienie, problemowy”, podczas gdy przeciętny Polak był przyzwyczajony do tego, że słowo to znaczy „wątpliwy, dyskusyjny”. Słyszymy na przykład opozycyjny i chamski tekst seksistowski, że jakaś piękna pani ma „problematyczne włosy”, bo ich nie myje. Panią tę chętnie nazwałbym szamponową „reklamówką”, gdyby nie to, że ten wyraz został już zarezerwowany dla torby z plastiku i broszurki zachwalającej towar.

Ktoś opowiadał w telewizji o umiejętnościach pewnego znanego aktora i powiedział, że jest to typ „humorzysty”, mając na myśli osobę, która lubi z humorem grać swoje role. To się jed-

nak tak spodobało, że już po kilku dniach w jednym z publikatorów gromadnie mówiono o znanych humorzystach aktorach, z których Adolf Dymśa miał być najlepszy. Na wszelki wypadek przypominam, że w normalnym języku słowo to znaczy „kapryśny, miewający humory”.

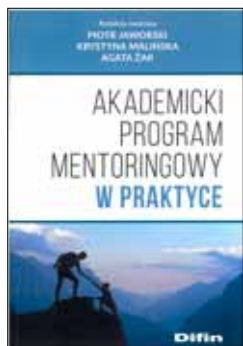
Ciekawy numer semantyczny wywinął autor reklamy serialu kryminalnego, pokazując malarzkę akwarelistkę z pędzlem w dłoni i podkładając głos, który oznajmiał, że czekają nas malownicze dni w nowym filmie. Jakież było zdziwienie właścicieli stacji telewizyjnej, kiedy obliczono, że chętnych do oglądania tak propagowanej produkcji było bardzo mało. Okazało się bowiem, że widz, nawet niedbający o język, nie lubi, kiedy się go (językowo) robi w konia. Niewielu kupiło owe malownicze dni, zgodziliby się co najwyżej na malarskie. To zapewne taki sam efekt jak w wypadku nieudanej reklamy, mówiącej o tym, że krem pewnej firmy „widocznie usuwa zmarszczki”, gdzie „widocznie” miało znaczyć „zauważalnie”, mimo że poprawnie niesie sens: „prawdopodobnie, pewnie, chyba”. O autorach takich tekstów przyjęło się ostatnio złośliwie mówić, że są „abnegatami” (mimo że chodzi o „ignorantów”).

Ciekawe, że tego rodzaju innowacje często wprowadzają ci, którzy zaczynają swoją wypowiedź medialną od wyrażenia „na dzień dzisiejszy”, „na chwilę obecną”, „na ten moment” albo jeszcze bardziej porosyjskim „póki co” (paka szto), bo wierzą, że „obecnie, teraz, w tej chwili, dzisiaj” w telewizji i radiu „tymczasem, na razie” inaczej mówić nie wypada. Mikrofon i kamera „nobilizują”, powiedział ktoś, mając na myśli to, że „zobowiązują”, i cała rzesza zaczęła to powtarzać, z pięćdziesięcioma pięcioma posłami i czterdziestoma senatorami włącznie. W końcu ktoś wytłumaczył, o co chodzi. Jego zdaniem słowo „nobilizować” pochodzi żywcem od Nobla (Alfreda), a jeśli tak, to rzecz jasna prezenter jest „zobowiązany” do „bycia kimś odpowiedzialnym, do kogo można mieć zaufanie”, czyli „z kim można się nawet spoufalić”. Nobilitacja to zobowiązanie? Śmieszne, ale coś w tym jednak jest...

Karta ekranowa, reporterska, prezenterka lub mikrofonowa dawniej była obowiązkowym dowodem na zaliczenie egzaminu z komunikacji językowej. Tylko że to już chyba nie działa. Zanikło. Ortografia przestała krępować, składnia się nie składa, a semantyka doszczętnie się zsemanciała (zeszmaciała?).

Jeśli na pasku u dołu ekranu napiszą, drogi Czytelniku, Twoje nazwisko, to możesz go nie rozpoznać. Nowe kadry (we wszystkich telewizjach bez wyjątku) robią tak straszne błędy, że trzeba będzie wyjść na ulice, podczepić się pod ekologów i jednak zaprotestować, bo dalej tak być nie może.

Mentoring od kulis



Przewodnik, inspirator, doradca, patron, mistrz... I bez zaglądania do poradników można naszkicować portret osoby zasługującej na miano mentora. Na dobrą sprawę wystarczy autopsja. Któż z nas choć raz nie spotkał na życiowej drodze człowieka, który w sposób znaczący wpłynął na jego rozwój, dzieląc się zdobytym przez lata kapitałem: intelektualnym (w jęz. greckim „mentor” oznacza „myśliciela”), społecznym, często także emocjonalnym. „Jeśli chcesz gdzieś dojść, najlepiej znajdź kogoś, kto już tam doszedł”, mawiał Robert Kiyosaki, amerykański inwestor, biznesmen, autor poczytnych książek motywacyjnych, chyba najlepiej w tych prostych słowach oddając istotę mentoringu. Zdefiniowanie jego formalnych ram to już zadanie znacznie bardziej skomplikowane. Czy ma to być relacja partnerska, czy jednak z wyraźnym zaznaczeniem hierarchii ustawiającej mistrza nad uczniem? Czy ten drugi ma w niej aktywnie uczestniczyć, a jeśli tak, to w jakim zakresie, czy może jedynie biernie oddać się w ręce swojego promotora? Wreszcie, jak długo ma trwać współpraca między nimi, by przyniosła efekty? Dylematów jest o wiele więcej, a przy ich rozstrzygnięciu trzeba wziąć pod uwagę, by korzyści odniósł nie tylko mentorowany, ale i jego mentor.

Do doskonale zdają się o tym wiedzieć twórcy programu TopMinds, adresowanego do kończących studia, szukających własnej ścieżki zawodowej i potrzebujących w tym zakresie wsparcia. Z ich doświadczeń, które zebrali w tej publikacji, mogą však czerpać nie tylko akademicy. Odsłaniają w niej kulisy realizacji jednego z największych w Polsce przedsięwzięć mentorin- gowych, poprzedzonego wielomiesięcznymi przygotowaniem.

Poradnik podzielono na części odpowiadające poszczególnym etapom tego procesu. Dziesięcioro autorów ze szczegółami opisuje swoje „działki”, m.in.: planowanie budżetu, przeprowadzenie rekrutacji, właściwy dobór uczestników w pary (mistrz-uczeń), przeszkolenie ich, opracowanie strategii promocyjnej, ewaluację... Oprócz wskazania dobrych praktyk podpowiadają, na jakie pułapki i niebezpieczeństwa uważać i jak ich unikać. Podkreślają istotną rolę administracji w sprawnym zrealizowaniu programu. Nie bagatelizują aspektów etycznych, które u stawiających pierwsze kroki w zawodowej karierze stanowią ważny kierunkowskaz w jej dalszym przebiegu. „Skoro już wkrótce mam zdradzić komuś swój pomysł na biznes, chciałbym, aby mentor mnie nie oszukał, a więc był godny zaufania i dyskretny” – przyznaje jeden z przyszłych startupowców, a jego niepokój nie jest wcale odosobniony.

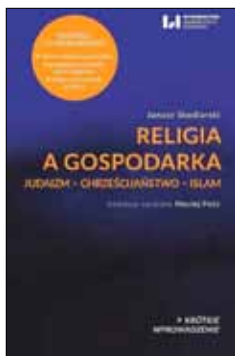
Czy jednak wypełnienie tych wszystkich kryteriów i „przeszczepienie” zaproponowanych rozwiązań daje gwarancję sukcesu? Za odpowiedź niech posłużą losy programu TopMinds. Wzięło w nim dotąd udział ponad dwustu uczestników. Od momentu powstania w 2016 roku nieustannie się zmienia, a kolejne edycje różnią się od poprzednich. Zmiany dotyczą zarówno oferty, jak i formuły aktywności uczestników. W ostatniej pojawiło się m.in. intensywne szkolenie z przygotowywania wystąpień w stylu TED, o co prosili sami aplikujący. Zaprezentowany w publikacji system organizacji programu jest więc istotny, ale jeszcze bardziej – elastyczność i gotowość na potrzeby odbiorców.

To właśnie im autorzy oddają głos w części zamykającej tę pozycję. W pierwszej chwili lektura niemal cukierkowych relacji może budzić podejrzenie, że wyselekcjonowano tylko te pozytywne, starannie odkładając na bok mniej przychylne. Jednak po zestawieniu ich z opisanym na wcześniejszych stronach metodycznym zapleczem bardziej prawdopodobne wydaje się, że to po prostu efekt dobrze przygotowanego programu, wychodzącego naprzeciw oczekiwaniom uczestników.

(karma)

Piotr JAWORSKI, Krystyna MALIŃSKA, Agata ŻAK (red.), **Akademicki program mentoringowy w praktyce**, Wydawnictwo Difin, Warszawa 2019.

Nawet nie zarys



W publikacjach z zakresu historii gospodarczej wspomina się czasem o znaczeniu protestanckiej etyki pracy dla rozwoju potęgi ekonomicznej Stanów Zjednoczonych, ale znaczenie religii dla rozwoju gospodarki jest tematem w znacznej mierze zapoznanym. Również sama „protestancka etyka pracy” jest rozumiana dość ogólnikowo, jako coś oczywistego dla czytelników, podczas gdy należałoby przede wszystkim spytać, o który odłam protestantyzmu i na jakim etapie rozwoju wyznań reformowanych chodzi. Janusz Skodlarski odpowiada na to pytanie, jakkol-

wiek odpowiedź ta nie jest w pełni satysfakcjonująca.

Autor omawia podejście wielkich religii monoteistycznych do kwestii związanych z handlem, kredytem i zyskiem oraz własnością prywatną. Najcenniejsze jest wskazanie różnic między poszczególnymi nurtami protestantyzmu, zwłaszcza koncepcjami purytańskimi, które wywarły istotny wpływ na ukształtowanie się amerykańskich szkół ekonomicznych. Interesujące jest także zwięzłe omówienie wizji idealnych stosunków gospodarczych w ramach ummy (wspólnoty wiernych) w islamie. „Ekonomia muzułmańska” wielu kojarzy się zapewne głównie z manipulacją cenami ropy przez państwa OPEC lub z sukkiem (tradycyjnym targiem w krajach Maghrebu). Tymczasem w łonie islamu już w okresie jego kształtowania się (VII–VIII w.) zrodziła się interesująca koncepcja sprawiedliwości społecznej, która – co warto zauważyć – ma istotny wpływ na stosunki gospodarcze, i w ogóle społeczne, w wielu państwach muzułmańskich.

Partie poświęcone katolicyzmowi, a zwłaszcza judaizmowi, nie są już tak dopracowane. W przypadku tego drugiego autor koncentruje się na Torze na niekorzyść Talmudu, podczas gdy podejście judaizmu rabinicznego do gospodarowania pieniędzmi nie będzie zrozumiałe bez bardziej wyczerpującego omówienia rozwoju myśli żydowskiej po upadku świątyni. Pisząc o katolicyzmie, wzmiankuje tylko posoborową katolicką naukę społeczną. Inna sprawa, że może to wynikać z prawidłowej intuicji, że w niewielkim stopniu przekłada się ona na codzienną praktykę katolików w życiu gospodarczym (nie jest na szerszą skalę propagowana wśród wiernych).

Te rozdziały książki obrazują jednak najważniejszy problem z publikacją Skodlarskiego – lektura pozostawia odczuwalny niedosyt. Nie dość, że pozycja jest objętościowo niewielka, to w dodatku ponad jedną trzecią stanowią załączniki – wyimki z Pisma Świętego i Koranu. Jest zrozumiałe, że książka z serii Krótkie Wprowadzenie nie może być grubym tomem, ale autor tak bardzo pilnował, by się samoograniczyć, że przekroczył granicę między skrótowością a powierzchownością. Pisząc o judaizmie i katolicyzmie, nie stworzył nawet zarysu dającego laikowi wstępną orientację. To zaskakujące, bo w odniesieniu do kalwinizmu, purytanizmu i islamu w pełni mu się to udało.

Podczas lektury zauważyłem niefortunny sposób cytowania Biblii poprzez podanie wydania i strony. Tyle że ani Biblii, ani Koranu w taki sposób się nie cytuje. Rzecz jasna obowiązuje wskazanie wydania – to, jakiego tłumaczenia i której jego edycji użyto, jest kluczowe – ale należy także podać sigła; Biblię podzielono na rozdziały i wersety właśnie w tym celu, i elementy te należy wykorzystywać nie tylko wtedy, gdy cytuje się Pismo Święte w kontekście religijnym. W dodatku autor z niejasnego powodu cytuje różne tłumaczenia Biblii. Zapewne ma to ważne uzasadnienie, ale z treści publikacji ono nie wynika. Wreszcie Skodlarski odwołuje się do poszczególnych perykop, pisząc „we fragmencie zatytułowanym...”. Śródtytuły w Piśmie Świętym nie są elementem tekstu natchnionego i w każdym tłumaczeniu mogą brzmieć inaczej. Mogą się także zmieniać w kolejnych edycjach tego samego tłumaczenia, a podziały mogą następować w różnych miejscach (podział na numerowane rozdziały i wersety jest znacznie starszy i wspólny dla wszystkich wydań Biblii, w których w ogóle go zastosowano).

Marek Misiak

Janusz SKODLARSKI, **Religia a gospodarka. Judaizm – chrześcijaństwo – islam**, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Razem, a jednak osobno



Alienacja, samotność i lęk przed nieznanym często towarzyszą osobom, które przybywają do nowego kraju w celach edukacyjnych czy zarobkowych. Imigracja jest zjawiskiem wieloaspektowym, obarczonym jednak sporą ilością krzywdzących stereotypów. Nie można zapominać, że za każdą decyzją skutkującą opuszczeniem ojczyzny stoi konkretny człowiek. Od tego, czy uda mu się sprawnie przejść trudny proces integracji, zależy sposób, w jaki będzie w przyszłości funkcjonował w danej społeczności. Do pozytywnego

domknięcia potrzebna jest oczywiście zarówno dobra wola przybywającego, jak również wsparcie społeczeństwa przyjmującego.

W Polsce przebywa obecnie około 2 miliony imigrantów z Ukrainy, język ukraiński jest drugim najczęściej używanym w naszym kraju, a ukraińscy studenci stanowią największą po Polakach grupę i ponad połowę wszystkich cudzoziemców uczących się u nas. Tercet naukowców postanowił sprawdzić, jak wyglądają praktyki kulturowe tej licznie reprezentowanej wspólnoty. Autorki przeprowadziły pierwsze i, jak podkreślają, jedyne dotąd badanie niezgłębionego dokładnie obszaru, czego efektem jest omawiana książka. Interesujące pod wieloma względami studium rzuca nowe światło na aspekty funkcjonowania przybyłych do naszego kraju osób.

Jak wynika z przeprowadzonych w trakcie badania wywiadów, młodzi ludzie pochodzenia ukraińskiego w miarę możliwości korzystają z dostępnej im oferty kulturalnej. Za istotne bariery uważają natomiast brak czasu, pieniędzy oraz niewystarczającą znajomość języka polskiego. Respondenci zwracają także uwagę na to, że brakuje im przestrzeni do realizowania własnej twórczości, którą uprawiali przed wyjazdem z ojczyzny. Dzięki podjętej przez badaczki inicjatywie mamy szansę uzmysłowić sobie, że jest pewna płaszczyzna, która odpowiednio wykorzystana może stanowić dobry punkt wyjścia do rozpoczęcia procesu poznawczo-adaptacyjnego. Wskazywanie na rolę kultury jako spoiwa łączącego odmienne światy, uświadamia, jak wiele można zrobić na rzecz budowania uniwersalnej płaszczyzny wymiany doświadczeń i emocji. Wspólne przeżywanie sztuki pozwala wyjść poza granice własnego poznania, dzięki czemu udaje się spojrzeć, że istnieją różne sposoby funkcjonowania jednostki w otaczającym ją świecie.

Proces uczenia się rzeczywistości na nowo opisany zostaje w książce jako przejście od etnocentryzmu do etnorelatywności, a ten ostatni oznacza akceptację faktu, że mające swoje źródło w odmiennych kulturach, wielorakie perspektywy mogą swobodnie współistnieć. Strategia przekraczania ram własnego świata pozwala zminimalizować ryzyko separującego zamknięcia w hermetycznym kręgu. Trzymanie się wyłącznie własnej wspólnoty połączone z odizolowaniem od członków kraju przyjmującego opisują badaczki za pomocą specjalnie utworzonego terminu „konkultura”, definiując go jako „zespół praktyk kulturowych inicjowanych przez grupę mniejszościową migrantów w nowym miejscu ich przebywania, które wynikają z narodowego skryptu kulturowego tej grupy. Grupa ta pielęgnuje w ten sposób wspólnotowość bez powiązania z kulturą dominującą (kulturą narodową) szerszego społeczeństwa, w skład którego wchodzi lub w przestrzeni, w której żyją jej członkowie”. Skutkami przyjęcia tego typu postaw może być zamknięcie na wszystko, co nieznanie i nowe.

Aby usprawnić proces integracyjny oraz komunikacyjny, potrzeba jak najwięcej podobnych inicjatyw badawczych, dzięki którym wiedza na temat istniejącego w sposób naturalny zróżnicowania międzykulturowego stanie się zaczynem do pojęcia konkretnych kroków umożliwiających twórcze współistnienie odmiennych grup na jednym terytorium.

Aneta Zawadzka

Anna JAWOR, Urszula MARKOWSKA-MANISTA, Marta J. PIETRUSIŃSKA, **Konkultura. Wymiary uczestnictwa w kulturze młodych imigrantów z Ukrainy w Polsce**,

Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2020.

Autobiografie kobiet



Liczba wydawanych autobiografii wciąż rośnie, ale – jak zauważa Anna Pekaniec – nie wiąże się to ze szczególnym wzrostem liczby badań na temat typu literatury. Lukę tę chce wypełnić autorka książki. Omawia tematykę podejmowaną przez piszące kobiety, powody, które skłoniły je do pisania oraz rodzaje tworzonych dokumentów. Bierze pod uwagę przede wszystkim teksty powstałe w XIX i na początku XX wieku, czyli w czasach postępujących procesów emancypacyjnych, wymuszonych zarówno przez wydarzenia historyczne, jak i zmiany obyczajowe.

Wpłynęły one na sytuację kobiet w przestrzeniach prywatnej (zazwyczaj ograniczonej do sfery domowej) i publicznej, co wiązało się z coraz częstszym podejmowaniem pracy zawodowej, działalności artystycznej czy politycznej.

W tamtych czasach aktywność kobiet była związana z koniecznością pokonania silnie zakorzenionych ograniczeń. Większość ludzi uważała, że kobieta nie powinna się angażować w działalność publiczną, wypowiadać w sprawach polityki czy aktualnych wydarzeń. Ograniczano możliwość kształcenia się oraz prowadzenia twórczości artystycznej innej niż użytkowa, takich jak zdobienie przedmiotów domowych i ubrań. Było to również związane z przekonaniem o „nieprzyzwoitości zaimka «ja»”, jak głosi jedna z historii przytoczonych w książce. Przekonanie to odbierało „prawo do tego, by stanąć i zabrać głos [...] do mówienia w swoim imieniu, własnym głosem” i dotyczyło głównie kobiet. Co ciekawe, nie wszystkim paniom odbierano prawo do własnego zdania. Liczono się z tymi, które dysponowały dużym majątkiem.

Za „bezpieczną”, nieprzeszkadzającą w skupianiu się na wykonywaniu zadań domowych uważano twórczość epistolarną. Z listów możemy poznać codzienne funkcjonowanie rodzin, ale również nastroje towarzyszące życiu pod zaborami i w czasie powstań. Jest to dość szeroka panorama ówczesnej rzeczywistości. Perspektywa zmienia się w zależności od tego, kto pisze i do kogo mają być skierowane teksty.

Chociaż listy były najpopularniejszą aktywnością pisarską kobiet, pojawiały się też inne przejawy twórczości. Autobiografie, dzienniki i tym podobne teksty wspomnieniowe kobiet zawodowo związanych z literaturą oraz niebędących literatkami są niezastąpionym źródłem informacji o historii narodu oraz dziejach poszczególnych postaci. Są tym bardziej cenne, że życie kobiet nieczęsto uznawano za godne opowieści, pomijano ich uczestnictwo w historii. Koncentrowano się na roli matki i żony, na funkcjach macierzyńsko-rozrodczych. Zrozumiano jednak, że uzależnienie kobiet, ich bezsilność społeczna i polityczna stanowiły konstrukcję społeczną, którą można zmniejszyć. Częściowo wymuszone zostało to przez historię. Kobiety przejmowały rolę mężczyzn biorących udział w wojnach czy – jak w przypadku Polaków – skazanych na katorgę lub zesłanych na Sybir po powstaniu styczniowym.

W autobiografiach rodzina jest jednym z głównych tematów. Okazuje się jednak, że w wielu pomijane były wspomnienia o starszych paniach. Podobnie rzadko pojawiają się opisy chorób, m.in. dlatego, „że mówienie o cielesności kobiet traktowane było jako znaczne naruszenie zasad dyskrecji, złamanie tabu, wydobycie na wierzch zagadnień, które – choć z jednej strony wydawały się oczywiste i niezbywalne – z drugiej powinny pozostać niewypowiedziane”.

Jednym z poruszanych przez kobiety tematów były opisy ich lektur. Jak wspomina Eliza Orzeszkowa, pensjonarki chętnie sięgały m.in. po teksty Adama Mickiewicza, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Władysława Syrokomli. Chociaż zachęcano do czytania, odradzano romanse jako oferujące wyidealizowane wyobrażenie o świecie. Przed nauczycielami i zakonnicami uczennice ukrywały więc powieści George Sand, Aleksandra Dumasa czy utwory Fryderyka Schillera.

Justyna Jakubczyk

Anna PEKANIEC, **Autobiografki. Szkice o literaturze dokumentu osobistego kobiet**, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020.

Nieoczywisty życiorys, nieoczywista biografia



Dariusz Rosiak specjalizuje się w pisaniu biografii gęstych, pełnych zwrotów, których bohaterami są postaci wybitne, ale jednocześnie niejednoznaczne. Jego *Bauman* to nie tylko przybliżenie postaci oraz opowieść o życiu jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich humanistów, lecz także charakterystyka pokolenia postaci już odchodzących, których młodość przypadła na czas II wojny światowej. Ich przyspieszona dorosłość uwikłana była w stalinowską i później komunistyczną rzeczywistość, a w końcu w epokę postmodernizmu, która obwieszczając swoje „be yourself!”, przypadającą na dojrzałość, nie pozostawiała obojętna na dokonywane wybory. Generacja ta stała przed koniecznością nieustannego zadawania sobie pytania o to, kim się jest.

Kim zatem jest Zygmunt Bauman? Być może tak postawione w najmłodszych latach pytanie było jednym z pierwszych. Dzieciństwo Baumana, od którego Rosiak rozpoczyna opowieść, rozgrywało się w Poznaniu, mieście, w którym, jak zauważa, nie było Żydów, lecz antysemityzm kwitł w najlepsze. Dzieciństwo Baumana pełne było świadomości nieprzynależności, niepewności i zmienności. Takie okoliczności wymuszają wypracowanie w sobie imperatywu przetrwania i siły. Obroną był ujawniony już we wczesnych latach krytyczny umysł, który okaże się orężem na całe życie.

Rosiak nie unika konfrontacji z uwikłaniem Baumana w działalność wojskową, a także jego fascynacji komunizmem, które wywołują dziś gorące emocje. Pisze: „Odkrywa nowy intrygujący świat, poznaje komunizm, który wówczas nie kojarzy mu się z gulagami i śmiercią, tylko z młodzieńczą energią, determinacją, poświęceniem dla ojczyzny”. Ta chwila i towarzyszące jej emocje okazały się w życiu Baumana zwrotne – przyczyniły się do narodzin wiary w równość oraz w świat, w którym nikt nie będzie mieć kompleksów.

W wierze w tę utopijną, a jak się okazało dystopijną wizję Zygmunt Bauman nie pozostawał sam. Towarzyszyli mu intelektualni koledzy: Jerzy Wiatr, Adam Schaff czy Leszek Kołakowski, który powie: „Komunizm był dla nas pogromcą nazizmu, mitem Lepszego Świata, tęsknotą za życiem bez zbrodni i poniżenia, królestwem równości i swobody...”. Tym samym Rosiak szkicuje dla wielu nieoczywisty obraz pokolenia: intelektualistów emigrantów, obcych, uciekających. To zbiorowy portret niezwykłych intelektów, tworzących polską humanistykę, uwikłanych w dramatyczne, zapętlone życiorysy. Postaci, które tracą swoje miejsce bardzo fizycznie: wygnańców z kraju, wyrzucanych z pracy na uczelniach, zmuszonych do formowania swojego życia jako obcy w innych miejscach, koniecznych do oswojenia.

Jednak w przypadku Baumana, co Rosiak bardzo subtelnie, ale wyraźnie podkreśla, obcość ta miała zwielokrotniony charakter. Jako badacz, intelektualista, pracownik naukowy nawet w Polsce nie należał do tej samej wspólnoty, co Kołakowski, Baczek czy Pomian. Ten ostatni, opowiadając o formowanym „seminarium rewizjonistycznym”, sam stwierdza: „nikomu z nas nawet nie przyszło do głowy, by Baumana traktować jako potencjalnego kandydata na to seminarium. (...) Nazwisko Baumana w ogóle nie padło, on należał do ludzi z innego brzegu”.

W 1968 roku Bauman traci możliwość publikacji, zostaje pozbawiony pracy, aż w końcu staje się po raz kolejny obcym. Trudne do przewidzenia zmiany formowały tor życia intelektualistów Marca '68. Rosiak pod warstwą osobistej biografii Zygmunta Baumana szkicuje obraz pokolenia, którego życie, jeśli tylko żyło się intensywniej, niezależnie od poglądów było narażone na bezustanne wahania.

Jako biograf i dziennikarz Rosiak nie angażuje się w naukowe rozważania. Jest świadom, że istnieją liczne, kompetentne studia krytyczne nad spuścizną Baumana. Przynajmniej te, które są pozytywną i pełną akceptacji analizą dzieł, a także te napisane w tonie radykalnej krytyki. Zestaw bibliograficznych tropów jest jednocześnie listą lektur, która zarówno dla apologetów myśli Baumana, jak i jego oponentów powinna być obowiązkowa.

Agnieszka Kaczmarek

Dariusz ROSIAK, *Bauman*, Mando, Kraków 2019.

Zagraniczni naukowcy w Polsce



Osiedle ptaki – ta tytułowa metafora oznacza naukowców i pracowników akademickich urodzonych poza Polską, którzy zdecydowali się na karierę naukową w naszym kraju. Sto takich osób udzieliło wywiadów pogłębianych, na bazie których powstała pionierska publikacja. Choć umiędzynaradawianie nauki i szkolnictwa wyższego, mobilność naukowców jest powszechnym i bardzo oczekiwanym od uczonych zjawiskiem, to brakuje polskich badań na ten temat. Lukę tę zaczyna wypełniać omawiana książka.

Kamil Łuczaj, Beata Bielska, Olga Kurek-Ochmańska i Janusz Mucha wzięli pod lupę różne aspekty życia naukowców i dydaktyków z innych krajów. Badali ich motywacje do przyjazdu do Polski, sytuację rodzinną, charakter wykonywanej pracy, potencjał, osiągnięcia, marzenia, ale też problemy i bariery, z jakimi spotykają się imigranci. Wszystko zilustrowali wieloma przykładami, bardzo często oddając głos samym badanim, dzięki czemu można lepiej zrozumieć ich sytuację.

Ciekawa jest typologia urodzonych za granicą pracowników naukowych w Polsce. Badani zwracają uwagę, że nie jest to ostry podział i poszczególne motywacje mogą się ząbnić, niemniej wyróżnili między innymi naukowców, którzy zdecydowali się na pracę w Polsce ze względu na związki rodzinne (obecność partnerów, krewnych, w kilku przypadkach polskich korzeni). Drugą grupę migrantów akademickich stanowią „poloniści”, a więc osoby, które studiowały w swoich krajach kierunki związane z językiem polskim, literaturą polską, historią Polski czy slawistyką. Inną grupą są byli studenci polskich uczelni, czyli osoby, które podjęły studia w Polsce i już tu zostały. Mamy również akademików, których sytuacja zmusiła do takiej decyzji, mamy migrantów statusowych (społeczno-ekonomicznych), którzy chcą poprawy materialnego poziomu życia. Są oczywiście pracownicy „delegowani i zaproszeni” czy też „odkrywczy”, a więc ci badacze, których motywowała chęć przeżycia przygody lub zdobycia doświadczenia międzynarodowego. Poza tym autorzy wyróżniają „badaczostrownych”, czyli tych, dla których najważniejszy jest konkretny projekt badawczy, oraz „misjonarzy”, czyli tych, którzy traktują pracę naukową czy dydaktyczną jako misję.

Autorzy przypominają przy okazji konotacje religijne, na które wskazywał Max Weber, kiedy pisał: „widać od razu, że już choćby w niemieckim słowie «zawód» [Beruf od berufen – powoływać, powołany], a może jeszcze wyraźniej w angielskim *calling*, przynajmniej współbrzmie pewne wyobrażenie religijne – *zadania* postawionego przez Boga”. Weber twierdził, że obok motywacji praktycznych, widocznych też w innych zawodach, poczucie powołania świadczy o wyjątkowości etosu uczonego.

Niestety etos wypierany jest współcześnie przez produktywność. I tak w rozdziale zatytułowanym *Rola zagranicznych uczonych w budowaniu dorobku nauki w Polsce* autorzy zastanawiają się między innymi, na ile naukowcy urodzeni za granicą są produktywni. W tym rozdziale możemy prześledzić aktywność naukową badanych. Ostatni rozdział poświęcony jest środowisku pracy, życiu prywatnemu oraz życiu w Polsce badanych obcokrajowców. Okazuje się, że głównym problemem w miejscu pracy jest „brak wprowadzenia i przygotowania pracownika do wykonywania obowiązków zawodowych, pozostawienie go/jej samej sobie”. Poza murami uczelni i instytutów badacze zagraniczni są z kolei narażeni na stres mniejszościowy i nie do końca czują się tu akceptowani.

Książkę kończą rekomendacje dla uczelni oraz władz państwowych.

Anna Jawor

Kamil ŁUCZAJ, Beata BIELSKA, Olga KUREK-OCHMAŃSKA, Janusz MUCHA, *Osiedle ptaki. Urodzeni za granicą pracownicy polskich instytucji akademickich*, Wydawnictwa Akademii Górniczo-Hutniczej, Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania, Kraków – Rzeszów 2020.

Leszek Szaruga

Peryferie

Fot. Stefan Ciechan

Gusztáv Molnár, węgierski politolog pochodzenia rumuńskiego, rozważając osobliwość zjawiska określanego mianem Europy Środkowej – a że jest to kwestia warta namysłu, niech świadczy dynamika dyskusji wywołanej w latach osiemdziesiątych wokół eseju Miana Kundery *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej* – dostrzegł specyfikę historycznego losu tego obszaru. Wskazując na ukształtowanie zrębów imperium Karola Wielkiego, podkreślał: „Ów świat Karola, który rozpościera się od Tuluzy aż po Brno, jest filarem Europy Zachodniej jako organizmu historycznego o jednolitej strukturze. I jest to świat, poza granicami którego znalazły się Węgry i Polska, owe dwa państwa środkowoeuropejskie *par excellence*. Europa Środkowa należy – już tysiąc lat – do cywilizacji zachodniej, ale nie należy do Europy Zachodniej, rozumianej jako historyczno-polityczny, jednolity korpus według modelu Karola Wielkiego”. Trafna to uwaga, choć cokolwiek ahistoryczna, w czasach Karola bowiem ani Węgry, ani Polska pojmowanych jako samodzielne państwa nie było, a na pewno nie należały te kraje do wspólnoty chrześcijańskiej. Jak wiadomo, Mieszko I chrzest przyjął w roku 966, książę Geza zaś sześć lat później – ten zaś, jak pisze węgierski historyk Ignác Romsics, „tylko w połowie stał się chrześcijaninem”, gdyż, jak dowodzi tego przekaz biskupa Thietmara z Mersenburga, „oddawał cześć zarówno Bogu chrześcijańskiemu, jak i bogom swych przodków, zaś zagadnięty o to przez wysokiego rangą duchownego, z wielkopańską pewnością siebie odpowiedział, że »jest wystarczająco bogaty i potężny, by to czynić«”.

Jak widać, dopasowanie Europy Środkowej i Zachodu od zarania sprawiało problemy, zaś bieg dziejów nie sprzyjał ich łągodzeniu, oba kraje albowiem, w czasie gdy na Zachodzie w dziewiętnastym stuleciu umacniano struktury nowożytnych państw narodowych, pozbawione były suwerenności, a tym samym nie do końca mogły stanowić o swoim losie, w szczególności nie mogły odgrywać podmiotowej roli w polityce zagranicznej, choć akurat Węgrzy, za sprawą skutecznego oporu wobec dominacji Wiednia, doprowadzili w drugiej połowie XIX wieku do pozyskania w ramach imperium Habsburgów stosunkowo szerokiej autonomii, co zresztą pozwalało im – w obszarze Królestwa Węgry – prowadzić dość stanowczy proces madziaryzacji podległych im ludów, jak choćby Słowaków i Rumunów. Nie zmieniało to faktu, że w tym czasie cała Europa Środkowa – a tym samym Węgry i Polska – pozostawała na peryferiach świata zachodniego, co oczywiście musiało być źródłem powstawania kompleksów, które oba kraje kompen-

sowały sobie odwoływaniem się do świetlanej przeszłości. Oba społeczeństwa zresztą – w odróżnieniu od innych nacji środkowoeuropejskich – powoływały się na swój status „narodu historycznego”, zakorzenionego w doświadczeniach niepodległej, choć utraconej, państwowości.

Ten tok rozumowania nie był wówczas czymś osobliwym. Zwraca na to uwagę Michał Jagiełło w znakomitym eseju *Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach*: „Podział na narody «historyczne» i «niehistoryczne», czyli «rodowości», «ludy», «szczyepy», znajdujące się w obrębie narodu «historycznego», nie był jakimś polskim skrzywieniem; należy tę tendencję rozumieć jako pogląd dominujący w ówczesnej Europie: tytuł narodu przysługiwał narodowi „historycznemu”, składającemu się zwykle z paru narodowości, a więc ludów lub inaczej – narodów „niehistorycznych””. Nie dziwią zatem słowa Engelsa: „Wśród wszystkich narodów i narodzików Austrii trzy tylko były nosicielami postępu, czynnie wkroczyły do historii i do dziś nadal są zdolne do życia: Niemcy, Polacy, Madziarzy”. Można zasadnie podejrzewać, że ten sposób myślenia o Europie Środkowej nadal jest rozpowszechniony na Zachodzie, stając się inspiracją dla tak aroganckich uwag, jak te, które spisał w eseju *Europa: wyzwanie dla kultury* wybitny skądinąd myśliciel francuski Jean-Marie Domenach, który, zwracając uwagę na doniosłość przemian, jakie przyniosły wydarzenia roku 1989, podkreślał: „W ten sposób Europa Środkowa zostaje przywrócona historii i raz jeszcze impuls do działania dały nam narody zniewolone. Proces nie jest zakończony. Choroba może się udzielić także samej Rosji, która – wyrzekając się imperium opartego na dawno już pogrzebanej ideologii marksistowsko-leninowskiej – mogłaby uszczelnić swoje granice i próbować, korzystając z odprężenia, odbudować swoją siłę, powierzając kraje satellickie troskliwej opiece Zachodu”.

Bez tej opieki albowiem państwa owe – zdaje się powiadać francuski intelektualista – z wolnością sobie nie poradzą. Albo inaczej: kraje te winny zawsze być poddane czyjejs pieczy. I choć nie jest to głos dominujący, jednocześnie nie należy do całkowicie odosobnionych. Ich obecność z pewnością nie sprzyja harmonijnemu dopasowaniu dawnych peryferii europejskich i krajów Zachodu: jest rzeczą pożądaną stworzenie takiej opowieści o Europie, która pozwoli na przezwycięzenie nieporozumień, których źródłem jest odmiennosc dróg dziejowych krajów naszego regionu i tych, które tworzą „korpus wedle modelu Karola Wielkiego”.

Kampus Zachodni UMCS

czytaj na str. 17



Fot. Marcin Wiechnik



Fot. Marcin Wiechnik



Fot. Bartosz Proll



Fot. Przemysław Gąbka



Fot. Przemysław Gąbka



Fot. Bartosz Proll

Akademia Kaliska

czytaj na str. 18-19

